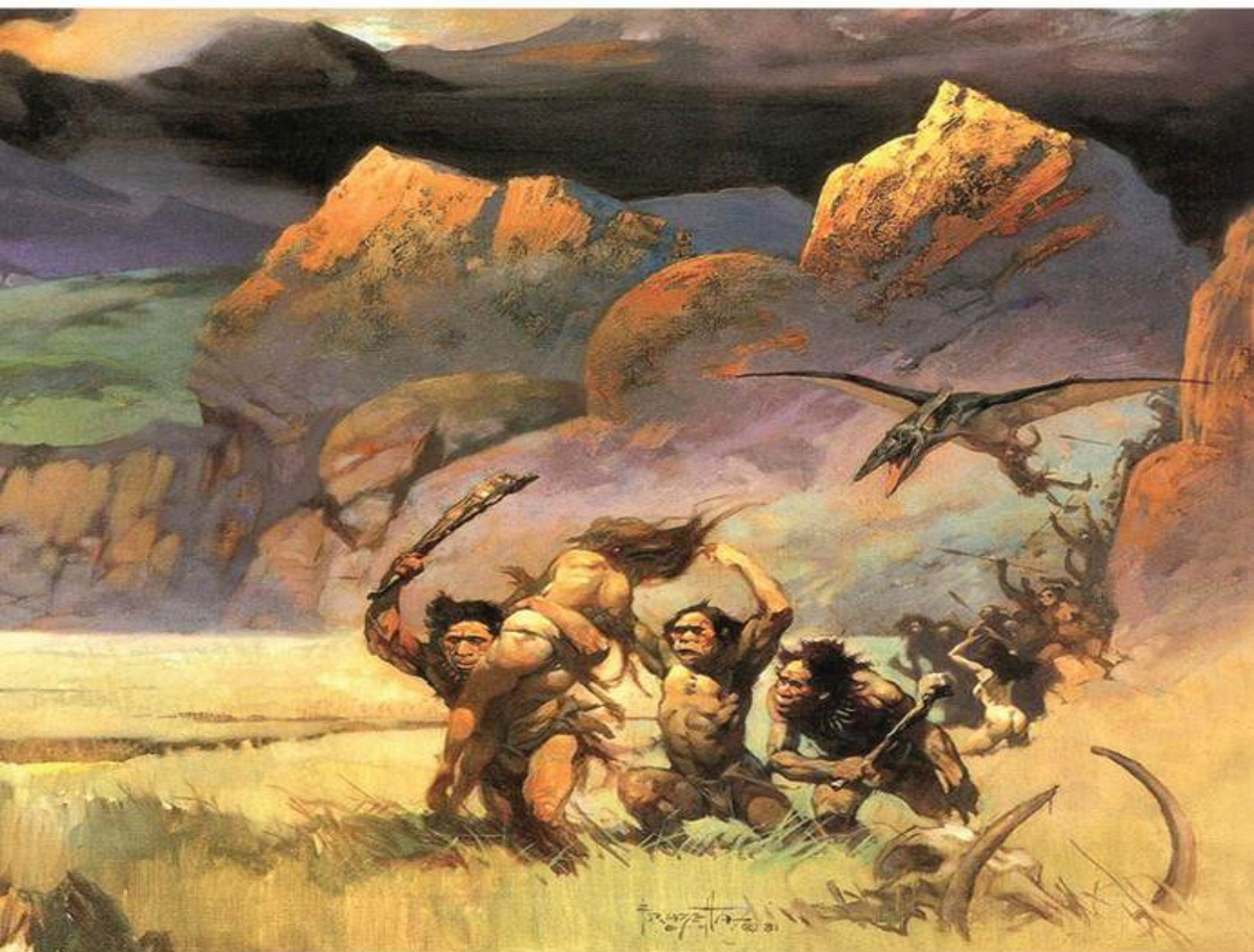




GALAKTYKA GUTENBERGA

EDGAR RICE BURROUGHS



We wnętrzu Ziemi

PELLUCIDAR I

# Spis treści

[Galaktyka Gutenberga](#)

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[PROLOG](#)

[1. Ku wiecznym płomieniom](#)

[2. Obcy świat](#)

[3. Zmiana panów](#)

[4. Dian Piękna](#)

[5. Niewolnicy](#)

[6. Początek koszmaru](#)

[7. Wolność](#)

[8. Świątynia Mahar](#)

[9. Oblicze śmierci](#)

[10. Znowu w Phutrze](#)

[11. Cztery martwe Mahary](#)

[12. Pościg](#)

[13. Przebiegły](#)

[14. Rajski ogród](#)

[15. Z powrotem na Ziemię](#)

Wyjątkowa seria z amerykańską, brytyjską i rosyjską science fiction i fantasy



Książki i e-booki Edgara Rice'a Burroughsa w serii Galaktyka Gutenberga:

GALAKTYKA  
GUTENBERGA

### **cykl Barsoom**

Księżniczka Marsa

Bogowie Marsa

Władca Marsa

Thuvia, wojowniczką Marsa

### **cykl Pellucidar**

We wnętrzu Ziemi

Pellucidar

Tanar z Pellucidar

Powrót do epoki kamienia

Land of Terror

### **cykl Wenus**

Piraci Wenus

Serię można subskrybować w całości. Dla subskrybentów specjalne edycje powieści i zbiorów opowiadań znanych pisarzy amerykańskich.

Seria dostępna wyłącznie w księgarni Solarisnet.pl

**Edgar Rice Burroughs**

**We wnętrzu Ziemi**

Przełożył  
Robert Lipski

**SOLARIS**  
Stawiguda 2016

Książka kupiona w SOLARIS



## We wnętrzu Ziemi

*At the Earth's Core* copyright © 1915  
by Edgar Rice Burroughs

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Niniejsza książka elektroniczna ani żadna jej część nie może być kopiowana i odsprzedawana oraz w jakikolwiek inny sposób reprodukowana, ani odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody sprzedawcy.

Agencja „Solaris”  
Małgorzata Piasecka  
11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A  
tel./fax 89 5413117  
e-mail: [agencja@solarisnet.pl](mailto:agencja@solarisnet.pl)

sprzedaż wysyłkowa:

[solarisnet.pl](http://solarisnet.pl)

# PROLOG

Przede wszystkim, weź pod uwagę, że nie spodziewam się, iż uwierzysz w tę opowieść. Choć nie zdziwiłoby cię to ani trochę, gdybyś miał okazję widzieć to co ja ostatnio, kiedy w błogiej naiwności i ignorancji zrelacjonowałem tę historię członkowi Królewskiego Towarzystwa Geologicznego, przy okazji mej ostatniej podróży do Londynu.

Pomyślisz zapewne, że posądzono mnie o jakąś wyjątkowo zuchwałą i okrutną zbrodnię, w rodzaju kradzieży klejnotów koronnych z Tower, lub dosypanie trucizny do kawy Jego Królewskiej Mości.

Ów dżentelmen – erudyta, któremu się zwierzyłem, zmienił swe nastawienie wobec mnie, zanim jeszcze doszedłem do połowy mej historii – i chyba tylko TO ocaliło go przed atakiem apopleksji – a wówczas prysły moje marzenia o Honorowym Członkostwie, złotych medalach i poczesnym miejscu w Galerii Sław... kiedy to przestrzeń między nami wypełniła się iście arktycznym chłodem, zdającym się emanować z mego szacownego rozmówcy.

Ja wszelako wierzę w tę opowieść, i ty także byś w nią uwierzył, podobnie jak ów wielce szanowany członek Królewskiego Towarzystwa Geologicznego, gdybyście, ty i on, usłyszeli ją z ust człowieka, który mi ją przekazał. Gdybyście widzieli, tak jak ja, ogień prawdy gorejący w tych szarych oczach; gdybyście wyczuli nutę szczerości w tym cichym głosie, gdybyście doświadczyli patosu tego wszystkiego, z pewnością wy także byście uwierzyli. Nie potrzebowalibyście ostatecznego, naocznego dowodu, który miałem okazję ujrzeć, w postaci tej dziwnej, przypominającej ramforyncha istoty, którą przywiózł ze sobą z wewnętrznego świata.

Natknąłem się na niego zgoła niespodziewanie, na obrzeżach wielkiej pustyni saharyjskiej. Stał przed namiotem z kozich skór, wśród zagajnika

palm daktylowych, w niewielkiej oazie. Nieopodal rozciągał się arabski duar, złożony z ośmiu czy dziesięciu namiotów.

Przybyłem tu z północy, by zapolować na lwa. Moja ekipa składała się z tuzina dzieci pustyni – byłem wśród nich jedynym „białym”. Gdy zbliżyłem się do tej niewielkiej oazy zieloności, ujrzałem mężczyznę, który wyszedł ze swego namiotu i osłaniając dłonią oczy od słońca, jął wpatrywać się w nas z przejęciem. Na mój widok zbliżył się pospiesznie, wychodząc nam na powitanie.

– Biały człowiek! – zawołał. – Chwała Bogu! Obserwowałem was od wielu godzin, mając nadzieję, że tym razem napotkam białego człowieka. Powiedz mi, jaki mamy dziś dzień. Jaki rok?

Kiedy mu powiedziałem, zachwiał się, jakby otrzymał silny cios w twarz i musiał się przytrzymać mego strzemienia, by nie upaść.

– To niemożliwe! – zawołał po chwili. – Nie może być! Powiedz mi, że się mylisz, albo że tylko sobie żartujesz.

– Mówię prawdę, przyjacielu – odparłem. – Czemu miałbym oszukiwać nieznajomego, czy choćby próbować to uczynić, w związku z czymś tak trywialnym, jak podanie daty?

Przez jakiś czas stał w milczeniu, z pochyloną głową.

– Dziesięć lat! – wymamrotał w końcu. – Dziesięć lat, a ja myślałem, że upłynął nie więcej niż rok!

Tej nocy opowiedział mi swą historię – opowieść, którą niniejszym zrelacjonuję ci możliwie jak najwierniej, tak jak usłyszałem ją od niego, i jak zdołałem ją zapamiętać.



## KU WIECZNYM PŁOMIENIOM

Urodziłem się w Connecticut, jakieś trzydzieści lat temu. Nazywam się Dawid Innes. Mój ojciec był zamożnym właścicielem kopalni. Zmarł, kiedy miałem lat dziewiętnaście. Wszystko co posiadał miało przejść na moją własność, kiedy osiągnę pełnoletność – o ile poświęcę kolejne dwa lata na zgłębianie tajników biznesu, który miałem odziedziczyć.

Starłem się najlepiej jak umiałem, by spełnić ostatnie życzenie mego rodzica, nie przez wzgląd na spadek, lecz dlatego że kochałem i szanowałem mego ojca. Przez sześć miesięcy pracowałem w kopalni i biurach rachunkowych, pragnąłem bowiem poznać wszelkie, nawet najdrobniejsze szczegóły tej branży.

I wtedy Perry zainteresował mnie swoim wynalazkiem. Był starszym mężczyzną, który większą część swego długiego życia poświęcił na udoskonalenie mechanicznego podziemnego eksploratora. Dla rozrywki studiował też paleontologię. Przejrzałem jego plany, wysłuchałem argumentów, zbadałem model roboczy – a w końcu, całkowicie przekonany, wyłożyłem niezbędne fundusze, aby mógł zbudować pełnych rozmiarów, praktyczny eksplorator.

Nie będę tu wdawał się w szczegóły jego konstrukcji – obecnie spoczywa on na pustyni, niespełna dwie mile stąd. Jutro możesz wybrać się tam i zobaczyć go, jeśli zechcesz. Najogólniej mówiąc, jest to stalowy cylinder, długości stu stóp, segmentowany tak, by mógł wykonywać skręty i zwroty przy przechodzeniu przez litą skałę, gdyby to się okazało konieczne. Na jednym końcu znajduje się potężny obrotowy świder zasilany silnikiem, który, jak stwierdził Perry, generował więcej mocy



na cał sześcienny, niż jakikolwiek inny na stopę sześcienną. Pamiętam, że twierdził, iż sam ten wynalazek uczyni nas bajecznie bogatymi – mieliśmy ujawnić całą sprawę opinii publicznej po sukcesie pierwszej naszej próby, przeprowadzonej potajemnie – ale Perry nie wrócił z tej wstępnej, testowej wyprawy, a ja uczyniłem to dopiero po dziesięciu latach.

Pamiętam, jakby to było wczoraj, tę noc naszego szczytnego przedsięwzięcia, kiedy to mieliśmy przetestować w praktyce nasz cudowny wynalazek. Zbliżała się północ, gdy udaliśmy się do strzelistej wieży, w której Perry zbudował swego „żelaznego kreta”, jak zwykł z czułością nazywać swoje dzieło. Ogromny dziób maszyny spoczywał na gołej ziemi. Weszliśmy przez drzwiczki do części stanowiącej zewnętrzną powłokę eksploratora, zabezpieczyliśmy je, po czym przeszliśmy stamtąd do kabiny, gdzie w części wewnętrznej znajdowały się urządzenia kontrolne i zapaliliśmy światła elektryczne.

Perry rzucił okiem na generator; na wielkie zbiorniki, zawierające życiodajne substancje chemiczne, dzięki którym zamierzał produkować świeże powietrze mające zastąpić to zużywane przez nas podczas oddychania; na urządzenia rejestrujące temperaturę, prędkość, odległość i badające materiały, przez które mieliśmy się przebijać.

Sprawdził urządzenie sterujące i przyjrzał się uważnie potężnym kołom zębatym, które przenosiły swą cudowną prędkość do wielkiego świdra, w części dziobowej tego dziwnego pojazdu.

Nasze fotele, w których zapięliśmy się pasami, były tak zamocowane na poprzecznych stabilizatorach, abyśmy zawsze znajdowali się w pozycji pionowej, niezależnie czy pojazd torował sobie drogę w dół, w głąb ziemi, sunął poziomo wzdłuż wyjątkowo rozległego złoża węgla, czy też na powrót wznosił się w górę, ku powierzchni.

Wreszcie wszystko było gotowe. Perry pochylił głowę w modlitwie. Przez chwilę milczeliśmy, aż wreszcie dłoń starszego mężczyzny zacisnęła się na dźwigni startowej. Pod nami, w dole, dał się słyszeć przeraźliwy ryk

– cała konstrukcja zadrżała i poczęła wibrować – później zaś rozległ się przeciągły szum, z jakim wygarnięta ziemia była wyrzucana do tyłu, przez pustą przestrzeń pomiędzy powłokami zewnętrzną i wewnętrzną naszego pojazdu. Wyruszyliśmy!

Hałas był ogłuszający. Wrażenie przerażające. Przez pełną minutę żaden z nas nie mógł uczynić nic, prócz kurczowego trzymania się, jak przysłowiowy tonący, który chwyta się brzytwy, z tym że my wpijaliśmy palce w poręcze naszych ruchomych, stabilizowanych foteli. W którymś momencie Perry spojrzął na termometr.

– Boże! – zawołał. – To nie może być prawda, szybko! Ile mamy na liczniku głębokości?

Zarówno ten licznik, jak i prędkościomierz znajdowały się po mojej stronie kabiny i kiedy odwróciłem się, by odczytać wskazanie tego pierwszego, zauważyłem, że Perry mamrocze bez przerwy.

– Wzrost o dziesięć stopni, to nie może być prawda. – Zaraz potem zobaczyłem, jak zaczął szarpać rozpaczliwie za koło sterowe.

Gdy w końcu w słabym świetle odnalazłem niewielką igłę wskaźnika, mnie również udzieliło się podniecenie Perry’ego, a serce na moment zamarło mi w piersi. Kiedy się jednak odezwałem, ukryłem w sobie strach, który mnie przenikał.

– Pokonamy siedemset stóp, Perry – powiedziałem – zanim zdołasz ustawić pojazd do poziomu.

– Wobec tego lepiej mi pomóż, chłopcze – odparł – bo sam nie dam rady ustawić maszyny z powrotem do pionu. Oby Bóg pozwolił, byśmy wspólnymi siłami podołali temu zadaniu, bo w przeciwnym razie będziemy zgubieni.

Zbliżyłem się do staruszka, ani przez chwilę nie wątpiąc, że wielkie koło steru wnet podda się sile mych młodych i pełnych wigoru mięśni. Przekonanie moje nie było przejawem czczej próżności, wygląd mój i postura zawsze stanowiły bowiem obiekt zazdrości i rozpachy moich

kolegów. Dopomogłem naturze, szcząc się moją siłą i w związku z tym jeszcze bardziej rozbudowywałem moją muskulaturę i dbałem o rozwój fizyczny, kształtując ciało i mięśnie najlepiej jak to było możliwe. Od dzieciństwa regularnie trenowałem boks, baseball oraz futbol.

Dlatego też, z najgłębszym przekonaniem schwyciłem za wielką, żelazną obręcz, jednak choć napierałem z całych sił, i nie ustawałem w wysiłkach, podobnie zresztą jak Perry, koło pozostało niewzruszone – i to posępne, nieczułe, przerażające urządzenie wiodło nas teraz prostą drogą, ku niechybnej śmierci!

W końcu zaprzestałem bezużytecznych zmagania i bez słowa wróciłem na swoje miejsce. Wszelkie słowa były zbędne, a przynajmniej ja tak uważałem – Perry mógł się pomodlić, jeśli miał na to ochotę. Nie wątpiłem skądinąd, że tak właśnie uczyni, nigdy bowiem nie przegapił po temu stosownej okazji i odmawiał modlitwę praktycznie w każdej wolnej chwili. Modlił się rano, po przebudzeniu, przed posiłkiem, po posiłku i raz jeszcze, tuż przed snem. W trakcie dnia też często znajdował sposobność, by się pomodlić. Powody były zwykle banalne i moim zdaniem naciągane, miałem w przeciwieństwie do niego materialistyczną, racjonalną naturę i mogłem jedynie podejrzewać, że teraz, gdy śmierć naprawdę zaglądała nam w oczy, będę świadkiem istnej orgii modłów – o ile rzecz jasna ktoś mógłby pozwolić sobie na takie skądinąd dość karkołomne porównanie tej jakże poważnej i istotnej czynności.

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy odkryłem, że kiedy stanął oko w oko ze śmiercią, Abner Perry stał się zupełnie innym człowiekiem. Z jego ust popłynęły nie słowa modlitwy, lecz potok nader wyszukanych i nierzadko barwnych inwektyw, skierowanych, wszystkie bez wyjątku, pod adresem owego upartego fragmentu mechanizmu.

– Spodziewałbym się raczej, Perry – rzuciłem drwiąco – że człowiek tak głęboko religijny jak ty, w obliczu nieuchronnej śmierci będzie się raczej modlił, niż wyrzucał z siebie przekleństwa.

– Śmierć? – zawołał. – Lękasz się śmierci? To nic w porównaniu ze stratą jaką może ponieść świat, gdybyśmy zginęli. Dawidzie, wszak podróżując w tym żelaznym cylindrze zademonstrowaliśmy możliwości, o jakich nauce nawet się dotąd nie śniło! Ujarzmiliśmy nową zasadę, a wraz z nią ożywiliśmy bryłę stali, przydając jej mocy dziesięciu tysięcy ludzi. Śmierć dwóch ludzi to pestka w porównaniu z tym, jak ucierpi cały świat, gdy we wnętrzu Ziemi pogrzebana zostanie prawda o odkryciach jakich dokonałem, oraz jawny dowód na powodzenie mego projektu, którego efekt w postaci tego pojazdu wiedzie nas coraz dalej i dalej w głąb ziemi, ku gorejącym w samym jej środku, wiecznym płomieniom.

Szczerze przyznaję, że jeżeli o mnie chodziło, bardziej przejmowałem się naszą najbliższą przyszłością niż potencjalnie wielką stratą jaką mógł ponieść świat w związku z naszą zgubą. Świat póki co najwyraźniej niespecjalnie się przejmował naszym kłopotliwym położeniem, które dla mnie było jak najbardziej realną i coraz bardziej przerażającą teraźniejszością.

– Co możemy uczynić? – spytałem, ukrywając moje wzburzenie pod maską udawanego spokoju i cichego, zrównoważonego głosu.

– Możemy zatrzymać się tutaj i umrzeć z braku powietrza, kiedy wyczerpie się zawartość naszych zbiorników – odparł Perry – albo możemy podążać dalej, z nikłą nadzieją że uda nam się później zmienić kurs eksploratora z pionowego na horyzontalny, aby stopniowo, zataczając szeroki łuk, wydźwignąć się na powrót ku powierzchni. Jeżeli nam się to uda zanim dotrzemy do głębokości, gdzie panują naprawdę wysokie temperatury, może nawet zdołamy przeżyć. Moim zdaniem szanse, że się nam powiedzie, wynoszą jak jeden do kilku milionów – w przeciwnym razie umrzemy szybciej, lecz tak samo nieuchronnie jak wówczas, gdybyśmy zatrzymali eksploratora, czekając beczynnym na okrutną i powolną śmierć.

Spojrzałem na termometr. Wskazywał 110 stopni. Podczas gdy my rozmawialiśmy, żelazny kret przewiercił się na ponad milę w głąb kamienistej skorupy Ziemi.

– Wobec tego, podążajmy dalej – odparłem. – W tym tempie wkrótce powinno być po wszystkim. Chyba się nie spodziewałeś, że ten pojazd będzie się poruszał z tak wielką prędkością. Prawda, Perry?

– Owszem – przyznał. – Nie byłem w stanie określić jaką szybkość osiągnie eksplorator, bo nie potrafiłem zmierzyć pełnej mocy tego wielkiego generatora. Podejrzywałem jednak, że powinniśmy pokonywać jakieś pięćset jardów na godzinę.

– A poruszamy się z prędkością siedmiu mil na godzinę – dokończyłem za niego, gdy usiadłem i zatrzymałem wzrok na wskaźniku pomiaru głębokości. – Jak gruba jest skorupa Ziemi, Perry? – spytałem.

– Na ten temat zdań jest tyle, ilu geologów – padło w odpowiedzi. – Jedni uważają, że ma ona trzydzieści mil grubości, ponieważ wewnętrzny żar, którego temperatura wzrasta w tempie około jednego stopnia na każde sześćdziesiąt–siedemdziesiąt stóp głębokości, powinien być w stanie stopić większość trudno topliwych materiałów na tej właśnie głębokości. Inni twierdzą, że zjawiska precesji i nutacji wymagają, aby ziemia, jeśli nawet nie w pełni solidna, miała skorupę o grubości od ośmiuset do tysiąca mil. Tak to właśnie wygląda. Sam zdecyduj.

– A jeśli okaże się pełna i lita? – spytałem.

– Dla nas nie będzie to miało ostatecznie większego znaczenia – odparł Perry. – Nie będzie nam też robiło to żadnej różnicy. W najlepszym razie paliwa wystarczy nam na trzy, może cztery dni, podczas gdy powietrze skończy się już po trzech dniach. Ani jednego, ani drugiego nie starczy abyśmy przebili się przez osiem tysięcy mil litej skały i bezpiecznie dotarli na antypody.

– Jeżeli okaże się, że skorupa ma dostateczną grubość, nasz pojazd zatrzyma się, by na zawsze pozostać na głębokości od sześciuset

do siedmiuset mil pod powierzchnią ziemi, jednak ostatnie sto pięćdziesiąt mil eksplorator pokona już bez naszego udziału, my bowiem, będziemy już wtedy martwi. Zgadza się? – spytałem.

– Jak najbardziej, Dawidzie. Boisz się?

– Sam nie wiem. Wszystko rozegrało się tak szybko, że śmiem twierdzić, iż żaden z nas nie do końca zdaje sobie sprawę z grozy naszego położenia. Czuję, że powinna mnie przepełniać paralizująca panika, a jednak tak nie jest. Mogę jedynie podejrzewać, że szok jest tak wielki, iż częściowo nas oszołomił i przytępił naszą wrażliwość.

Ponownie odwróciłem się w stronę termometru. Słupek rtęci wznosił się znacznie wolniej niż dotychczas. Obecnie wskazywał 140 stopni, choć przebiliśmy się na głębokość nieomal czterech mil. Poinformowałem o tym Perry'ego, a on tylko się uśmiechnął.

– Obaliliśmy przynajmniej jedną teorię – stwierdził tylko, po czym powrócił do swego stałego zajęcia jakim było obrzucanie potokiem inwektyw nieustępliwego koła sterowego. Słyszałem kiedyś przeklinającego pirata, ale jego inwencja twórcza wydawała się nader uboga w porównaniu z kwiecistością porównań i mistrzowskimi uczonymi obelgami Perry'ego.

Raz jeszcze spróbowałem poruszyć kołem, ale równie dobrze mógłbym spróbować ruszyć z posad bryłę świata. Za moją namową, Perry wyłączył generator i kiedy się zatrzymaliśmy, znowu spróbowałem, nie szczędząc sił, z najwyższym wysiłkiem poruszyć żelazną obręcz choćby o włos, efekt jednak był taki sam, jak wówczas, gdy podróżowaliśmy z największą prędkością – czyli żaden.

Pokręciłem ze smutkiem głową i wskazałem na dźwignię startową. Perry pociągnął ją do siebie, i ponownie zaczęliśmy podążać pionowo w dół, ku wieczności, z prędkością siedmiu mil na godzinę. Siedziałem, nie odrywając wzroku od termometru i wskaźnika odległości. Słupek rtęci wznosił się teraz bardzo wolno, choć nawet temperatura wynosząca 145

stopni była prawie nie do zniesienia, w ciasnych ścianach naszego metalowego więzienia.

Około południa, albo inaczej, w dwanaście godzin po tym jak wyruszyliśmy w tę niefortunną podróż, osiągnęliśmy głębokość osiemdziesięciu czterech mil, w którym to punkcie słupek rtęci naszego termometru wykazał 153 stopnie Farenheita.

Perry wciąż nie tracił nadziei, choć nie potrafiłem stwierdzić na jakiej to wątej podstawie opierał swój optymizm. Od inwektyw przeszedł do śpiewu – odniosłem wrażenie, że całe to napięcie w końcu odcisnęło się na jego umyśle. Przez kilka godzin nie rozmawialiśmy, poza tym, że od czasu do czasu prosił mnie abym podałem mu wskazania poszczególnych urządzeń, a ja posłusznie je odczytywałem. Moje myśli przepełniał próżny żal. Przypomniałem sobie liczne zdarzenia z mego dotychczasowego życia, które omal nie przypieczerowały mej zguby. Jak choćby afera w LatinCommons w Andover, kiedy Calhoun i ja włożyliśmy do pieca proch strzelniczy, co omal nie doprowadziło do śmierci jednego z nauczycieli, opiekuna dormitorium. Ale już wkrótce miałem umrzeć i odpokutować za te rzeczy i za kilka innych. Żar był tak silny, że miałem pewne wyobrażenia o tym co może mnie czekać po tamtej stronie. Czułem, że jeszcze parę stopni i stracę przytomność.

– Jakie są teraz wskazania, Dawidzie? – Głos Perry’ego przerwał me ponure rozmyślenia.

– Dziewięćdziesiąt mil i 153 stopnie – odparłem.

– Na Boga, a więc obaliliśmy też teorię o trzydziestomilowej grubości skorupy ziemskiej! – zakrzyknął radośnie.

– Zbytnio nam to nie pomoże – mruknąłem w odpowiedzi.

– Ależ, mój chłopcze – ciągnął. – Czy nic ci nie mówią wskazania poziomu temperatury? Od sześciu mil nie odnotowaliśmy najmniejszego wzrostu. Zastanów się nad tym, synu!



– Owszem, zastanawiam się nad tym – odparłem. – Jaka jest jednak różnica czy zabraknie nam powietrza, gdy temperatura będzie wynosiła 153 albo 153 tysiące stopni? Tak czy owak, będziemy martwi i nikt nie dowie się o tej różnicy.

– Muszę jednak przyznać, że z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu to, że temperatura przestała dalej wzrastać natchnęło mnie nową nadzieją. Na co miałem nadzieję, tego nie potrafiłem, ani nawet nie próbowałem określić. Sam fakt, jak skwapliwie wyjaśnił Perry, że do tej pory udało nam się obalić co najmniej kilka ugruntowanych i powszechnie uznawanych hipotez naukowych uświadomił mi, że tak naprawdę nie wiedzieliśmy co kryło się przed nami, hen w głębi ziemi, mogliśmy zatem przynajmniej ludzi się, lub raczej żywić nadzieję na przeżycie, przynajmniej dopóki pozostawaliśmy przy życiu – bo potem nie będzie to już miało dla nas najmniejszego znaczenia. Było to bardzo słuszne i logiczne rozumowanie, toteż nie omieszkałem go przyjąć.

Na głębokości stu mil temperatura SPADŁA DO 152 I PÓŁ STOPNIA! Kiedy to ogłosiłem, Perry wyciągnął ręce i uściskał mnie.

Od tej pory, aż do południa dnia drugiego, temperatura wciąż spadała i w końcu tak jak wcześniej było nieznośnie gorąco, zrobiło się zimno nie do wytrzymania. Na głębokości dwustu czterdziestu mil w nasze nozdrza wdarła się niemal zwalająca z nóg woń oparów amoniaku, a temperatura spadła do DZIESIĘCIU STOPNI PONIŻEJ ZERA! Przez blisko dwie godziny znosiliśmy ten przejmujący okropny ziąb, aż na głębokości dwustu czterdziestu pięciu mil poniżej powierzchni ziemi weszliśmy w warstwę litego lodu, a słupek rtęci podniósł się szybko do 32 stopni. Przez następne trzy godziny pokonaliśmy dziesięciomilową warstwę lodu, by w końcu przebić się do kolejnej, wypełnionej amoniakiem warstwy, gdzie słupek rtęci ponownie opadł do dziesięciu stopni poniżej zera.

Znów zaczął podnosić się powoli, aż nabraliśmy przekonania że w końcu zbliżamy się do roztopionego, płynnego jądra Ziemi.

Na głębokości czterystu mil temperatura osiągnęła 153 stopnie. Gorączkowo wpatrywałem się w termometr. Słupek rtęci podnosił się powoli. Perry przestał śpiewać i w końcu zaczął się modlić.

Nasze nadzieje zostały w tak brutalny sposób zdruzgotane, że stopniowy wzrost temperatury wydał się nam, niewątpliwie za sprawą przewrażliwionej wyobraźni, znacznie większy aniżeli to było w istocie. Przez kolejną godzinę patrzyłem jak bezlitosny słupek rtęci wznosi się i wznosi, aż na głębokości czterystu dziesięciu mil zatrzymał się znowu na 153 stopniach. Teraz z zapartym tchem i niepokojem zaczęliśmy obserwować wskazania naszych urządzeń.

Sto pięćdziesiąt trzy stopnie było najwyższą temperaturą powyżej warstwy lodu. Czy znów zatrzyma się na tym samym poziomie, czy może będzie kontynuować swój bezlitosny wzrost? Wiedzieliśmy, że nie było już nadziei, a mimo to z uporem typowym dla samego życia, wciąż się łudziliśmy, wbrew temu co praktyczne i oczywiste.

Zawartość naszych zbiorników była już na wyczerpaniu, życiodajnego gazu pozostało zaledwie by zapewnić nam tlenu na kolejne dwanaście godzin. Czy jednak będziemy żyli, by poznać prawdę albo, by nas to jeszcze obchodziło? To wydawało się nieprawdopodobne.

Na głębokości czterystu dwudziestu mil ogłosiłem kolejny odczyt wskaźników.

– Perry! – zawołałem. – Perry, posłuchaj! Znow spada! A jednak spada. Znow mamy tylko 152 stopnie.

– Na Boga! – zawołał. – Co to może znaczyć? Czy Ziemia w samym środku może być zimna jak lód?

– Nie wiem, Perry – odparłem – ale, Bogu dzięki, jeśli mam umrzeć, to cieszę się że nie od ognia – a tego się tylko obawiałem. Żadna inna śmierć mi nie straszna.

Słupek rtęci opadał i opadał, aż osiągnął ten sam niski poziom jak na głębokości siedmiu mil pod powierzchnią ziemi, i wtedy też

uświadomiłem sobie w końcu, że śmierć zbliża się ku nam wielkimi krokami. Perry pierwszy to odkrył. Zobaczyłem jak manipuluje pokrętłami regulującymi poziom powietrza. Równocześnie ja doświadczyłem pierwszych trudności z oddychaniem. Zaczęło kręcić mi się w głowie, a kończyny miałem ciężkie jak z ołowiu.

Zobaczyłem, że Perry osuwa się ciężko w fotelu. Zaraz jednak otrząsnął się i ponownie usiadł prosto. A potem odwrócił się do mnie.

– Żegnaj, Dawidzie – powiedział. – To chyba koniec. – To rzekłszy, uśmiechnął się i zamknął oczy.

– Żegnaj Perry i powodzenia – odpowiedziałem z uśmiechem. Przemogłem jednak w sobie ten budzący grozę letarg. Byłem bardzo młody – nie chciałem umrzeć.

Przez godzinę walczyłem z okrutną, nieubłaganą śmiercią otaczającą mnie ze wszystkich stron. Początkowo przekonałem się, że wspinając się na mocowania konstrukcji powyżej mogę znaleźć trochę więcej życiodajnego tlenu i powinno wystarczyć mi go na pewien czas. Musiała minąć co najmniej godzina, po tym jak Perry stracił przytomność, gdy także ja zacząłem uświadamiać sobie nieuchronność mego losu i to, że nie jestem już w stanie dłużej toczyć tej nierównej, z góry skazanej na porażkę, walki.

Zachowując resztki świadomości odwróciłem się odruchowo w stronę wskaźnika odległości. Wskazywał dokładnie pięćset mil od powierzchni Ziemi – i nagle olbrzymi pojazd, którym podróżowaliśmy, stanął. Ucichł łoskot odłamków skał wyrzucanych przez szczelinę pomiędzy zewnętrzną a wewnętrzną powłoką kadłuba. Szalony wizg ogromnego świdra zdawał się świadczyć, że wiertło obracało się swobodnie W POWIETRZU, a wówczas zdałem sobie sprawę z jeszcze jednego, istotniejszego faktu. Dziób eksploratora znajdował się NAD NAMI.

Powoli zdałem sobie sprawę, że był on skierowany ku górze odkąd przebiliśmy się przez warstwę lodu. W lodzie musieliśmy się obrócić

i odtąd kierowaliśmy się w górę ku powierzchni skorupy ziemskiej. Bogu dzięki! Byliśmy bezpieczni!

Przyłożyłem nos do wlotu kanału, przez który podczas całej podróży eksploratora w głąb ziemi mieliśmy pobierać próbki i moje nadzieje, jak dotąd płonne, jednak się ziściły, bo do żelaznego wnętrza kabiny napływała tamtędy struga świeżego powietrza. Było to dla mnie tak wstrząsającym odkryciem, że reakcja okazała się zbyt silna dla mego przemęczonego ostatnimi wydarzeniami organizmu – i straciłem przytomność.

## OBCY ŚWIAT

Byłem nieprzytomny zaledwie przez chwilę, mgnienie oka, kiedy bowiem osunąłem się z belki, której się przytrzymałem i spadłem z łoskotem na podłogę kabiny, szok sprawił, że natychmiast mnie otrzeźwiło.

Przede wszystkim martwiłem się o Perry'ego. Przeraziła mnie myśl, że mógł umrzeć u progu ocalenia. Rozrywając mu koszulę, przyłożyłem ucho do jego piersi. Nieomal zakrzyknąłem z ulgą – jego serce biło dość wolno, ale regularnie.

Przy zbiorniku z wodą zmoczyłem chustkę do nosa i kilkakrotnie przetarłem nią jego czoło i twarz. W chwilę potem moje wysiłki zostały nagrodzone, gdy ujrzałem jak jego powieki się unoszą. Przez jakiś czas leżał z otwartymi oczami, dziwnie otepiały. Wreszcie w miarę jak zaczął odzyskiwać przytomność umysłu, usiadł pociągając nosem i chłonąc powietrze z wyrazem nieskrywanego zdumienia.

– Jakże to, Dawidzie – zawołał w końcu. – To powietrze, jestem tego tak pewien, jak żyję. Ale jak to... cóż to może znaczyć? Gdzie na Boga jesteśmy? Co się stało?

– To oznacza, że wróciliśmy na powierzchnię, Perry – odparłem. – Gdzie jednak jesteśmy, tego nie wiem. Nie otwierałem jeszcze drzwi. Byłem zbyt zajęty ratowaniem ciebie. Słowo daję, staruszk, niewiele brakowało! W ostatniej chwili wywinąłeś się kostusze!

– Powiadasz, Dawidzie, że wróciliśmy na powierzchnię? Jak to możliwe? Jak długo byłem nieprzytomny?

– Niedługo. Obróciło nas w warstwie lodu. Nie pamiętasz jak nagle zakręciło naszymi fotelami? Od tej pory świder był skierowany w górę,

a nie w dół, jak dotychczas. Wtedy nie zwróciliśmy na to uwagi, ale właśnie to sobie przypominałem.

– Chcesz powiedzieć, że zawróciliśmy, przechodząc przez warstwę lodu, Dawidzie? To niemożliwe. Eksplorator nie może się obrócić. Chyba że jego dziób zostanie wypchnięty od zewnątrz przez jakąś zewnętrzną siłę, albo napotkany opór – ale koło sterowe w kabinie obróciłoby się w odpowiedzi. A ster był jak zablokowany, Dawidzie, nie chciał nawet drgnąć, odkąd wyruszyliśmy. Sam zresztą wiesz.

Wiedziałem, ale było słychać, że nasz świder obraca się w czystym powietrzu, którego strugi wpływały do naszej kabiny.

– Nie mogło nas obrócić gdy przechodziliśmy przez warstwę lodu, Perry, wiem to równie dobrze, jak ty – odparłem – jednak fakt jest faktem, bo przecież znajdujemy się ponownie na powierzchni ziemi, i zamierzam wyjrzeć na zewnątrz, by sprawdzić gdzie wylądowaliśmy.

– Lepiej zaczekaj do rana, Dawidzie, musi być teraz około północy.

Spojrzałem na chronometr.

– Wpół do pierwszej. Podróżowaliśmy przez siedemdziesiąt dwie godziny, zatem musi to być północ. Niemniej jednak zamierzam spojrzeć na błogosławione niebo, którego nie spodziewałem się już nigdy więcej zobaczyć. – To rzekłszy, zdjąłem blokady z drzwi wewnętrznych i otwarłem je na oścież. W przestrzeni pomiędzy powłokami pozostało nieco luźnej materii i musiałem usunąć ziemię łopata, by dostać się do przeciwległych drzwi, w zewnętrznej skorupie.

Wkrótce udało mi się przegarnąć dość ziemi i kamieni z przestrzeni wewnętrznej, by odsłonić znajdujące się naprzeciwko odrzwia. Perry był tuż za mną, kiedy je otworzyłem. Górna część maszyny znajdowała się ponad powierzchnią ziemi. Z nieskrywanym zdumieniem odwróciłem się i spojrzałem na Perry'ego – był jasny dzień!

– Chyba musieliśmy pomylić się w obliczeniach, albo może chronometr szwankuje – powiedziałem. Perry pokręcił głową – w jego oczach

dostrzegłem coś dziwnego.

– Wyjrzyjmy za te drzwi, Dawidzie – zawołał.

Wspólnie wyszliśmy na zewnątrz, by zastygnąć w osłupieniu, ujrzawszy krajobraz, który był dziwny i przepiękny zarazem. Przed nami niski, równy brzeg rozciągał się aż do cichego morza. Jak okiem sięgnąć, powierzchnia wody usłana była niezliczonymi, maleńkimi wysepkami, na niektórych wznosiły się strzeliste, nagie, granitowe skały, inne porośnięte były żyzną, tropikalną roślinnością, na kolejnych zaś wzrok przykuwały barwne kobierce przewspaniałego kwiecia.

Z tyłu za nami wznosił się mroczny, budzący grozę las pełen strzelistych niczym drzewa paproci, mieszających się z roślinnością typową dla pierwotnej, tropikalnej puszczy. Olbrzymie pnącza opadały długimi pasmami od jednego drzewa do drugiego, gęsty podszyt zarastał splątana masą zwalonych pni i konarów. Na skraju puszczy ujrzelśmy taki sam, zapierający dech barwami i różnorodnością, kobierzec kwiatów, jak te, które porastały okoliczne wysepki, ale wśród gęstych cieni wszystko wydawało się ponure i złowrogie, przepełnione iście grobową atmosferą.

Stojące w zenicie słońce, zawieszane na bezchmurnym niebie, skąpywało wszystko swymi promieniami.

– Gdzie my jesteśmy? Co to za miejsce na Ziemi? – zapytałem, odwracając się do Perry'ego. Przez kilka chwil staruszek nie odpowiadał. Stał z pochyloną głową, pogrążony w głębokim zamyśleniu. W końcu się odezwał.

– Dawidzie – powiedział. – Wcale nie jestem pewien, czy jesteśmy na Ziemi.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Perry? – zawołałem. – Czy myślisz, że umarliśmy, a to jest Niebo? – On tylko się uśmiechnął i odwrócił, wskazując na dziób eksploratora, wystający z ziemi, za naszymi plecami.

– Gdyby nie to, Dawidzie, faktycznie mógłbym uwierzyć, że dotarliśmy do krainy na drugim brzegu Styksu. Widok eksploratora wyraźnie przeczy



tej hipotezie, bo przecież nasz pojazd nie trafiłby wraz z nami do Nieba. Jakkolwiek skłaniam się ku przekonaniu, że jakimś sposobem znaleźliśmy się w świecie innym niż ten, który znaliśmy do tej pory. A skoro nie jesteśmy na Ziemi, mamy powód przypuszczać, że znajdujemy się WEWNĄTRZ niej.

– Może pokonaliśmy tylko fragment skorupy ziemskiej i przebiliśmy się na zewnątrz, na którejś z wysp tropikalnych, należących do Indii Zachodnich – zasugerowałem. Perry znów pokręcił przecząco głową.

– Poczekamy, zobaczymy, Dawidzie – odparł. – A póki co, moglibyśmy zbadać chociaż fragment wybrzeża, może uda nam się znaleźć tubylca, który nas oświeci.

Gdy tak szliśmy wzdłuż plaży, Perry z wielką uwagą przyglądał się wodzie. Ewidentnie zmagał się z jakimś potężnym problemem.

– Dawidzie – powiedział nagle – czy zauważyłeś coś niezwykłego, jeżeli chodzi o horyzont?

Kiedy się mu przyjrzałem, zrozumiałem co było powodem, że ten krajobraz wydawał mi się dziwny zaś tym, co wzbudziło we mnie wrażenie czegoś niezwykłego i nienaturalnego był zupełny BRAK HORYZONTU! Jak okiem sięgnąć rozciągał się bezmiar morza usianego małymi wysepkami, te w oddali wyglądały jak maleńkie punkciki, za nimi zaś wciąż było widać morze, aż obserwator mógł odnieść wrażenie że PATRZY W GÓRĘ w najdalej oddalonym punkcie jakiego był w stanie dosięgnąć wzrokiem – sam dystans zatracił się w odległości. To było wszystko, żadnej wyraźnej linii horyzontu, mogącej oznaczać krzywiznę globu, hen, poza zasięgiem wzroku.

– Chyba mnie oświeciło – rzekł Perry, wyjmując zegarek. – Wydaje mi się, że po części rozwiązałem tę zagadkę. Teraz mamy drugą. Kiedy wyszliśmy z pojazdu, słońce znajdowało się dokładnie nad nami. Gdzie jest teraz?

Uniosłem wzrok, by stwierdzić, że wielka kula wciąż wisiała nieruchomo pośrodku nieboskłonu. I cóż to było za słońce! Wcześniej prawie nie zwróciłem na nie uwagi. Trzykroć większe od słońca, które znałem przez całe moje życie i wiszące niemal tak nisko, że sam ten widok napawał przekonaniem, iż można by go dotknąć, wystarczy jedynie unieść rękę.

– Na Boga, Perry, gdzie my jesteśmy? – wykrzyknąłem. – To już zaczyna działać mi na nerwy.

– Myślę, że z pełnym przekonaniem mogę stwierdzić, Dawidzie, iż jesteśmy... – nie dokończył jednak. Gdzieś z tyłu, za nami, w pobliżu eksploratora rozległ się grzmiący, budzący grozę ryk, najgroźniejszy jaki kiedykolwiek miałem okazję usłyszeć. Odwróciliśmy się równocześnie, by ujrzeć źródło tego mrozącego krew w żyłach ryku.

Jeżeli wciąż jeszcze miałem jakieś wątpliwości, czy znajdowaliśmy się na ziemi, widok jaki ujrzały moje oczy, w jednej chwili je rozwiązał. Z lasu wyłoniła się gigantyczna bestia, która przypominała z grubsza niedźwiedzia. Wielkością dorównywała największemu ze słoni, a jej ogromne przednie łapy zakończone były długimi pazurami. Nos, albo pysk, opadał na niemal stopę poniżej dolnej żuchwy, tworząc coś w rodzaju szczątkowej trąby. Cielsko giganta pokrywała gęsta, szorstka sierść. Z przeraźliwym rykiem stworzenie ruszyło w naszą stronę grzmiącym, posuwistym truchtem. Odwróciłem się do Perry'ego, by zasugerować mu, że może warto byłoby poszukać innej okolicy, jednak Perry najwyraźniej już wcześniej doszedł do tego samego wniosku, bo był teraz o dobrych sto jardów ode mnie i z każdą sekundą coraz bardziej się oddalał, gnając długimi susami. Nigdy bym nie podejrzewał, że ten starszawy dżentelmen skrywa w sobie tego rodzaju uśpione talenty.

Zauważyłem, że kierował się w stronę wysuniętej części lasu, ciągnącej się w kierunku morza, niedaleko od miejsca, w którym staliśmy, i kiedy ogromna bestia, której widok skłonił go do ucieczki, sunęła bez litości

w moją stronę, puściłem się w ślad za Perrym, choć w znacznie wolniejszym tempie. Nie ulegało wątpliwości, że masywny stwór, który nas gonił, nie był stworzony do szybkich pościgów, uznałem przeto, że wystarczy abym dotarł do granicy drzew i zdołał wdrapać się na któryś z rosnących wyżej konarów, zanim zjawi się tam to wielkie, kosmate monstrum.

Pomimo grożącego niebezpieczeństwa, nie mogłem nie wybuchnąć śmiechem na widok rozpaczliwych poczynań Perry'ego, który dotarłszy do linii drzew, próbował teraz wdrapać się na którąś z niżej rosnących gałęzi, licząc że w ten sposób zapewni sobie bezpieczeństwo. Najniższe gałęzie rosły na wysokości jakichś piętnastu stóp – a przynajmniej tak było w przypadku drzewa, na które próbował wspiąć się Perry, najwyraźniej uznawszy, że bezpieczniej będzie wleźć na jedno z większych drzew – prawdziwego, leśnego giganta. Z tuzin razy usiłował wdrapać się po pniu, jak wielki drapieźny kot, zaraz jednak lądował z powrotem na ziemi, a po każdym kolejnym upadku z przerażeniem oglądał się przez ramię w stronę nadciągającej bestii, z jego ust zaś dobywały się trwożliwe okrzyki, które niosły się gromkim echem w głąb posępnej puszczy.

W końcu Perry wypatrzył zwisające pnące, grube jak męski przegub, a kiedy dotarłem do linii drzew, on akurat wspinał się po nim, mozolnie przesuając się coraz wyżej, jedna ręka za drugą. Prawie udało mu się dotrzeć do najniżej wyrastającego konara drzewa, z którego zwieszało się pnące, kiedy pękło pod jego ciężarem i runął w dół, by wylądować u moich stóp.

Pechowe zdarzenie przestało być zabawne, bestia bowiem była już zbyt blisko, byśmy mogli wciąż czuć się pewnie. Chwyając Perry'ego za ramię, pomogłem mu wstać, a potem pociągnąłem go w stronę mniejszego drzewa, którego pień mógł z łatwością opasać rękoma i nogami, podszedłem go najwyżej jak tylko mogłem, po czym zostawiłem go jego losowi, kiedy

bowiem obejrzałem się przez ramię, stwierdziłem, że groźna bestia była tuż-tuż.

To właśnie rozmiary tego stworzenia mnie uratowały. Masywne cielsko sprawiło, że stworzenie było zbyt wolne, w porównaniu z moimi młodymi, gibkimi mięśniami, dzięki czemu zdołałem je wyminąć i obiec je z tyłu zanim powolnie pracujący mózg tej istoty nakazał jej, by obróciła się i podążyła za mną.

Kilka sekund przewagi, jaką w ten sposób zyskałem, pozwoliło mi bezpiecznie usadowić się wśród konarów drzewa, o kilka kroków od tego, na którym znalazł schronienie Perry.

Czy wspomniałem o bezpiecznym usadowieniu się? Wtedy sądziłem jeszcze, że jesteśmy bezpieczni, zarówno ja, jak i Perry. Modlił się – podnosząc głos w wyrazie dziękczynienia za nasze ocalenie – i właśnie skończył chwalebny pean, radując się że stwór nie potrafi wspinać się na drzewa, kiedy monstrum, bez ostrzeżenia, dźwignęło się w górę, opierając się na ogromnym ogonie i potężnych tylnych łapach, po czym wyciągnęło te straszne, przednie łapy zakończone długimi, groźnymi pazurami, nieomal dosięgając nimi gałęzi, na której przycupnął staruszek.

Towarzyszący temu ryk został niemal całkiem zagłuszony przez okrzyk przerażenia Perry'ego, który o mały włos nie runął wprost do rozdziawionej paszczy potwora poniżej, z takim pośpiechem uczone próbował opuścić gałąź, która przestała być dla niego bezpiecznym schronieniem. Aż odetchnąłem z ulgą, kiedy ujrzałem, że jednak zdołał podciągnąć się na wyższą gałąź, gdzie był względnie bezpieczny. Wtedy jednak gigantyczna bestia uczyniła coś, co ponownie przepełniło nas trwogą i zmroziło krew w naszych żyłach. Chwytając za pień drzewa mocarnymi łapami, stworzenie pociągnęło go w dół, napierając całym ciężarem swego potężnego cielska i wykorzystując nieprzepartą siłę swych masywnych mięśni. Powoli, lecz nieubłaganie, pień jął przechylać się ku niemu. Cał po calu, stwór przesuwiał łapy ku górze, w miarę jak drzewo coraz bardziej

i bardziej odchyłało się od pionu. Perry, szczękając zębami z przerażenia, przywarł kurczowo do szorstkiego pnia. Chcąc nie chcąc jednak musiał przenieść się jeszcze wyżej i wspinać się na coraz wyższe gałęzie wyginanego i kołyszącego się drzewa. Mimo iż Perry nie ustawał w wysiłkach, i piął się coraz wyżej, wierzchołek drzewa coraz bardziej przybliżał się w stronę ziemi.

Dostrzegłem teraz, dlaczego ten masywny gigant był uzbrojony w tak ogromne łapy. Sposób, w jaki ich używał, był w pełni zgodny z walorami w jakie obdarzyła go natura. Stworzenie przypominające leniwca było roślinożerne i by nakarmić to ogromne cielsko musiało obedrzeć z liści korony wielu drzew. Powodem dlaczego nas zaatakowało mogła być jego ogólnie paskudna natura, tak jak to bywa w przypadku głupich, lecz wyjątkowo zawziętych afrykańskich nosorożców. Te refleksje nadeszły jednak dużo później. W obecnej chwili bardziej lękałem się o Perry'ego, by rozważyć cokolwiek innego, poza sposobami na ocalenie go przed zdawałoby się niechybną śmiercią. Uświadomiwszy sobie, że na otwartej przestrzeni, bez większych trudności powinienem okazać się szybszy od ociężałego giganta, opuściłem swą bezpieczną kryjówkę, zamierzając odwrócić uwagę stworzenia choćby na kilka chwil, aby dać w ten sposób czas Perry'emu na przenosiny na inne, nieco większe drzewo. W pobliżu wiele było takich, które nie poddałyby się nawet przeraźliwej mocy tego tytanicznego monstrum i nie ugięłyby się pod jego naporem.

Gdy dotknąłem stopami ziemi, podniosłem ułamaną gałąź, leżącą wśród splątanej masy pokrywającej całe to podłoże, przypominające podszyt w tropikalnej dżungli, i podkradłszy się niepostrzeżenie z tyłu do kosmatej bestii, zdzieliłem ją z całych sił tą prowizoryczną maczugą. Mój plan powiódł się doskonale. Nie spodziewałem się jednak, że bestia, wcześniej niezdarna i nieruchawa okaże się tak przeraźliwie zwinna. Puściwszy pień drzewa, stworzenie opadło na czworaka i równocześnie machnęło wielkim, masywnym ogonem, z taką siłą, że gdyby mnie trafiło, pogruchotałoby

mi wszystkie kości; na szczęście jednak udało mi się w ostatniej chwili uskoczyć i rzuciłem się do ucieczki, kiedy tylko zadałem gigantowi pierwsze i ostatnie uderzenie.

Gdy monstrum zaczęło mnie ścigać, popełniłem błąd, biegnąc skrajem lasu, zamiast skierować się ku otwartej plaży. W jednej chwili ugrzęzłem po kolana w bujnej roślinności, a ten groźny stwór zaczął zbliżać się do mnie, zmniejszając dzielący nas dystans, podczas gdy mnie poplątały się nogi i upadłem w gąszcz, usiłując uwolnić stopy spomiędzy pnączy. Chwilową przewagę zapewniła mi zwalona kłoda, kiedy bowiem wspiąłem się na nią, zeskakując pokonałem kilka kolejnych stóp i zdołałem też oddalić się od groźnego i zdradliwego podszytu pleniącego się dokoła. Jednakże podejmując dalszą ucieczkę zygzakiem, znów straciłem kilka cennych chwil i mój prześladowca niebezpiecznie się do mnie zbliżył.

Wtem z tyłu za mną usłyszałem hałaśliwy skowyt i ostre, przenikliwe ujadanie – zupełnie jakby wataha wilków szykowała się do ataku. Odruchowo obejrzałem się za siebie, by odkryć co było źródłem tych nowych, niepokojących dźwięków, i w rezultacie poślizgnąłem się, by raz jeszcze upaść twarzą w gęste błocko.

Mój gigantyczny przeciwnik był tym razem tak blisko, że zrozumiałem iż zanim zdołam się podnieść, niechybnie poczuję na sobie ciężar tych przeraźliwych łap, jakież jednak było moje zdziwienie, gdy okazało się, że spodziewany cios mimo wszystko nie nadszedł. Głośny skowyt, warkot i odgłosy kłosań zdawały się teraz dochodzić z niedaleka, tuż za mną, i kiedy podźwignąłem się na rękach aby obejrzeć się do tyłu, zobaczyłem co odwróciło uwagę DYRYTHA, bo tak nazywało się owo zwierzę, o czym jednak dowiedziałem się znacznie później, i co sprawiło że zrezygnowało z pościgu za mną.

Stworzenie było otoczone przez stado około stu drapieżników przypominających wilki, lub może dzikie psy, które atakowały je ze wszystkich stron, powarkując i kłapiąc paszczami, by zatopić długie białe

kły w ciele olbrzyma a następnie wycofać się, zanim gigant zdoła ich dosięgnąć ogromnymi łapami, lub ogonem.

Lecz nie było to wszystko, co zdołały dostrzec me zdumione oczy. Wśród dolnych gałęzi drzew zauważyłem gromadę człekopodobnych istot, mamroczących i pokrzykujących coś w taki sposób, jakby ponaglały watahę do kontynuowania ataków. Z wyglądu dziwnie przypominali oni afrykańskich Murzynów. Ich skóra była całkiem czarna, a rysy twarzy wyraźnie negroidalne, bardzo wydatne, tyle że bez szerokiego czoła, które było nad brwiami mocno cofnięte, albo w ogóle go brakowało. Ich ramiona były wydłużone, a nogi trochę za krótkie w porównaniu do reszty tułowia, jak to bywa u ludzi. Później zaś zauważyłem, że duże paluchy ich stóp sterczą pod kątem prostym w bok w stosunku do pozostałych, co zapewne jest wynikiem ich nadrzewnego stylu życia. Z tyłu za nimi ciągnęły się długie, cienkie ogony, których używali do wspinaczki z podobną wprawą jak to czynili, podciągając się w górę przy użyciu rąk i nóg.

Podźwignąłem się na nogi w chwili, gdy odkryłem że wilko-psy osaczyły i na dobre zatrzymały dyrytha z dala ode mnie. Zauważywszy mnie, kilka tych drapieźników zaprzestało nękania ociężałego giganta i zaczęło zbliżać się w moją stronę, szczerząc kły, ja jednak natychmiast obróciłem się na pięcie i pogałem na powrót w stronę drzew, gdzie wśród listowia i dolnych konarów dostrzegłem podskakujące, szczebioczące po swojemu małpoludy.

Nie miałem większego wyboru pomiędzy nimi a znajdującymi się z tyłu bestiami, mogłem jednak zastanawiać się, jaki los zgotują mi stwory wyglądające niczym groteskowe parodie istot ludzkich, podczas gdy doskonale wiedziałem co mnie czeka, jeśli dopadnie mnie ta ujadająca i szczerząca kły, dzika wataha.

Dlatego co sił w nogach popędziłem w kierunku drzew, zamierzając minąć te, gdzie znajdowały się małpoludy, i znaleźć schronienie na jakimś innym, nieopodal, jednak wilko-psy były bardzo blisko, nieomal tuż



za mną, na tyle blisko, że zacząłem nawet powątpiewać czy zdołam im umknąć, i wtedy jedno ze stworzeń na drzewie nade mną opuściło się głową w dół, zawisając na gałęzi, uczone konara giętkim, długim ogonem, po czym schwywszy pod pachy, podciągnęło mnie w górę, ku bezpiecznemu schronieniu wśród swoich towarzyszy.

Natychmiast zaczęli mnie badać i oglądać z najwyższym zaciekawieniem i ożywieniem. Dotykali mego odzienia, włosów i ciała. Obrócili mnie, by sprawdzić czy mam ogon, a kiedy odkryli, że nie byłem tak wyposażony jak oni, wybuchnęli gromkim śmiechem.

Ich zęby były bardzo duże, białe i równe, za wyjątkiem górnych kłów, które wydawały się nieco dłuższe od pozostałych i nieznacznie wystawały, nawet kiedy istoty te miały zamknięte usta.

Po kilku chwilach takiego badania, jeden z małpoludów odkrył, że ubranie nie było częścią mnie i w rezultacie cały przyodziewek został ze mnie zdarty, przy wtórze kolejnych salw gardłowego śmiechu. Małpoludy próbowały przebrać się w moje rzeczy, jednak ich inteligencja nie sprostała temu zadaniu i ostatecznie dały sobie z tym spokój.

Ja tymczasem wyteżyłem wzrok, usiłując dostrzec Perry'ego, nigdzie go jednak nie spostrzegłem, choć zagajnik, w którym się dotąd ukrywał, znajdował się teraz w pełni w moim polu widzenia. Przepęłił mnie lęk, że coś mu się stało i choć kilkakrotnie zawołałem go po imieniu, nie doczekałem się żadnej odpowiedzi.

W końcu, zmęczony się zabawą moim ubraniem, stworzenia cisnęły je na ziemię, a potem pochwywszy z dwóch stron za ramiona, zaczęły holować mnie pomiędzy koronami drzew. Nigdy dotąd nie doświadczyłem takiej podróży, ani wcześniej, ani nawet później, dziś jeszcze zdarza mi się, że budzę się zlany zimnym potem ze snu, w którym powracają do mnie upiorne wspomnienia tej przerażającej wędrówki.

Zwinne stworzenia przeskakiwały z jednego drzewa na drugie, jak latające wiewiórki, podczas gdy moje czoło zrosił lodowaty pot, gdy

widziałem przepaść rozciągającą się pode mną i w którą mogłem runąć, czy to przez moją własną nieostrożność, czy też upuszczony tam przez holujące mnie małpoludy. Kiedy tak ze mną wędrowały, ja miałem w głowie istną gonitwę myśli. Co stało się z Perrym?

Czy jeszcze go kiedyś zobaczę? Jakie były zamiary tych na wpół ludzkich istot, w których łapy wpadłem? Czy były one mieszkańcami tego samego świata, w którym i ja się urodziłem? Nie! To niemożliwe. Jakże jednak mogłoby być inaczej? Przecież nie opuściłem tej ziemi – i tego akurat byłem stuprocentowo pewien. Nie potrafiłem jednak pogodzić tego co widziałem na własne oczy z przekonaniem, że nadal przebywam w świecie, w którym się urodziłem. Wreszcie, z westchnieniem rezygnacji, poddałem się memu losowi, odkładając dalsze tego typu rozważania na później.

## ZMIANA PANÓW

Musieliśmy przewędrować parę mil przez ten mroczny, niepokojący las, gdy nagle dotarliśmy do zwartej wioski wzniesionej wysoko wśród konarów drzew. Kiedy się do niej zbliżyliśmy, moja eskorta zaczęła dziko pokrzykiwać, co natychmiast spotkało się z gromkim odzewem od strony osady i wnet na spotkanie wyszła nam cała chmara istot należących do tej samej dziwnej rasy, jak te co mnie pojmały.

Znów znalazłem się w samym środku tej osobliwie jazgoczącej hordy. Byłem ciągnięty to w jedną, to w drugą stronę. Szturchano mnie, szczypano i potrącano, aż cały byłem posiniaczony, nie sądzę jednak, by ich zachowanie było podyktowane okrucieństwem ani nawet wrogością – stanowiłem osobliwość, byłem dziwolągiem, nową zabawką, a ich dziecinne umysły wymagały dodatkowych dowodów wszystkich zmysłów, które potwierdziłyby to, co widzieli na własne oczy.

Teraz zawlekli mnie do wioski, która składała się z kilkuset prymitywnych szałasów postawionych z gałęzi i liści, wspierających się na konarach drzew.

Pomiędzy chatami, które tworzyły niekiedy coś w rodzaju nierównych, wąskich uliczek, znajdowały się zeschłe gałęzie i pnie łączące chatki na jednym drzewie z innymi, sąsiednimi drzewami; cała ta sieć szałasów i promenad tworzyła niemal solidne i trwałe podłoże na wysokości dobrych pięćdziesięciu stóp nad ziemią.

Zastanawiałem się, czemu te zwinne istoty potrzebowały mostów łączących poszczególne drzewa, później jednak, gdy zobaczyłem różne gatunki na wpół dzikich zwierząt, które trzymali w swojej wiosce,

zrozumiałem czemu miały służyć owe chodniki. Było tam wiele tych samych wilko-psów, które widziałem ostatnio, jak atakowały dyrytha, a także sporo innych zwierząt przypominających kozy, których rozdęte, nabrzmiące wymiona stanowiły widoczny powód ich obecności tutaj. Strażnik mój zatrzymał się przed jedną z chat, do której mnie wepchnięto; zaraz potem dwie z tych istot przycupnęły przed wejściem – niewątpliwie po to, żeby zapobiec mojej ucieczce. Nie miałem wszelako pojęcia dokąd miałbym uciec. Ledwie znalazłem się wśród mrocznych cieni szałasu, do mych uszu napłynęły dźwięki znajomego głosu, powtarzającego słowa modlitwy.

– Perry! – zawołałem. – Perry, mój drogi staruszkule! Bogu dzięki, żeś zdrów i cały.

– Dawidzie! Czy to możliwe, żeś uciekł przed tym potworem? – Staruszek podszedł i serdecznie mnie uściskał.

Widział jak padam przed dyrythem, a w chwilę potem został pochwycony przez gromadę małpoludów i uniesiony pomiędzy koronami drzew do ich wioski. Jego dziwne odzienie także wzbudziło w nich ciekawość, skądinąd z tym samym rezultatem. Kiedy patrzyliśmy na siebie nawzajem, nie byliśmy w stanie powstrzymać śmiechu.

– Gdybyś miał ogon, Dawidzie – zauważył Perry – byłaby z ciebie całkiem przystojna małpa.

– Może uda nam się pożyczyć gdzieś dwa – odparłem. – W tym sezonie są najwyraźniej bardzo popularne. Zastanawia mnie, co te stworzenia zamierzają z nami zrobić. Nie wydają się naprawdę dzikie. Czym one są, według ciebie? Zamierzałeś powiedzieć mi, gdzie się znaleźliśmy, kiedy pojawił się ten kosmaty gigant – to jak, masz pojęcie co to za miejsce?

– Tak, Dawidzie – odparł. – Wiem dokładnie gdzie jesteście. Dokonaliśmy wiekopomnego odkrycia, mój chłopcze! Udowodniliśmy, że ziemia jest pusta w środku. Przeniknęliśmy przez jej skorupę, do świata wewnętrznego.

– Perry, ty oszalałeś!

– Bynajmniej, Dawidzie. Eksplorator przebił się na głębokość dwustu pięćdziesięciu mil w głąb ziemi. W tym punkcie dotarł do środka ciężkości grubej na pięćset mil skorupy. Aż do tego momentu schodziliśmy pionowo w dół, choć kierunek to naturalnie rzecz względna. Wtedy doszło do zmiany położenia naszych foteli, co sprawiło że uwierzyłeś, iż zawróciliśmy i skierowaliśmy się ku górze – minęliśmy środek ciężkości i choć nie zmieniliśmy kierunku w jakim się poruszaliśmy, w rzeczywistości jednak ruszyliśmy pod górę, ku powierzchni wewnętrznego świata. Czy ta dziwna fauna i flora, którą widzieliśmy nie przekonuje cię, że nie znajdujemy się już w świecie twych narodzin? No i jeszcze ta sprawa z horyzontem, a raczej z dziwnymi aspektami, na które obaj zwróciliśmy uwagę – czy sam ten szczegół nie świadczy, że znaleźliśmy się na wewnętrznej powierzchni sfery?

– Ale słońce, Perry! – zaoponowałem. – Jak na Boga słońce mogłoby przeświecać przez grubą na pięćset mil skorupę globu?

– To co tu widzieliśmy nie jest słońcem, które znamy w naszym zewnętrznym świecie. To inne słońce – całkiem inne słońce, którego promienie sprawiają, iż w tym wewnętrznym świecie trwa niekończący się dzień. Spójrz na nie teraz, Dawidzie – o ile zdołasz je dostrzec przez wejście do naszej chaty – a przekonasz się, że wciąż znajduje się w tym samym miejscu na nieboskłonie. Jesteśmy tu od wielu godzin – a jednak wciąż mamy południe.

Wyjaśnienie jest bardzo proste, Dawidzie. Ziemia była niegdyś gazową masą, kiedy ten mglisty opar stygł, równocześnie zaczął się kurczyć. Wreszcie na jego zewnętrznej powierzchni jęła się formować skorupa stałej materii, swego rodzaju powłoka, to jednak co pozostało wewnątrz było po części materia roztopioną i rozprzestrzeniającymi się szeroko gazami. I co się stało, kiedy to wszystko coraz bardziej stygło? Siła odśrodkowa ciskała cząsteczki mglistego gazowego środka ku powłoce, kiedy

te zaczynały tylko osiągać stan stały. Tę samą zasadę możemy zaobserwować we współczesnym separatorze śmietany. Wreszcie wewnątrz ogromnego, pustego wnętrza, powstałego wskutek kontrakcji ochładzających się gazów, pozostało już tylko niewielkie przegrzane jądro materii gazowej. Takie samo przyciąganie stałej skorupy ze wszystkich stron sprawiło, że to świetliste jądro pozostało dokładnie w samym środku pustego wnętrza globu. To co zaś pozostało jest słońcem, które miałeś dziś okazję zobaczyć, względnie mały obiekt znajdujący się dokładnie w samym środku ziemi. Znajdując się w tej samej odległości od każdego zakątka tego wewnętrznego świata, zalewa je wiecznym światłem i niemal tropikalnym żarem.

Ten wewnętrzny świat musiał ostygnąć na tyle, by dać schronienie i przetrwanie przedstawicielom świata zwierząt całe wieki po tym, jak na powłoce zewnętrznej pojawiło się życie, o tym jednak, że także tutaj w grę wchodziły podobne etapy rozwoju może świadczyć podobieństwo form zarówno wśród roślin, jak i zwierząt, które mieliśmy okazję zobaczyć do tej pory. Weźmy na przykład wielką bestię, która nas zaatakowała. To bez wątpienia odpowiednik *Megatherium* zamieszkującego na zewnętrznej powłoce po okresie pliocenijskim, a którego skamieniały szkielet odkryto w Ameryce Południowej.

– Ale co z groteskowymi mieszkańcami tej puszczy? – spytałem z naciskiem. – Oni z całą pewnością nie mają swych odpowiedników w historii Ziemi.

– Któż to wie? – odparował. – Mogą stanowić ogniwo pomiędzy małpami a ludźmi, które zaginęło jednak wskutek niezliczonych perturbacji wstrząsających skorupą zewnętrzną, lub być rezultatem ewolucji, która tutaj potoczyła się nieco innym torem – jedno i drugie jest tak samo możliwe.

Dalsze spekulacje przerwało pojawienie się u wejścia do chaty kilku spośród naszych porwaczy. Dwóch z nich weszło i wywlokło nas na zewnątrz. Na niebezpiecznych, krętych chodnikach i okolicznych

drzewach roiło się od czarnych małpoludów, ich samic i młodych. Nie mieli żadnych ozdób, broni ani przyodziewku.

– Stoją dość nisko w hierarchii stworzenia – skomentował Perry.

– Ale dostatecznie wysoko, by poradzili sobie z nami – zauważyłem. – Jak sądzisz, co zamierzają z nami zrobić?

Wkrótce mieliśmy się o tym przekonać. Tak jak na okoliczność naszej podróży do wioski, zostaliśmy pochwyceni przez dwie potężne istoty i poniesieni pośród koron drzew, za nami zaś podążyła szczebiocząc, ujadając i pohukując gromada smukłych, czarnych małpoludów.

Dwukrotnie moim tragarzom omsknęła się noga i serce zamarło mi w piersi, gdy runęliśmy w splątaną zieloność, by niechybnie roztrzaskać się, daleko w dole. Jednak w obu przypadkach te giętkie, zwinne ogony wyprężyły się, odnajdując odpowiednio wytrzymałe gałęzie, a same stworzenia ani na chwilę nie wypuściły mnie z rąk. Wydawać by się mogło, że te zdarzenia są dla nich chlebem powszednim, jak dla nas byłoby potknięcie się na ulicy, w świecie zewnętrznym – tak czy inaczej skwitowały owe incydenty gromkim śmiechem i przyspieszywszy jeszcze, poniosły mnie w dal.

Przez jakiś czas przemierzaliśmy puszcę – jak długo jednak, tego określić nie zdołam, przekonałem się bowiem, a później miałem okazję jeszcze to potwierdzić, że czas przestaje być istotnym czynnikiem, kiedy traci się podstawę jego mierzenia. Nie mieliśmy już zegarków, a na niebie słońce wisiało przez cały czas w tym samym miejscu. Już teraz nie byłem w stanie określić ile czasu upłynęło odkąd przebiliśmy się przez powłokę do wewnętrznego świata. Mogło minąć kilka godzin lub równie dobrze kilka dni, podejrzewałem jednak, że nie przebywaliśmy w tym dziwnym świecie dłużej niż kilka godzin.

Wreszcie las się skończył i znaleźliśmy się na gładkiej równinie. Niedaleko przed nami wznosiły się niskie, kamieniste wzgórza. To właśnie w tę stronę poprowadziły nas małpoludy i po krótkim czasie, pokonawszy

wąską przełęcz, znaleźliśmy się w niedużej, okrągłej dolinie. Małpoludy zabrały się tu do roboty i już wkrótce stwierdziliśmy, że jeżeli nawet nie zginiemy, dla uczczenia jakiegoś ważnego barbarzyńskiego święta, czeka nas śmierć z innych, nie mniej istotnych przyczyn. Nastawienie prowadzących nas stworzeń zmieniło się z chwilą, gdy tylko weszły na tę naturalną arenę pośród skalistych wzgórz. Ich śmiechy ucichły. Zwierzęce oblicza przepełniła posępna powaga – nie raz też stworzenia groźnie szczyrzyły na nas kły.

Poprowadzono nas na środek amfiteatru, a tysiąc istot utworzyło wielki krąg wokół nas. Potem przyprowadzono wilko-psa – hienodona, jak nazwał to stworzenie Perry – i uwolniono wraz z nami wewnątrz kręgu. Cielsko stworza dorównywało wielkością roslemu mastiffowi, łapy były krótkie i silne, szczęki szerokie i mocne. Jego grzbiet i boki porastała ciemna, gęsta sierść, podczas gdy pierś i brzuch były prawie całkiem białe. Wyglądało groźnie, gdy podchodziło do nas, szczyrząc długie, mocne kły.

Perry modlił się na klęczkach. Ja schyliłem się i podniosłem nieduży kamień. Gdy to uczyniłem, stworzenie nieznacznie się cofnęło, ale wciąż krążyło wokół nas. Najwyraźniej zdarzyło mu się już kiedyś poczuć uderzenie kamienia. Małpoludy podskakiwały jak szalone, ponaglając i zachęcając drapieżnika do ataku dzikimi okrzykami, aż w końcu, widząc, że nie zamierzam rzucić kamieniem, bestia zaatakowała.

W Andover, a później w Yale, byłem miotaczem w odnoszących liczne zwycięstwa drużynach baseballowych. Moja szybkość i opanowanie musiały wykraczać ponad przeciętną, bo na drugim roku studiów osiągnąłem rekordowe wyniki, które sprawiły iż zaczęły się mną interesować i składać oferty najlepsze drużyny ligi zawodowej. Nigdy jednak od żadnego z najtrudniejszych nawet narzutów w przeszłości nie zależało tyle co teraz i nigdy nie potrzebowałem większego opanowania.

Gdy przygotowywałem się do rzutu miałem pełną kontrolę nad moimi mięśniami i nerwami, choć wyszczerzona, rozdziawiona paszcza zbliżała



się do mnie z zatrważającą prędkością. Wreszcie wypuściłem kamień, wkładając w ten rzut całą siłę moich mięśni, ciężar ciała i wszystko to, co wiedziałem o fizyce miotania. Kamień trafił hienodona w sam koniec nosa i odrzucił zwierzę do tyłu, powalając je na grzbiet.

W tej samej chwili krąg widzów zareagował istnym chórem wrzasków i pohukiwań. Z początku pomyślałem, że powodem tego była porażka ich czempiona, wnet jednak okazało się, że się pomyliłem. Kiedy się rozejrzałem, stwierdziłem że małpoludy rozpierzchły się na wszystkie strony, kierując się ku otaczającym nas wzgórzom. Wtedy też odkryłem prawdziwy powód ich zaniepokojenia. Za nimi, przez przełęcz wiodącą w dolinę, nadciągała horda włochatych ludzi, istot przypominających goryle, uzbrojonych we włócznie i topory i noszących długie, owalne tarcze. Niczym stado demonów rzuciły się na małpoludy, hienodon zaś, który tymczasem odzyskał przytomność i podźwignął się na nogi, umknął w popłochu, skowycząc z przerażenia. Obok nas przebiegali ścigani i ścigający, przy czym włochate istoty obdarzały nas jedynie przelotnymi spojrzeniami, dopóki arena całkiem nie opustoszała, pozbawiona tych, co wcześniej ją zajmowali. Dopiero wtedy do nas wróciły, ten zaś, który najwyraźniej dowodził całą grupą rozkazał, aby zabrano nas z pozostałymi.

Kiedy opuściliśmy amfiteatr i znaleźliśmy się na wielkiej równinie, ujrzeliśmy karawanę mężczyzn i kobiet, istot ludzkich, takich jak my, i po raz pierwszy serce moje przepełniła nadzieja i ulga, tak wielka, że gotów byłem krzyczeć ze szczęścia na całe gardło. To prawda, że byli półnaczy i sprawiali wrażenie dzikusów, ale przynajmniej wyglądali tak jak my; nie było w nich nic groteskowego ani przerażającego, jak u innych stworzeń zamieszkujących ten dziwny, obcy świat.

Kiedy jednak podeszliśmy bliżej, serca znów zamarły nam w piersi, odkryliśmy bowiem, że ci nieszczęśnicy byli przykuci za szyję, jeden za drugim w długiej kolumnie, a stworzenia przypominające goryle były ich

strażnikami. Bez większych ceregieli, Perry i ja zostaliśmy zakuci na samym końcu tej kolumny, i przerwany marsz rozpoczął się na nowo.

Aż do teraz ekscytacja dodawała sił nam obu; w końcu jednak żmudna monotonia długiego marszu przez sprażoną słońcem równinę sprowadziła na nas cierpienie wynikające z długiego niedoboru snu. Brnęliśmy krok za krokiem, w promieniach stojącego w wiecznym zenicie słońca. Gdy potykaliśmy się i upadaliśmy, szturchano nas boleśnie końcem włóczni. Nasi towarzysze niedoli nie potykali się. Stali dumnie wyprostowani. Od czas do czasu wymieniali między sobą parę słów w prostym, monosylabowym języku. Wydawali się należeć do szlachetnej rasy, mieli dobrze ukształtowane głowy i idealne rysy. Mężczyźni byli brodaci, wysocy i muskularni, kobiety niższe, drobniejsze i pełne gracji, z długimi kruczoczarnymi włosami upiętymi na głowach w luźne koki. Rysy obu płci były proporcjonalne, nie było wśród nich twarzy, którą wedle ziemskich standardów mógłbym określić mianem pospolitej. Nie nosili żadnych ozdób, wynikało to jednak z faktu – o czym dowiedziałem się później – że oprawcy zabrali im wszystkie cenne przedmioty. Kobiety przyodziane były w prostą szatę z jakiejś jasnej, lecz cętkowanej skóry przywodzącej na myśl skórę lamparta. Ich stroje opięte były w talii skórzanym rzemieniem, który zwieszał się z jednej strony, poniżej kolan, lub był zgrabnie zarzucony na ramię. Na stopach nosiły skórzane sandały. Mężczyźni mieli na sobie przepaski biodrowe ze skóry jakiejś włochatej bestii, których długie końce, z przodu i z tyłu sięgały prawie do samej ziemi. W niektórych przypadkach te końce były ozdobione mocnymi pazurami bestii, ze skór których je wykonano.

Nasi strażnicy, których opisałem już jako małpoludy o wyglądzie goryli, nie byli tak mocno zbudowani jak goryle, ale tak czy owak sprawiali wrażenie silnych i masywnych. Ich ręce i nogi były bardziej proporcjonalne jak na ludzkie standardy, ale całe ich ciało porastała gęsta, brunatna sierść, a twarze wyglądały niemal równie dziko i zwierzęco jak u tych paru

wypchanych okazów goryli, które miałem okazję oglądać w muzeum, w moim rodzinnym mieście.

Ich kształt czaszki i jej wielkość przypominały bardziej ludzką, niż małpią, a przynajmniej w górnej i tylnej jej części. Pod tym względem ani trochę nie różnili się od ludzi takich jak my. Mieli na sobie tuniki z jasnego materiału, sięgające mniej więcej do kolan. Pod tą tkaniną nosili przepaski biodrowe z tego samego materiału, podczas gdy na stopach mieli prymitywne obuwie wykonane ze skóry jakiejś gigantycznej bestii zamieszkującej ten wewnętrzny świat.

Ich szyje i ramiona opinały liczne ozdoby z metalu – głównie ze srebra – na ich tunikach zaś ponaszywane były czaszki niewielkich stworzeń, układając się w dziwaczne i raczej dość artystyczne wzory. Istoty rozmawiały między sobą, kiedy tak szły obok nas po jednej lub po drugiej stronie, ich język różnił się jednak od tego, którym posługiwali się nasi towarzysze niedoli. Kiedy zwracali się do więźniów, używali jeszcze innego, trzeciego języka, który, jak dowiedziałem się później, jest rodzajem prymitywnego dialektu – mógłbym porównać go jedynie do pidgin-english, jakim posługują się chińscy kulisi.

Nie potrafiłem określić, jaki dystans przeszliśmy, podobnie zresztą jak Perry. Obaj niewiele spaliśmy, zdawałoby się że przez wiele godzin, zanim się wreszcie zatrzymaliśmy, a raczej zanim kazano nam stanąć. Mówię „wiele godzin” jednak jak mierzyć upływ czasu, w miejscu gdzie czas nie istnieje? Kiedy wyruszyliśmy w drogę, słońce stało w zenicie, kiedy się zatrzymaliśmy, nasze cienie wciąż wskazywały ku nadirowi. Któż może stwierdzić czy minęła zaledwie chwila, czy cała wieczność wedle czasu ziemskiego. Marsz ten mógł trwać dziewięć lat i jedenaście miesięcy spośród dziesięciu lat, które spędziłem w wewnętrznym świecie, lub zaledwie ułamek sekundy, nie potrafię tego określić. Wiem jednak, że odkąd powiedziałaś mi, iż upłynęło dziesięć lat od kiedy opuściłem tę ziemię, straciłem szacunek względem czasu i śmiem wątpić, czy coś

takiego istnieje w ogóle gdziekolwiek indziej, poza słabymi, skończonymi ludzkimi umysłami.

## DIAN PIĘKNA

Kiedy strażnicy nas obudzili, poczuliśmy się znacznie bardziej wypoczęci. Dano nam jedzenie. Były to paski suszonego mięsa, jednak dodało nam ono sił i znacznie ożywiło. Szliśmy odtąd dziwnie wyprostowani, stawiając długie, majestatyczne kroki. A przynajmniej ja miałem dumnie uniesioną głowę, bo byłem młody i butny; nieszczęsny Perry natomiast nie znośił chodzić pieszo. Na Ziemi nieraz widywałem jak łapał taksówkę aby dotrzeć przecznicę dalej – i teraz za to płacił, a jego stare nogi trzęsły się tak, że musiałem objąć go ramieniem i prawie go niosłem, przez znaczną część tego przerażającego marszu.

Krajobraz w końcu zaczął się zmieniać i znaleźliśmy się na prostej równinie ciągnącej się wśród strzelistych gór z dziewiczego granitu. Tropikalną roślinność nizin zastąpiła znacznie bardziej surowa flora, jednak nawet tutaj dało się dostrzec skutki wiecznego upału i światła, a to w postaci strzelistych, ogromnych drzew, gęstego listowia i różnorodności barwnego kwiecia. Kryształowo czyste strumienie z głośnym szumem toczyły swe wartkie wody przez kamienne koryta, napełniane przez wieczne śniegi, które widzieliśmy wysoko w górze, nad nami. Ponad ośnieżonymi szczytami wisiały masy gęstych chmur. To właśnie one, jak wyjaśnił Perry, musiały spełniać dwojaki cel – uzupełniając zasoby topniejącego śniegu i chroniąc jego warstwy przed promieniami słońca.

Do tego czasu zdołaliśmy podchwycić najprostsze podstawy prymitywnego dialektu, w jakim zwracali się do nas strażnicy, jak również w całkiem niezłym stopniu opanowaliśmy skądinąd czarujący język naszych współtowarzyszy niedoli. Dokładnie na wprost mnie w kolumnie

kajdaniarzy znajdowała się młoda kobieta. Długi na trzy stopy łańcuch połączył nas w wymuszonym związku, jednak już wkrótce bliskość ta zaczęła mnie cieszyć. Okazała się bowiem gorliwą nauczycielką i nauczyłem się od niej języka jej plemienia, dowiedziałem się także wiele o życiu i zwyczajach wewnętrznego świata, a przynajmniej tyle, ile wiedziała o nich ona sama. Wyjawiała mi, że zwie się Dian Piękna, i należała do plemienia Amoz, zamieszkującego na klifach ponad Dorel Az, albo inaczej płytkim morzem.

– Jak tu trafiłaś? – spytałem jej.

– Uciekałam przed Jubalem Szpetnym – odparła, jakby to wyjaśnienie było w pełni satysfakcjonujące.

– Kim jest Jubal Szpetny? – spytałem. – I czemu przed nim uciekałaś?

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– A czemu kobieta ucieka przed mężczyzną? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Cóż, tam skąd pochodzę – stwierdziłem – zdarza się, że kobiety nie tylko nie uciekają przed mężczyznami, ale wręcz się za nimi uganiają.

Nie zrozumiała. Ja zaś nie byłem w stanie jej wytłumaczyć tego, że pochodziłem z innego świata. Trwała w przekonaniu, że dzieło stworzenia ograniczało się jedynie do jej własnego gatunku i świata w którym żyła, podobnie jak uważało wielu tych, co żyło w świecie zewnętrznym.

– Wróćmy do Jubala – powiedziałem. – Opowiedz mi o nim, i dlaczego uciekałaś, by skończyć z łańcuchem na szyi, w karawanie podobnych sobie nieszczęśników.

– Jubal Szpetny złożył trofeum przed domem mego ojca. Była to głowa wielkiego tandora. Pozostała tam i nie złożono przy niej wspanialszego trofeum. Dlatego wiedziałam, że Jubal Szpetny przybędzie i weźmie mnie jako swoją wybrankę. Nikt równie potężny nie chciał się o mnie ubiegać ani zabić groźniejszej bestii, a tym samym odebrać mnie Jubalowi. Mój ojciec nie jest wielkim myśliwym. Kiedyś nim był, ale został wzięty na rogi przez

sadoka i nigdy nie odzyskał pełnej sprawności w prawej ręce. Mój brat, Dakor Mocny udał się do krainy Sari, by porwać dla siebie wybrankę. W tej sytuacji nie miałam nikogo, ni ojca, ni brata, ni ukochanego, kto by mógł ocalić mnie przed Jubalem Szpetnym, uciekłam więc i ukryłam się wśród wzgórz otaczających krainę Amoz. Tam też znaleźli mnie Sagothowie i pojмали w niewolę.

– Co z tobą zrobią? – spytałem. – Dokąd nas zabierają?

Znów spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Nieomal jestem w stanie uwierzyć, że pochodzisz z innego świata – powiedziała. – Tylko to bowiem jest w stanie tłumaczyć twoją niewiedzę. Naprawdę chcesz powiedzieć, że nie wiesz, iż Sagothowie są sługami Mahar, potężnych Mahar, które uważają, że są panami Pellucidaru i wszystkiego co stąpa lub rośnie na jego powierzchni, tego co pleni się lub ryje nory pod powierzchnią, tego co pływa w odmętach jezior i oceanów, lub co fruwa w powietrzu? Zaraz mi powiesz, że nigdy dotąd nie słyszałeś o Maharach!

Wzbraniałem się przed tym, co jeszcze bardziej wzmogło jej rezerwę wobec mnie, jeśli jednak chciałem zyskać niezbędną wiedzę, musiałem otwarcie przyznać, że nie mam pojęcia kim były wspomniane Mahary. Była wstrząśnięta. Postarała się jednak szybko mnie oświecić, choć wiele z tego co mówiła nawet dla niej samej musiało być nie do końca zrozumiałe. Opisywała Mahary w znacznej mierze na bazie porównań. W ten sposób przypominali thipdarów, a pod tym względem bezwłose lidisy.

Z tego wszystkiego zrozumiałem tylko, że były to dość odrażające istoty, mające skrzydła i łapy połączone błoną, żyły w miastach zbudowanych pod ziemią, potrafiły przepływać pod wodą bardzo duże odległości i były bardzo, ale to bardzo mądre. Sagothowie byli ich bronią ofensywną i defensywną, zaś rasy takie jak ta, były ich rękoma i nogami – pełnili funkcję niewolników i sług, wykonując wszystkie prace fizyczne

wymagające użycia rąk. Mahary były głowami – mózgami – wewnętrznego świata. Nie mogłem się już doczekać, kiedy ujrzę tę cudowną rasę nadludzi.

Perry nauczył się języka wraz ze mną. Kiedy się zatrzymywaliśmy, co zdarzało się dość często, choć niekiedy postoje zdawały się być oddalone jeden od drugiego o całe wieki, przyłączał się do rozmowy, podobnie jak Ghak Włochaty, który był przykuty bezpośrednio przed Dian. Przed Ghakiem znajdował się Hooja Przebiegły. On także od czasu do czasu włączał się do rozmowy. Większość jego uwag kierowana była pod adresem Dian Pięknej. Nietrudno było się zorientować, że na coś liczył, jednak dziewczyna w ogóle nie zwracała uwagi na jego kiepsko skrywane awanse. Czy wspomniałem, że były kiepsko skrywane? W Nowej Zelandii albo może w Australii, nie pamiętam gdzie konkretnie, żyje rasa mężczyzn, którzy okazują zainteresowanie wybrance swego serca, tłukąc ją po głowie maczugą. W porównaniu z tą metodą, okazywanie uczuć przez Hooję można by faktycznie określić mianem kiepsko skrywanych. Z początku wywołało to na moich policzkach silne rumieńce, choć miałem okazję widywać umizgi wśród uczniów starszych klas i studentów, a także odwiedziłem kilka miejsc cieszących się znacznie gorszą renomą, niedaleko Broadwayu, jak również w Wiedniu i w Hamburgu.

Ale ta dziewczyna była naprawdę wspaniała. Nietrudno się było zorientować, że uważała, iż jest absolutnie ponad całą tę sytuację w jakiej się znalazła i towarzystwo, które jej przypadło w udziale. Rozmawiała ze mną, z Perrym i małomównym Ghakiem, ponieważ umieliśmy okazywać szacunek, Hooji Przebiegłego natomiast w ogóle nie chciała widzieć, a co dopiero słuchać, i to doprowadzało go do szału. Próbował nakłonić jednego z Sagothów, aby przeniósł dziewczynę do przodu, przed niego w kolumnie kajdaniarzy, jednak strażnik tylko dźgnął go włócznią i powiedział, że wybrał tę dziewczynę dla siebie, zamierza odkupić ją od Mahar, kiedy tylko dotrą do Phutry. Wyglądało na to, że miasto Phutra stanowiło cel naszej wędrówki. Pokonawszy pierwszy łańcuch górski, szliśmy wzdłuż brzegu



słonego morza, w którego odmętach skrywało się całe mnóstwo przerażających stworzeń. Żyjące tam, przypominające foki istoty miały długie szyje unoszące się na dziesięć i więcej stóp ponad ich ogromnymi ciałami, i węzowe głowy z pyskami wypełnionymi niezliczonymi zębiskami. Były tam też wielkie żółwie, pływające wśród wspomnianych przeze mnie wcześniej gadów, które Perry określał mianem plezjozaurów z okresu liasu, dolnej jury. Nie próbowałem się z nim spierać, bo w sumie mógł mieć rację.

Dian powiedziała że to tandorazy, albo tandory morskie, te drugie zaś, bardziej przerażające gady, które od czasu do czasu wyłaniały się z głębin, by z nimi walczyć to azdyrythy, albo morskie dyrythy – Perry nazywał je ichtiozaurami. Przypominały wieloryby z głową aligatora.

Zapomniałem już o zajęciach z geologii, na które uczęszczałem, jedyne co pozostało w mojej pamięci, to groza jaką wzbudzały we mnie ilustracje przedstawiające „odtworzone” prehistoryczne potwory i skądinąd uzasadnione przekonanie, że praktycznie każdy człowiek z barwną wyobraźnią mógłby „odtworzyć” każdy z gatunków paleolitycznych potworów wedle własnego widzimisię i znaleźć się wśród najszynniejszych, światowej klasy paleontologów. Kiedy jednak ujrzałem te smukłe, lśniące ciała skrzące się w słońcu, gdy wyłaniały się z oceanu, potrząsając wielkimi łbami; kiedy zobaczyłem wodę spływającą miniaturowymi kaskadami z ich węzowatych ciał, gdy przemykały raz w jedną, raz w drugą stronę, to wyłaniając się na powierzchni, to znów zanurzając się w odmętach, gdy widziałem jak toczą między sobą tytaniczne boje, rozdziawiając szeroko paszcze, sycząc i parskając, zrozumiałem jak uboga jest ludzka wyobraźnia w porównaniu z niewiarygodnym geniuszem natury.

A Perry był kompletnie oszołomiony. Sam mi to powiedział.

– Dawidzie – rzucił, gdy szliśmy już bardzo długo wzdłuż brzegu tego straszego morza. – Uczyłem geologii, Dawidzie i wydawało mi się, że wierzyłem w to co wykładam, teraz jednak uświadamiam sobie, że wcale

w to nie wierzyłem – że nie sposób wierzyć w takie rzeczy, chyba że ujrzy się je na własne oczy.

Przyjmowaliśmy to wszystko za pewnik, prawdopodobnie dlatego, że powtarzano to nam w nieskończoność, a nie było sposobu, aby te nauki zanegować, to trochę tak jak z religią, gdybym miał dać jakiś przykład, ale w rzeczywistości wcale w to nie wierzymy, tylko tak się nam wydaje. Jeżeli kiedykolwiek zdołasz wrócić do zewnętrznego świata, przekonasz się, że geolodzy i paleontolodzy będą pierwszymi, którzy nazwą cię kłamcą, bo oni wiedzą, że takie istoty, które odtwarzali, nigdy nie istniały. Nie ma nic zdrożnego w tym, by WYOBRAŻAĆ je sobie jako istniejące w jakiejś równie wyimaginowanej epoce – ale teraz? Paf i wszystko się sypie!

Przy następnym postoju, Hooja Przebiegły zdołał wykorzystać luźny fragment łańcucha, aby zbliżyć się do Dian. Wszyscy akurat staliśmy i gdy podszedł do dziewczyny odwróciła się do niego plecami w tak typowy dla ziemskich kobiet sposób, że z trudem zdołałem powstrzymać uśmiech cisnący się na usta, jednak ten uśmiech był krótkotrwały, bo w tej samej chwili Przebiegły zacisnął dłoń na ramieniu Dian i brutalnie przyciągnął ją ku sobie.

Nie znałem obyczajów ani zasad etyki społecznej obowiązujących w Pellucidarze, ale nie musiałem, wystarczyło jedno pełne konsternacji spojrzenie jej ogromnych oczu, by nakłonić mnie do działania. Nawet nie próbowałem zastanawiać się jakie były zamiary Hooji, zanim jednak zdążył pochwycić ją drugą ręką, celnym prawym hakiem na szczękę zwałem go z nóg. Ryk aprobaty wyrwał się z ust innych więźniów i Sagothów, którzy byli świadkami tego krótkiego dramatu; nie sprawiło tego ocalenie dziewczyny, lecz szybki, zdecydowany i – według nich - zdumiewający sposób w jaki pokonałem Hooję.

A dziewczyna? W pierwszej chwili spojrzała na mnie rozszerzonymi, pełnymi zdumienia oczami, zaraz jednak opuściła głowę, odwróciła wzrok,

a na jej policzkach pojawiły się lekkie rumieńce. Przez chwilę stała tak, w całkowitym milczeniu, i nagle dumnie podniosła głowę i odwróciła się do mnie plecami, jak wcześniej do Hooji, a kilku więźniów zaśmiało się, ja zaś zauważyłem, że twarz Ghaka Włochatego bardzo pociemniała, gdy przypatrywał mi się badawczo. Policzek Dian zaś, o ile zdołałem dostrzec, z poczerwieniałego stał się śnieżnobiały.

Zaraz potem znów wyruszyliśmy w drogę i choć w pewien sposób zdawałem sobie sprawę, że musiałem jakoś obrazić Dian Piękną, nie byłem w stanie przekonać jej, aby się do mnie odezwała, dzięki czemu mogłbym zrozumieć, gdzie popełniłem błąd – równie dobrze mogłbym zwracać się do Sfinksa – pozostawała nieodgadniona i niewzruszona. W końcu duma wzięła nade mną górę i zrezygnowałem z dalszych prób i w ten sposób towarzyska niedoli, która choć wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy, stała mi się tak bliska, zupełnie się ode mnie odcięła. W tej sytuacji, nie pozostało mi nic innego jak ograniczyć rozmowy do Perry'ego. Hooja nie ponowił swych zalotów wobec dziewczyny, nie próbował też zbliżyć się do mnie.

I znów nużący, zdający się nie mieć końca marsz stał się dla mnie niewysłowionym koszmarem, uosobieniem czystej grozy. Im bardziej uświadamiałem sobie, że przyjaźń dziewczyny tak wiele dla mnie znaczyła, tym bardziej za nią tęskniłem i tym bardziej nieprzenikniona stawała się bariera głupiej dumy. Byłem jednak bardzo młody i nie zniżyłem się do tego, by poprosić Ghaka o wyjaśnienie, którego z pewnością mogłby mi udzielić, a co z pewnością naprawiłoby relacje pomiędzy mną i Dian.

Podczas marszu lub w trakcie postojów, Dian uporczywie i ostentacyjnie nie zwracała na mnie uwagi – kiedy jej wzrok przesunął się w moją stronę patrzyła nade mną albo na wskroś mnie. W końcu miałem już tego dość i postanowiłem przełknąć urażoną dumę i raz jeszcze poprosić, by wyjaśniła mi jak ją uraziłem i co mogę uczynić, by naprawić swój błąd. Zdecydowałem, że zrobię to podczas kolejnego postoju.

Zbliżaliśmy się właśnie do następnego łańcucha górskiego i gdy tam dotarliśmy, zamiast pokonać je prowadzącymi wysoko przejściami, wkroczyliśmy do ogromnego, naturalnego tunelu, istnego labiryntu jaskiń i korytarzy, w których panowały iście egipskie ciemności.

Strażnicy nie mieli pochodni, ani żadnych źródeł światła. W istocie nie widzieliśmy żadnego sztucznego światła, ani śladów ognia od chwili, gdy znaleźliśmy się w Pellucidarze. W krainie, gdzie wiecznie było południe jakiegokolwiek oświetlenie zewnętrzne nie było konieczne, ja jednak zastanawiałem się czemu nie opracowano żadnego sposobu na oświetlenie drogi przez te podziemne tunele. W rezultacie brnęliśmy przez nie w ślimaczym tempie, potykając się często i upadając – strażnicy zaś, idąc przed nami bez przerwy prowadzili śpiewną inkantację, w której pojawiające się wysokie tony oznaczały, jak się przekonałem, szczególnie niebezpieczne miejsca i zakręty.

Postoje były teraz jeszcze częstsze, ja jednak nie chciałem rozmawiać z Dian, dopóki po wyrazie jej twarzy nie będę w stanie stwierdzić jak przyjmie moje przeprosiny. Wreszcie słaba poświata przed nami oznajmiła, że zbliżamy się do końca tunelu; i widok ten głęboko mnie uradował. Pokonawszy kolejny ostry zakręt, wyszliśmy w końcu na zewnątrz, gdzie znów zalały nas promienie wiecznego słońca.

Wtedy też zdałem sobie sprawę z czegoś, co mnie zaskoczyło i przepełniło zgrozą – bo okazało się, że Dian zniknęła, a wraz z nią pół tuzina innych więźniów. Strażnicy też to odkryli, a brutalność ich gniewu była naprawdę przerażająca – strach było na to patrzeć. Ich groźne, zwierzęce oblicza wykrzywiły niemal diaboliczne grymasy, gdy zaczęli oskarżać jeden drugiego o odpowiedzialność za tę stratę. W końcu rzucili się na nas, okładając drzewcami włóczni i ciosami toporów. Zabili dwóch więźniów znajdujących się na czele kolumny i zapewne nas wszystkich spotkałby ten sam los, gdyby przywódca nie położył wreszcie kresu tej brutalnej rzezi. Nigdy dotąd nie byłem świadkiem równie bezlitosnego

przykładu zwierzęcej wściekłości – i dziękowałem Bogu, że Dian nie była jedną z tych, których dosięgnął ten gniew.

Spośród dwunastu więźniów, którzy byli zakuci w łańcuchy przede mną w kolumnie, zbiegł co drugi, w tym także Dian. Hooja się ulotnił. Ghak pozostał. Co to mogło oznaczać? Jak tego dokonali? Dowódca straży prowadził śledztwo w tej sprawie. Wkrótce odkrył, że prymitywne kłódki, które przytrzymywały obroże na szyjach więźniów, zostały wprawnie pootwierane.

– Hooja Przebiegły – wymamrotał Ghak, który teraz był w kolumnie tuż przede mną. – Zabrał dziewczynę, której ty nie chciałeś – ciągnął, spoglądając na mnie.

– Jak to nie chciałem? – odkrzyknąłem. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Przyglądał mi się bacznie przez chwilę.

– Wątpiłem w twoją historię, że pochodzisz z innego świata – powiedział w końcu – nie sposób jednak w inny sposób wyjaśnić twej nieznajomości obyczajów panujących w Pellucidarze. Naprawdę chcesz powiedzieć, że nie wiesz, iż obraziłeś Dian Piękną, ani jak do tego doszło?

– Nie wiem tego, Ghaku – odparłem.

– Wobec tego, powiem ci. Kiedy w Pellucidarze mężczyzna interweniuje, stając pomiędzy innym mężczyzną i kobietą, którą tamten pragnął mieć dla siebie, kobieta staje się własnością zwycięzcy. Powinieneś być ją przyjąć lub uwolnić. Gdybyś wziął ją za rękę, dałbyś w ten sposób do zrozumienia, że pragniesz, aby została twoją wybranką, gdybyś natomiast uniósł jej rękę ponad jej głowę, a potem puścił, oznaczałoby to, że nie chcesz jej jako swojej towarzyszki i uwalniasz ją od wszelkich zobowiązań względem ciebie. Nie robiąc żadnej z tych dwóch rzeczy, uczyniłeś jej największy afront jaki mężczyzna może wyrządzić kobiecie. Teraz jest twoją niewolnicą. Żaden mężczyzna nie zechce jej na swoją wybrankę, lub może ją zdobyć honorowo jedynie, jeśli pokona cię w walce,

a mężczyźni nie biorą sobie na towarzyszek kobiet niewolnych – w każdym razie nie mężczyźni z Pellucidaru.

– Nie wiedziałem tego, Ghaku – zawołałem. – Nie wiedziałem. Niechaj cały Pellucidar będzie mi świadkiem, że nigdy, przenigdy nie skrzywdziłem świadomie Dian, czy to słowem, spojrzeniem czy uczynkiem. Nie chcę, by była mą niewolnicą. Nie chcę by była mi... – nie dokończyłem. Oczyma wyobraźni znów ujrzałem tę słodką, niewinną twarzyczkę i choć wcześniej sądziłem, że oplakuję jedynie utraconą przyjaciółkę, poczułem teraz gorzki i niesmak, że gotów byłem przyznać, iż nie pragnę, by Dian Piękna została mą wybranką. Nie myślałem o niej dotąd inaczej jak o towarzysze niedoli w tym dziwnym, okrutnym świecie. Nawet teraz nie zdawałem sobie sprawy, że ją pokochałem.

Ghak chyba musiał wyczytać prawdę z mego wyrazu twarzy, aniżeli ze słów, bo delikatnie położył rękę na moim ramieniu.

– Mężczyzno z innego świata – zaczął. – Wierzę ci. Usta mogą kłamać, kiedy jednak serce przemawia przez oczy, mówi wyłącznie prawdę. Twoje serce przemówiło do mnie. Wiem teraz, że nie chciałeś uczynić afrontu Dian Pięknej. Ona nie należy do mojego plemienia, lecz jej matka jest moją siostrą. Ona tego nie wie – jej matka została porwana przez ojca Dian, który przybył wraz z innymi mężczyznami z plemienia Amoz, by stoczyć z nami bój o nasze kobiety – najpiękniejsze kobiety w całym Pellucidarze. Jej ojciec był królem Amoz, a matka córką króla Sari, którego koronę odziedziczyłem ja, jego syn. Dian jest córką królów, choć jej ojciec nie jest już królem odkąd sadok wziął go na rogi, a Jubal Szpetny siłą odebrał mu koronę. Przez wzgląd na jej pochodzenie, afront jakiego doznała od ciebie został jeszcze bardziej spotęgowany w oczach tych, którzy byli tego świadkami. Ona już nigdy ci nie wybaczy.

Spytałem Ghaka czy jest jakiś sposób, abym mógł uwolnić dziewczynę od tej niewoli i hańby jakiej jej niechcący przysporzyłem.

– Jeżeli zdołasz ją odnaleźć, to tak – odparł. – Wystarczy abyś uniósł jej rękę ponad jej głowę i puścił, w obecności świadków, jak jednak miałbyś to uczynić, ty któremu pisana jest dożywotnia niewola w podziemnym mieście, Phutrze?

– Nie można stamtąd uciec?

– Hooja Przebiegły zdołał zbiec i zabrał ze sobą innych – odparł Ghak. – Jednak po drodze do Phutry nie ma więcej ciemnych przejść, a gdy już dotrzemy na miejsce to nie będzie łatwe. Mahary są bardzo bystre. Nawet jeśli komuś uda się zbiec z Phutry, są jeszcze thipdary, odnajdą cię, a wtedy... – Włochaty wzdrygnął się. – Nie, nigdy nie zdołasz uciec Maharom.

To była naprawdę cudowna perspektywa. Zapytałem Perry’ego co o tym sądził, on jednak tylko wzruszył ramionami i kontynuował odmawianie długiej modlitwy, co czynił już od jakiegoś czasu. Zwykł mawiać, że jedynym pozytywnym aspektem naszej niewoli jest czas, jaki zyskał w ten sposób na modlitwę – w jego przypadku stało się to już nieomal obsesją. Sagothowie zaczęli zwracać uwagę na litanie płynące z jego ust podczas kolejnych etapów naszego długiego marszu. Jeden z nich zapytał go, co tak zawzięcie powtarzał, albo z kim rozmawiał. To pytanie podsunęło mi pewien pomysł i odezwałem się pospiesznie, zanim Perry zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Nie przerywajcie mu – rzuciłem. – W świecie, z którego przybywamy człek ten ma opinię prawdziwego świętego męża. Rozmawia z duchami, których wy nie możecie zobaczyć – nie ważcie się mu przerywać albo rzucać się na was, zanim się zorientujecie, i rozerwą was na strzępy, kawałek po kawałku – o, tak. – To rzekłszy dałem susa w stronę najbliższego ze strażników i ryknąłem. – Buuu! – prosto w tę jego zwierzęcą gębę, aż zdezorientowany uskoczył niezdarnie do tyłu, potykając się o własne nogi.

Podjąłem spore ryzyko i zdawałem sobie z tego sprawę, jeśli jednak mogliśmy cokolwiek zyskać na tej skądinąd niegroźnej manii Perry’ego,

chciałem to wykorzystać, skoro nadarzała się po temu okazja. I udało mi się bezbłędnie. Przez resztę wędrowki Sagothowie traktowali nas z wyraźnym szacunkiem, a następnie powiadomili o nas swoich panów, Mahary.

Dwa etapy marszu później po tym zdarzeniu dotarliśmy do Phutry. Wejście do miasta oznaczone było dwiema strzelistymi granitowymi wieżami, strzegącymi masywnych schodów wiodących do podziemnego miasta. Sagothowie pilnowali tego zejścia podobnie jak stu innych wież rozsianych po całej, rozległej równinie.



## NIEWOLNICY

Gdy zeszedliśmy po szerokich schodach prowadzących na główną ulicę Phutry, po raz pierwszy miałem okazję ujrzeć przedstawicieli rasy dominującej w tym wewnętrznym świecie. Odruchowo cofnąłem się, gdy jedna z tych istot podeszła, by nam się przyjrzeć. Nie potrafiłbym sobie wyobrazić bardziej odrażającego stworzenia. Wszechpotężne Mahary z Pellucidaru to wielkie gady, niektóre osiągające nawet od sześciu do ośmiu stóp długości, z długimi, wąskimi głowami i wielkimi, okrągłymi oczami. Ich pyski, przypominające dzioby, są najeżone ostrymi, białymi kłami, a grzbiety masywnych, gadzich ciał pokrywają wyrostki kostne, sięgające od szyi, aż po same końce ich długich ogonów. Stopy mają po trzy palce, połączone błoną pławną, podczas gdy przednie kończyny przechodzą w błoniaste skrzydła, połączone z ich ciałami tuż powyżej tylnych odnóży i skierowane pod kątem 45 stopni ku tyłowi, kończące się ostrymi wypustkami na wysokości kilku stóp ponad ich ciałami.

Gdy stwór mnie minął, spojrzałem na Perry'ego, który podszedł go obejrzeć. Staruszek wpatrywał się w przerażającą kreaturę, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Kiedy stwór się oddalił, Perry odwrócił się do mnie.

– To ramforynch oolityczny, z okresu środkowej jury, Dawidzie – powiedział – ale, na Boga, jaki wielki! Największe szczątki, jakie kiedykolwiek odkryliśmy, nie były większe od zwyczajnych wron.

Idąc dalej główną ulicą Phutry ujrzeliśmy wiele tysięcy tych istot wykonujących swe codzienne obowiązki. Nie zwracały na nas większej uwagi. Podziemne miasto Phutra zostało zaprojektowane z niezwykłą

regularnością mogącą wskazywać na znaczące umiejętności inżynierskie jego budowniczych. Wykuto je w warstwie litego wapienia. Ulice są szerokie, a ich wysokość wynosi nieodmiennie dwadzieścia stóp. W regularnych odstępach w sklepieniach i dachach tego podziemnego miasta rozmieszczono otwory, przez które za pośrednictwem soczewek i reflektorów dostarczano światło słoneczne, przyćmione i rozproszone, jednak niezbędne, bo w przeciwnym razie zapanowałyby tu prawdziwe egipskie ciemności. W ten sam sposób dostarczane jest również powietrze.

Perry i ja zostaliśmy zabrani, wraz z Ghakiem, do dużego budynku publicznego, gdzie jeden z Sagothów, pełniący funkcję naszego strażnika wyjaśnił maharskiemu oficjelowi okoliczności związane z naszym schwytniem. Sposób, w jaki się porozumiewali, był tyleż osobliwy, że nie doszło między nimi do wymiany słów. Posługiwały się natomiast specyficznym językiem znaków. O czym dowiedziałem się dopiero później, Mahary nie miały uszu, nie znały też żadnego języka mówionego. Między sobą komunikowały się za pomocą czegoś, co Perry określa mianem szóstego zmysłu, a którego właściwości są typowe dla czwartego wymiaru.

Nie do końca go zrozumiałem, choć próbował mi to wielokrotnie wytłumaczyć. Ja sugerowałem telepatię, ale on twierdził, że nie, to nie mogła być telepatia, istoty te bowiem potrafiły porozumiewać się wyłącznie w obecności innych, nie potrafiły też rozmawiać z Sagothami, ani innymi mieszkańcami Pellucidaru przy użyciu tej samej metody, dzięki której komunikowały się między sobą.

– Moim zdaniem – rzekł Perry – dokonują projekcji myśli do czwartego wymiaru, gdzie stają się one dostępne dla szóstego zmysłu swego rozmówcy. Czy wyrażam się jasno?

– Niestety nie, Perry – odparłem. Pokręcił głową z rozpaczą i wrócił do pracy. Zlecono nam przeniesienie sporej ilości maharskiej literatury z jednego mieszkania do drugiego i poukładanie tego wszystkiego na półkach. Zasugerowałem Perry’emu, że znaleźliśmy się w bibliotece

publicznej Phutry, później jednak, gdy udało mu się odkryć klucz do ich języka pisanego, zapewnił mnie że zajmowaliśmy się starożytnymi archiwami tej rasy.

W tym czasie moje myśli wciąż krążyły wokół Dian Pięknej. Oczywiście cieszyłem się, że zdołała uciec Maharom i uniknęła losu jaki zwiastował jej Sagoth, który zapowiadał, że zamierza ją odkupić po naszym przybyciu do Phutry. Często zastanawiałem się, czy nasza mała grupka uciekinierów wpadła w ręce strażników, którzy ruszyli za nimi w pościg. Niekiedy miałem wątpliwości, czy Dian nie byłaby bezpieczniejsza tutaj w Phutrze, niż gdzieś tam, zdana na łaskę i niełaskę Hooji Przebiegłego. Ghak, Perry i ja często rozmawialiśmy o możliwości ucieczki, jednak Sarianin był zapamiętały w swoim przekonaniu, że od Mahar nie sposób uciec, chyba że tylko cudem – i bynajmniej nam w tym nie pomagał. Miał takie nastawienie, jakby czekał na cud, aż ten się zdarzy i go ocali.

Za moją namową, Perry i ja wykonaliśmy kilka mieczy sporządzonych z kawałków żelaznego złomu, znalezionych wśród rozmaitych odpadków i śmieci, w celach, gdzie sypialiśmy – mieliśmy bowiem niemal całkowitą swobodę poruszania się po budynku, w którym nas umieszczono. Liczba niewolników obsługujących mieszkańców Phutry była tak wielka, że nikt z nas nie narzekał na nadmiar pracy, nowi panowie zaś traktowali nas dość życzliwie.

Ukryliśmy naszą broń pod skórami stanowiącymi nasze posłania, Perry zaś wpadł na pomysł, abyśmy zrobili też łuki i strzały, broń najwyraźniej w Pellucidarze całkiem nieznaną. Potem przyszła kolej na tarcze; te jednak łatwiej mi było ukraść ze ścian wartowni strzegącej wyjścia z budynku.

Robiliśmy to wszystko z myślą o naszym bezpieczeństwie, już po opuszczeniu Phutry, podczas gdy Sagothowie, którzy wyruszyli w pościg za zbiegami, powrócili z czterema z nich – był też wśród nich Hooja. Dian i dwóm innym udało się wymknąć pogoni. Tak się złożyło, że Hooja trafił do tego samego budynku, w którym się znajdowaliśmy.

Powiedział Ghakowi, że nie widział Dian, ani innych, po tym jak uwolnił ich w ciemnej grocie. Nie miał pojęcia co z nimi, może wciąż błąkali się w tym labiryncie tuneli, o ile nie pomarli z głodu.

Coraz bardziej zacząłem niepokoić się o los Dian, i tym razem, jak sądzę, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że moja troska o tę dziewczynę może wynikać z czegoś więcej niż tylko zwykłej przyjacielskiej sympatii wobec niej. Na jawie myślałem o niej bez przerwy, a we śnie stale widziałem jej twarz. Bardziej niż kiedykolwiek byłem zdeterminowany, aby uciec Maharom.

– Perry – odezwałem się do staruszka – nawet gdybym miał przeczesać każdy cal tego maleńkiego świata, zamierzam odnaleźć Dian Piękną i naprawić zło, które niechcący jej wyrządziłem. – Powiedziałem te słowa na użytek Perry’ego.

– Maleńkiego świata! – zachnął się. – Nie wiesz o czym mówisz, mój chłopcze. – To rzekłszy, pokazał mi mapę Pellucidaru, którą niedawno odkrył wśród porządkowanych manuskryptów.

– Spójrz – powiedział, wskazując na nią – to ewidentnie woda, to natomiast ląd. Czy zauważyłeś ogólne rozmieszczenie tych dwóch obszarów? Tam gdzie na zewnętrznej skorupie są oceany, tutaj mamy ląd. Te względnie małe obszary oceanów wypełniają tereny zajmowane w świecie zewnętrznym przez kontynenty..

– Wiemy, że powłoka ziemska ma 500 mil grubości; zatem średnica Pellucidaru musi mieć 7 000 mil, a jej powierzchnia około 165 480 000 mil kwadratowych. Trzy czwarte tego stanowią lądy. Pomyśl tylko! Obszar lądowy o powierzchni 124 100 000 mil kwadratowych! Nasz świat ma obszary lądowe o powierzchni zaledwie 53 000 000 mil kwadratowych, bo większą część globu zajmują oceany. I tak jak często porównujemy kraje na podstawie wielkości terytorium, jakie zajmują, jeśli porównamy te dwa światy w ten sam sposób okaże się, że mamy do czynienia z dziwną anomalią – większym światem znajdującym się wewnątrz mniejszego!

– Gdzie wewnątrz ogromnego Pellucidaru miałbyś szukać swojej Dian? Bez gwiazd, księżyca, czy słońca zmieniającego położenie na nieboskłonie, jak mógłbyś ją odnaleźć, nawet gdybyś wiedział, gdzie jej szukać?

To co usłyszałem było druzgocące. Dosłownie zaparło mi dech, mimo wszystko stwierdziłem, że jestem jeszcze bardziej zdeterminowany, aby spróbować.

– Jeżeli Ghak będzie nam towarzyszył, może się nam udać – powiedziałem.

Perry i ja odnaleźliśmy go i zwróciliśmy się wprost do niego z tym zapytaniem.

– Ghaku – powiedziałem – postanowiliśmy uciec z niewoli. Czy chciałbyś pójść z nami?

– Wyślą za nami thipdary – powiedział – a potem nas zabiją. – Zawahał się. – Zaryzykowałbym jednak, gdybym wiedział, że mamy choćby cień szansy na ucieczkę i powrót do mego ludu.

– Czy zdołałbyś trafić z powrotem do swoich? – zapytał Perry. – I czy pomógłbyś Dawidowi w poszukiwaniach Dian?

– Tak.

– Ale jak... – zastanawiał się Perry – miałbyś przemierzać obce terytoria, nie mając kompasu ani ciał niebieskich, które wskazywałyby ci drogę?

Ghak nie wiedział, co miał na myśli Perry, mówiąc o kompasie albo ciałach niebieskich, zapewnił nas jednak, że każdy z mieszkańców Pellucidaru, nawet jeśli zawiązać mu oczy i wywieźć go w najdalsze strony, zdoła powrócić do swoich i to w dodatku najkrótszą drogą. Wydawał się zaskoczony, że tak nas to zdumiewało i że uważaliśmy, iż jest w tym coś wspaniałego. Perry powiedział, że musi tu wchodzić w grę coś w rodzaju wewnętrznego kompasu, instynktu pozwalającego odnaleźć drogę do domu niektórym z ziemskich stworzeń, jak choćby gołębiami. Nie miałem o tym zielonego pojęcia, ale podsunęło mi to pewną myśl.

– A zatem Dian musiała wrócić do swoich, i to najkrótszą drogą? – spytałem.

– Z pewnością – odparł Ghak – chyba że dopadł ją jakiś drapieżca.

Byłem skłonny podjąć próbę ucieczki natychmiast, jednak obaj, Perry i Ghak poradzili mi abym poczekał na jakieś dogodne zdarzenie, które zapewni naszej inicjatywie choćby nikłą szansę powodzenia. Nie mogłem zrozumieć jakie zdarzenie mogło mieć miejsce w społeczności żyjącej w blasku wiecznego dnia, a mieszkańcy tego świata nie mają ustalonego zwyczaju, aby sypiać. Jestem pewien, że niektóre Mahary nie sypiały w ogóle, podczas gdy inne w dość długich odstępach czasu wpełzały w mroczne wnęki pod ich domostwami i tam, zwinąwszy się w kłębek, zapadały w długi sen. Perry twierdzi, że jeśli Mahara przez trzy lata będzie aktywna, jest w stanie nadrobić cały ten czas trwającą zaledwie rok drzemką. Możliwe, że to prawda, ja jednak widziałem tylko trzy śpiące i to właśnie widok tych trzech podsunął mi pomysł na ucieczkę.

Zapuściłem się znacznie niżej niż poziomy, które my, niewolnicy, powinniśmy odwiedzać – dobrych pięćdziesiąt stóp pod główną częścią budynku, i błakając się pośród tamtejszych korytarzy oraz siedzib mieszkalnych, natknąłem się nagle na trzy Mahary, spoczywające na posłaniu ze skór. W pierwszej chwili pomyślałem, że nie żyją, wnet jednak ich regularne oddechy uświadomiły mi, że się pomyliłem. Natychmiast zdałem sobie sprawę z cudownej okazji, jaka się przed nami otwierała, oto mieliśmy możliwość zmylić czujność naszych nowych panów i sagockich strażników.

Powróciwszy pośpiesznie do Perry’ego, który pochylał się nad stertą bezsensownych jak dla mnie manuskryptów, pokrytych kompletnie niezrozumiałymi hieroglifami, wyłuszczyłem mu swój plan. Jakież było moje zdziwienie, gdy zareagował na moje słowa konsternacją i przerażeniem.

– To byłoby morderstwo, Dawidzie – zawołał.

– Morderstwem nazywasz zabicie gadziego monstrum? – zapytałem ze zdumieniem.

– To nie one są potworami, Dawidzie – odparł. – Tu są one dominującą rasą, a potworami, albo raczej przedstawicielami rasy niższej jesteśmy my. W Pellucidarze ewolucja potoczyła się innymi torami niż na powierzchni Ziemi. Przeróżające turbulencje natury skutkowały raz po raz zagładą kolejnych gatunków, gdyby nie to, nawet dziś jakieś potworne jurajskie gady mogłyby rządzić naszą planetą. Mamy tu możliwość zobaczyć, jak mogłaby potoczyć się nasza historia, gdyby warunki były zbliżone do tych tutaj.

– Życie w Pellucidarze jest znacznie młodsze, niż na skorupie zewnętrznej. Tutaj człowiek osiągnął poziom analogiczny do ludzi epoki kamiennej, zamieszkujących ongiś naszą planetę, jednak przez niezliczone miliony lat tutejsze gady osiągnęły niesamowity postęp. Możliwe, że to ów szósty zmysł, który jestem pewien, że posiadają, pozwolił im osiągnąć przewagę nad innymi, dysponującymi bardziej przerażającą bronią rasami, tego jednak zapewne nigdy się nie dowiemy. One patrzą na nas tak, jak my patrzymy na bydło na polach, ja zaś z ich pisemnych kronik zdołałem dowiedzieć się, że inne rasy Mahar żywią się ludźmi – trzymają ich w wielkich stadach, tak jak my trzymamy bydło. Bardzo starannie ich tuczą, a kiedy są już dostatecznie tłusci, zabijają ich i zjadają.

Wzdrygnąłem się.

– Cóż w tym takiego straszego, Dawidzie? – zapytał staruszek. – One nie rozumieją nas tak, jak my nie rozumiemy pomniejszych zwierząt w naszym świecie. Natknąłem się nawet na uczone rozprawy traktujące o tym, czy gilakowie, to znaczy ludzie, posiadają zdolność komunikowania się między sobą. Jeden z autorów twierdzi, że nie jesteśmy nawet istotami rozumnymi – że wszystkie nasze poczynania są czysto mechaniczne, lub instynktowne. Dominująca w Pellucidarze rasa, Dawidzie, nie ma nawet pojęcia, że ludzie rozmawiają między sobą, ani że są oni istotami

rozumnymi. Ponieważ nie porozumiewamy się w taki sposób, jak one, nie potrafimy pojąć, że w ogóle się komunikujemy. Tak samo uważamy, jeżeli chodzi o zwierzęta w naszym świecie. Mahary wiedzą, że Sagothowie posługują się językiem mówionym, ale go nie rozumieją, ani nie wiedzą jak się on przejawia, bo nie mają przecież aparatów słuchowych. Wierzą, że same ruchy warg są sensem i znaczeniem mowy. To, że Sagothowie mogą się z nami porozumiewać wykracza poza ich możliwości pojmowania.

– Tak, Dawidzie – skonkludował – realizacja twego planu wymagałaby popełnienia morderstwa.

– Niechaj tak będzie, Perry – odparłem. – Skoro tak, to stanę się mordercą.

Poprosił abym bardzo powoli i szczegółowo, raz jeszcze nakreślił cały plan, i z jakiegoś powodu, który wtedy nie był dla mnie jasny, domagał się, abym opisał mu starannie wygląd izb oraz korytarzy które właśnie spenetrowałem.

– Zastanawia mnie, Dawidzie – powiedział w końcu – skoro jesteś tak zdeterminowany, aby wprowadzić w czyn swój szaleńczy plan, czy nie moglibyśmy niejako przy tej okazji zrobić czegoś, co przyniosłoby wymierne i długotrwałe korzyści dla całej rasy ludzkiej z Pellucidaru. Sporo się o niej dowiedziałem, przeglądając archiwa Mahar. Ponieważ mógłbyś nie zaakceptować mego planu, pragnę teraz pokrótce opowiedzieć ci historię tej rasy.

– Niegdyś to samce były wszechpotężne, jednak przed wiekami samice, krok po kroku zaczęły przejmować władzę. Przez długie stulecia wśród rasy Mahar nie sposób było dostrzec ewidentnych, zauważalnych zmian. Ale te zmiany zachodziły i postęp dokonywał się pod inteligentnymi, dobrotliwymi rządami przedstawicieli płci żeńskiej. Nauka rozwija się skokowo. Zwłaszcza gdy chodzi o nauki, które my znamy jako biologię i eugenikę. Wreszcie pewna uczona samica ogłosiła, że odkryła metodę



na zapłodnienie złożonych jaj w sposób chemiczny, bo jak wiesz, wszystkie gady są jajorodne.

– I co się wydarzyło? Samce natychmiast przestały być potrzebne. Istnienie całej rasy nie było już od nich uzależnione. Minęły kolejne wieki i oto obecnie mamy do czynienia z rasą składającą się wyłącznie z samic. Ale jest w tym pewien haczyk. Tajemnica tej substancji chemicznej, jej formuła jest przechowywana i znana wyłącznie Maharom. Znajduje się ona w mieście Phutra i, o ile się nie mylę, sądząc z opisu podziemi, którymi dziś wędrowałeś, ukryta jest właśnie w podziemiach tego budynku.

– Mahary ukryły ją tam i zazdrośnie strzegą z dwóch powodów. Po pierwsze – zależy od niej przetrwanie całej rasy Mahar, po drugie, na początku, kiedy formuła była jeszcze dostępna dla wszystkich, tak wiele Mahar z nią eksperymentowało, że istniało wówczas bardzo poważne zagrożenie nadmiernego przyrostu populacji. Dawidzie, gdyby udało nam się uciec i równocześnie zabrać ze sobą tę wielką tajemnicę, wyobraź sobie jak wielkie byłoby to osiągnięcie dla całej rasy ludzkiej w Pellucidarze!

Świadomość ogromu tego dokonania nieomal mnie poraziła. Oto my dwaj mieliśmy szansę wydzwignąć ludzkość tego wewnętrznego świata na należne jej miejsce w hierarchii całego stworzenia. Wówczas już tylko Sagothowie staliby pomiędzy nimi a całkowitą supremacją, a wcale nie byłem pewien czy Sagothowie nie zawdzięczali swej potęgi niepośledniej inteligencji Mahar – jakoś nie mogłem uwierzyć, że te stworzenia o wyglądzie goryli mogłyby przewyższać mentalnie całą rasę ludzką Pellucidaru.

– Ależ, Perry – wykrzyknąłem – we dwóch, ty i ja, możemy odzyskać cały świat! Wspólnie możemy wyprowadzić ludzkość z mroków niewiedzy, ku światłu postępu, rozwoju i cywilizacji! Jednym posunięciem możemy wydzwignąć ją z epoki kamiennej do dwudziestego wieku. To cudowne – absolutnie cudowne, jeśli się nad tym głębiej zastanowić.

– Dawidzie – powiedział staruszek. – Wierzę, że Bóg przysłał nas tutaj w tym właśnie celu – dziełem mego życia będzie przekazanie im Jego słowa i poprowadzenie ich ku światłu Jego łaski, podczas gdy wspólnie zajmujemy się też kształtowaniem ich serc i rąk dla rozwoju w nich kultury i cywilizacji.

– Masz rację, Perry – powiedziałem – i podczas gdy ty będziesz uczył ich modlić się, ja będę uczył ich walczyć – w ten sposób, we dwóch uczynimy z nich rasę ludzką, która przyniesie chlubę nam obu.

Ghak wszedł do izby na jakiś czas przed końcem naszej rozmowy i jął dopytywać się, co było powodem naszej ekscytacji. Perry uznał, że na razie nie powinniśmy zdradzać mu zbyt wiele, ja zaś powiedziałem mu tylko, że obmyśliłem plan ucieczki. Kiedy mu go przedstawiłem, wydawał się równie skonsternowany i przerażony jak Perry, ale z innego powodu. Włochaty brał pod uwagę potworne konsekwencje, które czekałyby nas, gdybyśmy zostali zdemaskowani; w końcu jednak przekonałem go, by zaakceptował mój plan jako jedyny z możliwych, i kiedy zapewniłem go, że w razie schwytania przyjmę na siebie pełną odpowiedzialność, z pewnym wahaniem, niechętnie, ale jednak przystał na tę propozycję.

## POCZĄTEK KOSZMARU

W Pellucidarze każda chwila jest równie dobra jak inna. Nie było nocy, która mogłaby zamaskować próbę naszej ucieczki. Wszystko należało przeprowadzić w biały dzień – to znaczy wszystko prócz tego, co musiałem uczynić w izbach mieszkalnych pod budowlą. W tej sytuacji postanowiliśmy niezwłocznie wdrożyć nasz plan, na wypadek gdyby Mahary, od których zależało jego powodzenie, nie obudziły się, zanim do nich dotrę. Tu jednak czekało nas rozczarowanie, ledwie bowiem dotarliśmy na główny poziom budowli, zmierzając do piwnic poniżej, napotkaliśmy gromady niewolników, popędzanych przez sagockich strażników i wyganianych z gmachu na znajdującą się przy nim ulicę. Inni Sagothowie krążyli to tu, to tam, w poszukiwaniu reszty niewolników, a gdy się pojawiliśmy, zostaliśmy natychmiast włączeni do kolumny maszerujących ludzi.

Nie wiedzieliśmy, co było powodem tego wielkiego exodusu, ale wśród więźniów krążyły plotki, że pojmano kolejną dwójkę zbiegów – mężczyznę i kobietę, a teraz prowadzono nas abyśmy byli świadkami kary, jaka zostanie im wymierzona – mężczyzna bowiem zabił Sagotha z oddziału, który ich ścigał i dopadł.

Gdy doszły do mnie te wieści, serce podeszło mi do gardła, bo byłem pewien, że tych dwoje musi być zbiegami, którzy w ciemnej grocie podjęli próbę ucieczki wraz z Hooją Przebiegłym, a kobieta to Dian Piękna. Ghak też tak uważał, podobnie jak Perry.

– Nie możemy nic zrobić, aby ją ocalić? – spytałem Ghaka.

– Nie – odparł.

Maszerowaliśmy wzdłuż zatłoczonej alei, nader okrutnie dręczeni przez strażników, jakbyśmy my również brali udział w morderstwie ich ziomka. Chodziło o danie wyraźnej nauczki, która będzie przestrogą dla wszystkich niewolników i uświadomi im zagrożenia wynikające z podejmowania kolejnych, skazanych na porażkę prób ucieczki. Mieli również ujrzyć na własne oczy fatalne skutki odebrania życia istocie wyższej, i podejrzewam, że między innymi dlatego Sagothowie uważali za usprawiedliwione, by uczynić ten marsz wyjątkowo bolesnym, uciążliwym i niewygodnym dla nas wszystkich.

Dźgali nas włóczniami i uderzali toporami przy najmniejszym uchybieniu, a niekiedy nawet i bez powodu. To było najcięższe pół godziny, które ciągnęło się w nieskończoność, zanim w końcu spędzono nas wszystkich i zmuszono do przejścia przez nisko sklepione wejście do ogromnej budowli, pośrodku której znajdowała się okazałych rozmiarów arena. Ławy otaczały tę otwartą przestrzeń z trzech stron, z czwartej zaś wznosiły się stosy wielkich głazów, które, ułożone jak trybuny, warstwowo wznosiły się ku sklepieniu.

W pierwszej chwili nie byłem w stanie pojąć, czemu miały służyć owe głazy, chyba że stanowiły swego rodzaju surowe i malownicze tło dla wydarzeń rozgrywających się na arenie, kiedy jednak ławy zostały zajęte przez niewolników i Sagothów, odkryłem przeznaczenie głazów, wtedy bowiem do budowli zaczęły wkraczać Mahary.

Przeszły bezpośrednio przez arenę, kierując się ku głazom po jej drugiej stronie, a tam, rozpostarłszy nietoperze skrzydła, przefrunęły nad wysokim murem okalającym arenę i jęły sadowić się na kamieniach powyżej. To były zarezerwowane miejsca, loże dla wybrańców.

Dla gadów, jakimi są, szorstka powierzchnia wielkich głazów musi wydawać się tym, czym dla nas miękkie, pluszowe siedzisko. Rozsiadły się tam, mrugając odrażającymi ślepiami i bez wątpienia konwersując między

sobą w swym niezwykłym języku wiążącym się z szóstym zmysłem i czwartym wymiarem.

Po raz pierwszy ujrzałem królową. Różniła się od innych, lecz nie fizycznie – dla mnie, Ziemianina, wszystkie Mahary wyglądały jednakowo – kiedy jednak pojawiła się na arenie po tym jak jej poprzedniczki i poddane zajęły miejsca na kamiennej trybunie, towarzyszyło jej dwudziestu wielkich Sagothów, największych jakich widziałem, którzy szli przed nią, po obu jej stronach człapały ogromne thipdary, z tyłu zaś szła kolejna dwudziestka sagockich strażników.

Przy ogrodzeniu areny Sagothowie szybko się na nią wspięli, pokonując stromą przeszkodę z istic małpią zwinnością, podczas gdy z tyłu, za nimi, dumna królowa wzbijała się w powietrze, wraz z towarzyszącymi jej dwoma przerażającymi smokami i wylądowała na największym ze wszystkich głazów, dokładnie pośrodku tej części amfiteatru, która była zarezerwowana dla rasy dominującej. Przysiadła tam, ohydna i odrażająca, choć zapewne jako królowa była święcie przekonana o swej urodzie i boskim prawie do sprawowania rządów, jak najbardziej dumni monarchowie świata zewnętrznego.

I wtedy rozległa się muzyka – muzyka bez dźwięku! Mahary nie słyszą, wobec tego ziemskie instrumenty w rodzaju bębnów, piszczałek i rożków nie są im znane. „Zespół” składał się z dwudziestu albo nawet więcej Mahar. Zajął sam środek areny, skąd mógł być widziany przez stworzenia zasiadające na głazach i tam występował przez piętnaście czy dwadzieścia minut.

Ich technika składała się z machania ogonami i poruszania głowami w regularnym rytmie, co najwyraźniej radowało wzrok Mahar, tak jak dźwięki instrumentów muzycznych cieszą nasze uszy. Od czasu do czasu zespół robił unisono kilka odmierzonych kroków w jedną lub w drugą stronę, postępował naprzód albo cofał się, wszystko to wydawało mi się bardzo głupie i nonsensowne, jednak pod koniec pierwszego utworu

Mahary na skałach zaczęły okazywać entuzjazm, jakiego dotąd nie miałem okazji widzieć ze strony przedstawicieli tutejszej dominującej rasy. Trzepotały skrzydłami, unosząc je i opuszczając, uderzały też w kamienne siedziska potężnymi ogonami, aż ziemia się trzęsła. Zaraz potem zespół zaczął kolejny utwór i także tym razem towarzyszyła temu grobowa cisza. Jeżeli chodziło o muzykę Mahar, miała ona jeden istotny plus – jeśli nie podobał ci się grany utwór, wystarczyło zamknąć oczy.

Kiedy zespół wyczerpał swój repertuar, wzbil się w powietrze i rozsiadł się na gładkich powierzchniach i za królową. Potem zaczęło się to, co było głównym powodem sprowadzenia tutaj wszystkich. Dwóch sagockich strażników wypchnęło na arenę mężczyznę i kobietę. Wychyliłem się lekko do przodu, by przyjrzeć się kobiecie, mając nadzieję, że nie będzie to jednak Dian Piękna. Przez chwilę była zwrócona do mnie plecami i widok długich, gęstych, kruczoczarnych włosów, upiętych luźno na czubku głowy, przepełnił mnie niepokojem.

Otwarto wrota na jednym końcu areny i pojawiło się w nich ogromne, kudłate stworzenie przypominające byka.

– To bos – wyszeptał Perry z ekscytacją w głosie. – Ten gatunek zamieszkiwał na zewnętrznej skorupie ziemi wraz z niedźwiedziem jaskiniowym i mamutem, tysiące wieków temu. Cofnęliśmy się o miliony lat, Dawidzie, do czasów, kiedy ta planeta była jeszcze w powijakach – czyż to nie cudowne?

Ja widziałem jednak tylko kruczoczarne włosy półnagiej dziewczyny i na jej widok serce zamarło mi w piersi z trwogi. Nie byłem w stanie skupić wzroku na cudach historii naturalnej. Jednak zdaniem Perry'ego i Ghaka powinienem był skoczyć na arenę i podzielić ten sam los, jaki był zarezerwowany dla tego bezcennego skarbu epoki kamiennej.

Wraz z pojawieniem się na arenie bosa – w Pellucidarze nazywano tę istotę thagiem – u stóp więźniów rzucono dwie włócznie. Miałem wrażenie,

że przeciwko temu potężnemu monstrum byłyby równie skuteczne jak, dajmy na to, proca.

Kiedy zwierzę zbliżyło się do tej dwójki, rycząc i orząc grunt z siłą wielu ziemskich byków, otworzyły się inne drzwi, znajdujące się bezpośrednio pod nami i dobył się z nich najbardziej przerażający ryk, jaki kiedykolwiek słyszały moje zbolące uszy. W pierwszej chwili nie dostrzegłem bestii, która rzuciła tak przerażające wyzwanie, jednak dźwięk ten sprawił, że dwie ofiary odwróciły się gwałtownie i wówczas zobaczyłem twarz dziewczyny – to nie była Dian! Nieomal załkałem w przypiływie nagłej ulgi.

Dopiero teraz, gdy tamtych dwoje zastygło z przerażenia w bezruchu, zdołałem dostrzec istotę, która wydała ten zatrważający zew, a która powoli skradała się na arenie. Był to ogromny tygrys – taki jak te, które polowały na wielkie boby w pierwotnych dżunglach, kiedy świat był jeszcze młody. W ogólnym zarysie i umaszczeniu przypominał tygrysa bengalskiego z naszego świata, jednak rozmiarami znacznie go przewyższał, soczystsze były też barwy jego sierści. Jaskrawe żółcie nieomal krzyczały w głos – biel przywodziła na myśl puchową pierzynę, czernie natomiast były lśniąco jak najczystszy antracyt; sierść stworzenia była długa i zmierzwiona jak u górskiej kozicy. Nie sposób zaprzeczyć, iż było to piękne zwierzę, skoro jednak jego gabaryty i barwy tu, w Pellucidarze były tak spotęgowane, podobnie musiało być również z jego drapieżnością. Niejeden przedstawiciel tego gatunku jest ludojadem – wszystkie te stworzenia są ludojadami, jednak nie ograniczają one swych preferencji wyłącznie do ludzi, w Pellucidarze bowiem nie było takich ryb ani takich zwierząt, których mięsa nie kosztowały, by nasycić wielkie cielska i zachować siłę w swych potężnych mięśniach.

Po jednej stronie skazanej na śmierć pary zbliżał się thag, głośno rycząc, po drugiej stronie zaś skradał się tarag z rozdziawioną paszczą i kłami ociekającymi śliną.

Mężczyzna podniósł włócznię i podał jedną z nich kobiecie. Na ryk tygrysa, thag zareagował gniewnym parskaniem, które coraz bardziej przybierało na sile. Nigdy w życiu nie słyszałem równie piekielnego hałasu jak ten, wydawany przez te dwa ogromne stworzenia, i pomyśleć, że odrażające gady, dla których urządzone to przedstawienie, nawet nie były w stanie tego usłyszeć!

Thag zaatakował z jednej, a tarag z drugiej strony. Dwie drobne istotki stojące pomiędzy nimi wydawały się już stracone, lecz w momencie gdy bestie zbliżyły się do nich, mężczyzna pochwycił swą towarzyszkę za rękę i wspólnie uskoczyli na bok, podczas gdy rozszalałe stworzenia zderzyły się ze sobą, niczym dwie rozpędzone lokomotywy.

Rozpętała się tytaniczna walka, w której przerażająca brutalność i drapieżność była wręcz nie do wyobrażenia. Raz po raz gigantyczny byk podrzucał ogromnego tygrysa w powietrze, jednak za każdym razem gdy tylko lądował na ziemi, wielki kot ponownie rzucał się do walki z najwyraźniej nie uszczuplonymi siłami i zdawałoby się jeszcze większą furią.

Przez jakiś czas mężczyzna i kobieta starali się tylko nie zwracać na siebie uwagi dwóch walczących istot, trzymając się na uboczu, w końcu jednak zauważyłem jak tych dwoje rozdzieliło się i zaczęło ukradkiem zbliżać się do ogromnych stworzeń. Tygrys wskoczył właśnie na szeroki grzbiet byka, wpijając się w jego grubą szyję potężnymi kłami, podczas gdy długimi, silnymi szponami wielki kot rozszarpał na strzępy grubą skórę swego przeciwnika.

Przez chwilę byk stał, porykując i dygocząc z bólu i wściekłości, wspierając się na szeroko rozstawionych, masywnych nogach, zaopatrzonych w rozszczepione kopyta i chłoszcząc dziko ogonem, z boku na bok, po czym wierzgając gwałtownie rozpoczął serię dzikich podskoków, przemierzając długimi susami całą arenę, usiłując zrzucić



tygrysa ze swego grzbietu. Z wielkim trudem dziewczyna zdołała wówczas uniknąć pierwszej szaleńczej galopady rannego zwierzęcia.

Wszystkie wysiłki bosa, by uwolnić się od tygrysa, wydawały się daremne, do chwili, gdy w przyływie desperacji zwierz rzucił się na ziemię i zaczął się po niej przetaczać. To zaskoczyło tygrysa i, jak sędzę, również wycisnęło zeń dech, bo stracił uchwyt na grzbiecie swego przeciwnika, wtedy jednak z niezwykłą zwinnością wielki thag znów zerwał się na nogi, zatapiając potężne rogi w trzewiach taraga i przyszpilając go do podłoża areny.

Wielki kot orał pazurami kosmaty łeb, pozbawiając bosa oczu i uszu, wystarczyło kilka smagnień mocarnymi łapami, by na czaszce byka pozostało jedynie kilka strzępów rozszarpanego, okrwawionego ciała. Jednak pomimo otrzymanych ran, thag, przez cały czas stał w bezruchu, przygważdżając swego przeciwnika do podłoża, aż w którymś momencie mężczyzna przyskoczył i stwierdziwszy, że oślepiiony byk będzie mniej groźnym przeciwnikiem, pchnięciem włóczni przebił serce taraga.

Gdy olbrzymi tygrys przestał rozdzierać pazurami swego oponenta, byk uniósł okaleczony, ociekający posoką łeb i z przerażającym rykiem pognął na oślep przez arenę. Potężnymi susami popędził wprost w kierunku muru okalającego arenę, zmiierzając w stronę miejsca, gdzie siedzieliśmy i wybiwszy się potężnie w górę, przeskoczył ponad ogrodzeniem, lądując na wprost nas, pośród niewolników i Sagothów. Wymachując na boki uzbrojonym w długie rogi łbem, bestia utorowała sobie drogę wśród widzów i ruszyła dalej, kierując się w naszą stronę. Niewolnicy i przypominający goryli strażnicy pierzchali w popłochu na wszystkie strony, usiłując zejść z drogi rozszalałego, konającego zwierzęcia, które, jak wszystko na to wskazywało, przed śmiercią postanowiło zdobyć się na ostatnią szarżę.

Zapominając o nas, strażnicy puścili się pędem w stronę wyjść, których w ścianie amfiteatru, z tyłu za nami, było całkiem sporo. Perry, Ghak i ja

rozdzieliliśmy się wśród chaosu jaki rozpętał się, kiedy wielka bestia wdarła się na trybuny; każdy dbał o ocalenie własnej skóry.

Pobiegłem w prawo, mijając kilka wyjść, zablokowanych przez oszalały z przerażenia tłum, walczący między sobą, by wydostać się na zewnątrz. Można by pomyśleć, że z tyłu, za tą zgrają siało spustoszenie całe stado thagów, a nie jeden oślepiiony, dogorywający byk; tak to jednak bywa, kiedy tłum ogarnie panika.

## WOLNOŚĆ

Gdy tylko zszedłem zwierzęciu z drogi, opuścił mnie strach przed nim, przepełniło natomiast coś zgoła innego – nadzieja na ucieczkę, jaka nadarzała się w obliczu rejterady kompletnie zdemoralizowanych, wystraszonych strażników.

Pomyślałem o Perrym, jednak większe szanse na uwolnienie go powinienem mieć, jeśli sam będę wolny, a co za tym idzie musiałem niezwłocznie pomyśleć o własnym uwolnieniu. Dlatego też czym prędzej pospieszyłem w prawo, w poszukiwaniu wyjścia, do którego nie kierowali się Sagothowie i w końcu je znalazłem, niski, wąski otwór wiodący w głąb ciemnego korytarza.

Nie myśląc o potencjalnych konsekwencjach, wślizgnąłem się do pełnego cieni tunelu, macając przed sobą obiema rękami w półmroku. Odgłosy z amfiteatru stawały się coraz cichsze, aż w końcu wokół mnie zapanowała grobowa cisza. Słabe światło przesączało się z góry przez rozmieszczone w regularnych odstępach otwory wentylacyjne i oświetleniowe, jednak z ledwością wystarczało ono moim ludzkim oczom, by przenikać ciemność i w tej sytuacji musiałem stąpać z najwyższą ostrożnością, krok za krokiem, przez cały czas dotykając dłonią ściany obok mnie.

W którymś momencie światło przybrało na sile, a zaraz potem, ku mej niezmierzonej radości, napotkałem schody prowadzące w górę, u szczytu których przez otwór wiodący na zewnątrz napływały jaskrawe promienie wiecznego słońca.

Ostrożnie wspiąłem się po stopniach, docierając do samego końca tunelu i wyjrzawszy na zewnątrz, zobaczyłem przed sobą rozległą równinę Phutry. Wznosiły się przede mną liczne, strzeliste granitowe wieżycyce oznaczające wejścia do podziemnego miasta, za nimi zaś rozciągała się gładka jak stół, sięgająca aż do podnóża odległych wzgórz, płaska równina. Wyszedłem zatem na powierzchnię, w dodatku na obrzeżach miasta, dzięki czemu moje szanse na ucieczkę wzrosły jeszcze bardziej.

W pierwszej chwili chciałem poczekać aż się ściemni, zanim podejmę próbę pokonania równiny, nie ma to jak wpojone nawyki, zaraz jednak przypomniałem sobie, że tu, w Pellucidarze stale świeciło słońce i uśmiechnąwszy się, wyszedłem na spotkanie z jego blaskiem.

Równinę Phutry porastała gęsta, sięgająca do pasa kwitnąca trawa, pleniąca się w najlepsze dzika trawa wewnętrznego świata, której każde źdźbło zakończone jest maleńkim, pięciokątnym pąkiem – przez co wyglądają one jak maleńkie różnobarwne gwiazdki, które migoczą wśród morza zieleni, przydając niespotykanego uroku temu dziwnemu, choć cudownemu pejzażowi.

Mnie wszelako interesowały jedynie odległe wzgórza, gdzie miałem nadzieję znaleźć schronienie, przyspieszyłem więc, depcząc pod stopami miriady barwnego kwiecia. Perry uważa, że siła ciężkości w wewnętrznym świecie jest znacznie niższa niż w zewnętrznym. Wyjaśnił mi to któregoś razu, ja jednak nigdy nie byłem zbyt bystry w tego typu sprawach i większość jego wywodu zwyczajnie mi umknęła. O ile dobrze pamiętam, różnica ta ma wynikać poniekąd z kontrprzyciągania fragmentu skorupy ziemskiej znajdującego się dokładnie nad powierzchnią Pellucidaru, w tej jego części, gdzie czynione były obliczenia. Niezależnie od wszystkiego, osobiście miałem wrażenie, że w Pellucidarze byłem o wiele szybszy i zwinniejszy niż w świecie zewnętrznym – czułem przy tym nader przyjemną lekkość ruchów i wrażenie swoistego oderwania, które mógłbym porównać jedynie z tym, czego niekiedy doświadczamy w snach. Kiedy

wreszcie pokonałem ukwieconą równinę Phutry, zdawałem się frunąć w powietrzu, nie wiem jednak ile z tego wrażenia zawdzięczałem sugestii Perry'ego, a ile rzeczywistości. Im więcej myślałem o Perrym, tym mniej radowała mnie nowo zyskana wolność. Nie było dla mnie wolności w Pellucidarze, dopóki staruszek także nie zostanie wyzwolony i tylko nadzieja, że znajdę jakiś sposób, aby wydostać go z niewoli, powstrzymywała mnie przed zawróceniem do Phutry. Nie miałem na razie sprecyzowanego planu, jak mógłbym pomóc Perry'emu, miałem jedynie nadzieję, że nadarzy się coś, co pomoże mi rozwiązać ów problem. Nie ulegało wszelako wątpliwości, że w tym celu będę chyba potrzebował prawdziwego cudu, cóż bowiem mogłem działać w tym dziwnym świecie, nagi i nieuzbrojony? Wątpiłem nawet, czy zdołałbym odnaleźć drogę powrotną do Phutry, kiedy tylko stracę z oczu tę rozległą równinę, a gdyby nawet okazało się inaczej, jaką pomoc mógłbym sprowadzić dla Perry'ego, niezależnie jak daleko zawędruję? Cała ta sprawa wydawała się coraz bardziej beznadziejna, im dłużej się nad nią zastanawiałem, jednak z niezłomnym uporem, ani na chwilę nie zwalniając, kierowałem się w stronę odległych wzgórz. Nie dostrzegłem za sobą żadnych oznak pościgu, jak okiem sięgnąć nie zauważyłem żadnej innej żywej istoty. Zupełnie jakbym przemierzał wymarły, zapomniany świat.

Rzecz jasna nie miałem pojęcia, ile mi zajmie dotarcie do granic równiny, w końcu jednak znalazłem się wśród wzgórz, kierując się wzdłuż wąskiego, urokliwego wąwozu, w stronę gór. Towarzyszył mi szemrzący strumyk, toczący swe wartkie wody w dół, ku milczącemu morzu. W spokojniejszych wodach strumienia i rozlewających się gdzieniegdzie sadzawkach napotkałem wiele małych ryb, mogących ważyć od czterech do pięciu funtów, jak sądziłem. Z wyglądu, pomijając wielkość i kolor, przypominały one nasze wieloryby. Gdy tak patrzyłem na ich igraszki, zdałem sobie sprawę, że karmiły swe młode, ale od czasu do czasu wypływały na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza, a także by pożywić

się pewnym gatunkiem traw i dziwnym, szkarłatnym mchem porastającym skały tuż nad linią wody.

To właśnie ten ostatni zwyczaj pozwolił mi na schwytanie jednego z tych roślinożernych waleni – jak nazywał je Perry – i okazały się być całkiem smakowite, jak na posiłek złożony z surowej, ciepłokrwistej ryby. Ja wszelako do tej pory przywykłem już do spożywania pokarmów w ich naturalnej postaci, choć wciąż jeszcze wzbraniałem się przed zjadaniem oczu i wnętrzości – ku rozbawieniu Ghaka, który uważał je za wyjątkowe smakołyki.

Kucając przy potoku, zczekałem aż jeden z miniaturowych, fioletowych wielorybów wypłynie na powierzchnię, by skubnąć zwieszające się nad wodą źdźbła długich traw, a wówczas jak drapieżca, którym w istocie jest człowiek, rzuciłem się na mą ofiarę, zaspokajając głód, podczas gdy stworzenie na próżno próbowało wyrywać się z mych rąk.

Następnie napiłem się krystalicznie czystej wody z jednej z sadzawek i umywszy ręce oraz twarz, kontynuowałem ucieczkę. Nad źródłem, z którego wypływał strumień, napotkałem stromą ścieżkę pozwalającą mi dostać się na szczyt drugiej grani. Za granią rozciągał się stromy stok sięgający aż do brzegu spokojnego, śródlądowego morza, na jego powierzchni zaś wznosiło się kilka przepięknych wysepek.

Widok był nader urzekający, a jako że nie dostrzegłem żadnego człowieka, ni zwierzęcia, które mogłoby zagrozić mej odzyskanej wolności, przegramoliłem się przez krawędź grani i na wpół ześlizgując się, na wpół osuwając, zjechałem do urokliwej doliny, która, jak wszystko na to wskazywało, mogła stać się dla mnie ostoją spokoju i bezpieczeństwa.

Ciągnąca się łagodnym łukiem plaża, po której szedłem, usiana była gęsto barwnymi muszlami o dziwnych kształtach; jedne z nich były puste, w innych zaś dostrzegłem najróżniejsze mięczaki, jakie mogły kiedyś zamieszkiwać także otchłanie przedpotopowych mórz w świecie

zewnątrznym. Kiedy tak szedłem, nie mogłem nie porównać się do pierwszego człowieka na tamtym, innym świecie, wrażenie to wzbudziło we mnie poczucie kompletnego osamotnienia, a także pierwotne, nietknięte, wręcz dziewicze cuda i wspaniałości tej dojrzewającej dopiero natury. Czułem się jak drugi Adam wędrujący samotnie u zarania dziejów w poszukiwaniu swojej Ewy i na tę myśl oczyma wyobraźni ujrzałem jej doskonałe oblicze, o dumnych rysach, otoczone kaskadami cudownych, kruczoczarnych włosów.

Idąc, niemal nie odrywałem wzroku od plaży, i w sumie dopiero gdy prawie na to wpadłem, odkryłem coś, co sprawiło, że moje przepiękne wyobrażenia o samotności, bezpieczeństwie, spokoju i pierwotnej dominacji w jednej chwili rozsypały się w proch i pył. Tym, co napotkałem na swojej drodze, była wyciągnięta na brzeg prymitywna łódź – dłubanka, na dnie której leżało toporne wiosło.

Jej widok okazał się dla mnie takim szokiem, że w mig otrząsnąłem się z zadumy, koncentrując się na potencjalnych nowych zagrożeniach, jakie mogły czaić się w pobliżu, i wtedy właśnie od strony stoku usłyszałem grzechot osypujących się kamieni, a odwracając wzrok w tę stronę, ujrzałem co spowodowało ów hałas – był to potężny mężczyzna o skórze barwy miedzi, który biegł co sił w nogach w moim kierunku. Pośpiech, z jakim się zbliżał, był sam w sobie dostatecznie groźny, nie potrzebowałem przeto dodatkowych dowodów w postaci włóczni, którą wymachiwał, ani groźnego wyrazu twarzy, by zrozumieć, że nie jestem już bezpieczny, nasuwało się jednak nad wyraz istotne pytanie, w jakim kierunku powinienem salwować się ucieczką.

Szybkość tamtego wykluczała możliwość, abym zdołał uciec mu na otwartej połąci plaży. Pozostawała jedyna ewentualność – prymitywna dłubanka, i równie energicznie jak wykazywał się tamten, biegnąc w moim kierunku, spuściłem czołmo na wodę, a gdy zaczęło unosić się na falach, pchnąłem je raz jeszcze i wgramoliłem się do środka.

Właściciel topornej dłubanki wydał z siebie przeciągły ryk wściekłości, a w chwilę potem jego ciężka, zakończona krzemiennym grotem włócznia rozorała mi ramię i wryła się w dziób łodzi. Ja tymczasem chwyciłem za wiosło i z gorączkowym pośpiechem zacząłem wiosłować, kierując chybotliwą łupinkę coraz dalej od brzegu, na pełne morze.

Obejrzawszy się przez ramię, stwierdziłem, że miedzianoskóry mężczyzna wskoczył do wody i płynął teraz energicznie w ślad za mną. To, z jaką płynął prędkością sprawiło, że odległość między nami błyskawicznie zaczęła się zmniejszać, ja bowiem nie radziłem sobie najlepiej z kierowaniem nieznaną mi, chybotliwą łódką, która zdawała się płynąć w każdą stronę, tylko nie tam, gdzie próbowałem ją skierować i połowę energii zużywałem, by ponownie ustawić tępy dziób czółna na kursie.

Pokonałem jakieś sto jardów od brzegu, gdy zdałem sobie sprawę, iż mój prześladowca już za kilka chwil dogoni czółno. W przypiływie rozpaczony zacząłem intensywniej niż dotychczas pracować prądziadkiem wszystkich wiosł, jednak miedzianoskóry olbrzym z tyłu za mną wciąż zbliżał się nieubłaganie.

Uniósł rękę w kierunku rufy łodzi, gdy ujrzałem wyłaniające się z głębin, smukłe, węzowe cielsko. Mężczyzna też je zobaczył, a wyraz przerażenia na jego twarzy uświadomił mi, że nie muszę się już nim dłużej przejmować – w oczach mego prześladowcy dostrzegłem bowiem śmiertelną zgrozę.

Zaraz potem otoczyły go zimne, wilgotne sploty jakiegoś odrażającego potwora z głębin – olbrzymiego węża morskiego o masywnych szczękach najeżonych groźnymi zębiskami i z rozdwojonym, drgającym nieprzerwanie językiem, z wyłupiastymi ślepiami i kostnymi wyrostkami na łbie oraz pysku, układającymi się w kształt krótkich, grubych rogów.

Gdy tak patrzyłem na tę daremną walkę, moje oczy odnalazły spojrzenie skazanego na niechybną śmierć mężczyzny, i mógłbym przysiąc, że dostrzegłem w nim nieme błaganie. Czy jednak było to prawdą, czy nie,



poczułem nagle przyływ współczucia wobec tego nieszczęśnika. Był człowiekiem, tak jak ja, moim bliźnim i w obliczu niebezpieczeństwa jakie mu groziło niemal natychmiast zapomniałem, że zapewne zabiłby mnie bez wahania, gdyby tylko zdołał mnie dopaść.

Mimowolnie przestałem wiosłować, kiedy wąż morski podźwignął się z głębin, by zaatakować mego prześladowcę, i teraz łódka dryfowała swobodnie obok tamtej dwójki. Potwór zdawał się igrać ze swoją ofiarą, przedłużając jej cierpienie do chwili, gdy ściśnie jej ciało w mocarnych szczękach i zawlecze do kryjówki w głębinach, aby je tam pożreć. Ogromne, węzowate cielsko to zaciskało swe sploty wokół ofiary, to znów je rozluźniało. Odrażające szczęki, pełne długich kłów kłapały tuż przed twarzą mężczyzny. Rozdwojony język wysuwając się raz po raz, prześlizgiwał się po miedzianej skórze. Olbrzym dzielnie walczył o życie, tłukąc krzemiennym toporkiem o kościsty pancerz okrywający to przeraźliwe cielsko, jednak biorąc pod uwagę rozmiar szkód, jakie w ten sposób czynił, równie dobrze mógł uderzać weń otwartą dłonią. W końcu nie mogłem dłużej tak siedzieć beczynnie, podczas gdy inny człowiek, mój było nie było bliźni, miał lada chwila zostać wciągnięty w głębinę przez odrażającego gada, gdzie spotkałaby go przerażająca śmierć. W dziobie czółna wciąż tkwiła wbita włócznia, ciśnięta przez potężnego wojownika, który mnie do niedawna ścigał, a którego ja nagle zapragnąłem ocalić. Silnym szarpnięciem uwolniłem włócznię i wyprostowawszy się, skądinąd nie bez trudu w chyboczącej się łodzi, pchnąłem tym prymitywnym orężem prosto w rozdziawioną paszczę morskiego potwora, wkładając w ten ruch całą siłę mych muskularnych ramion.

Z głośnym sykiem, stwór porzucił swą ofiarę, by zwrócić się w moją stronę, jednak włócznia tkwiąca w jego gardzieli uniemożliwiła mu pochwylenie mnie, choć prawie udało mu się przewrócić tę nędzną łupinkę, kiedy za wszelką cenę próbował mnie dopaść.

## ŚWIĄTYNIA MAHAR

Tubylec, najwyraźniej cały i zdrowy, wślizgnął się szybko do łodzi, i chwytając za drzewce włóczni pomógł mi utrzymać na dystans rozjuszone monstrum. Krew rannego gada barwiła wody wokół nas czerwienią i niebawem, po coraz słabszym oporze stawianym przez potwora, zorientowałem się, że rana, którą mu zadałem była śmiertelna. Wreszcie bestia zupełnie zaprzestała wysiłków, aby nas dopaść; jego ciałem wstrząsnęło kilka konwulsyjnych skurczów, aż w końcu potwór obrócił się na grzbiet i znieruchomiał, martwy.

Dopiero wtedy, nagle zdałem sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się znalazłem. Byłem bowiem zdany całkowicie na łaskę i niełaskę dzikusa, którego czółno ukradłem. Wciąż ściskając w dłoniach drzewce włóczni, spojrzałem w twarz tubylca, by stwierdzić, że ten także przyglądał mi się z uwagą, i staliśmy tak przez kilka minut, we dwóch kurczowo dzierżąc prostą, prymitywną broń, i wpatrując się w siebie nawzajem w otępiałym zdumieniu. Nie wiem, co mu chodziło po głowie, ale ja zadręczałem się tylko jednym pytaniem, a mianowicie kiedy tamten zacznie okazywać wrogość wobec mnie.

Odezwał się do mnie, jednak w języku, którego nie rozumiałem. Pokręciłem głową, aby dać do zrozumienia, że nie znam jego języka, a równocześnie zwracając się do niego w prymitywnym narzeczu jakiego używali Sagothowie, by porozumiewać się z ludzkimi niewolnikami Mahar.

Ucieszyłem się, gdy mnie zrozumiał i odpowiedział, posługując się tym samym dialektem.

– Czemu nie chcesz oddać mi włóczni? – zapytał.

– Bo nie chcę, abyś mnie nią przebił – odparłem.

– Nie zrobiłbym tego – stwierdził – przecież właśnie uratowałeś mi życie. – To rzekłszy, puścił drzewce i usiadł na dnie dębki. – Kim jesteś – ciągnął – i z jakiej krainy pochodzisz?

Ja również usiadłem, kładąc włócznię pomiędzy nami i spróbowałem wyjaśnić jak dotarłem do Pellucidaru i skąd, on jednak nie był w stanie tego pojąć, ani uwierzyć w dziwną historię, którą się z nim podzieliłem, podobnie jak ty, zamieszkując zewnętrzną skorupę nie jesteś w stanie dać wiary w istnienie wewnętrznego świata. Wydawało mu się absurdem wyobrażenie, że daleko stąd, pod jego stopami mógł istnieć całkiem inny świat, zamieszkiwany przez istoty podobne do niego i im dłużej się nad tym zastanawiał, tym głośniejszy śmiech dobywał się z jego ust. Ale zawsze tak było. Nigdy dotąd nie zdarzyło się inaczej, jak na to wskazuje cały zakres naszej skądinąd nikłej wiedzy o świecie – nasze ograniczone umysły nie potrafią pojąć tego, co nie zgadza się z ustaleniami wpajanymi nam wszystkim żyjącym na zewnętrznej powłóce tej nic nie znaczącej drobinki kurzu, która płynie swoim ograniczonym torem pośród wielkich gładów unoszących się we wszechświecie – drobinki wilgotnego kurzu, którą dumnie zwiemy ziemskim globem.

W końcu i ja się poddałem i poprosiłem, aby opowiedział mi coś o sobie. Powiedział że jest Mezopem i że nazywa się Ja.

– Kim są Mezopowie? – spytałem. – Gdzie oni żyją?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Zaiste mogę uwierzyć, że pochodzisz z innego świata – powiedział. – Któż bowiem z mieszkańców Pellucidaru mógłby tego nie wiedzieć? Mezopowie zamieszkują morskie wyspy. Z tego co mi wiadomo, Mezopowie nie żyją nigdzie indziej i nikt prócz Mezopów nie zamieszkuje na wyspach, ale oczywiście w odległych krainach może być inaczej. Ja tego nie wiem. Tak czy inaczej, na tym morzu i na wszystkich okolicznych, wyspy zamieszkane są wyłącznie przez moją rasę.

– Jesteśmy rybakami, choć są z nas również wspaniali myśliwi; często udajemy się na stały ląd w poszukiwaniu zwierzyny, której za wyjątkiem większych wysepek nie mamy za wiele. Jesteśmy także wojownikami – dodał z dumą. – Nawet Sagothowie, słudzy Mahar, lękają się nas. Dawno temu, gdy Pellucidar był jeszcze młody, Sagothowie próbowali porywać nas, by zrobić z nas niewolników, tak jak to czynią z innymi mężczyznami w Pellucidarze. Historię tę przekazuje się wśród nas z ojca na syna, od zarania dziejów. Bo stanęliśmy do walki i walczyliśmy tak desperacko, i zabiliśmy wielu Sagothów, ci z nas zaś, których schwytano, pozabijali tak wiele Mahar w ich miastach, że ostatecznie Mahary uznały, iż lepiej będzie zostawić nas w spokoju. Później nadeszły czasy, kiedy Mahary stały się tak gnuśne, że nawet nie polowały już na ryby, chyba że dla zabawy, i potrzebowały nas abyśmy zaspokajali ich potrzeby, dlatego pomiędzy naszymi rasami zawarty został rozejm. Teraz oni dostarczają nam pewne rzeczy, których my nie jesteśmy w stanie wyprodukować, w zamian za ryby, które my złowimy i tak Mezopowie i Mahary żyją w pokoju.

– Wielcy przybywają nawet na nasze wyspy. To właśnie tam, z dala od wścibskich oczu praktykują swe religijne ceremonie i rytuały, w świątyniach, które wznieśli przy naszej pomocy. Jeżeli będziesz żył wśród nas, z pewnością będziesz świadkiem takich rytuałów, które są naprawdę niezwykle i wyjątkowo nieprzyjemne dla nieszczęsnych niewolników, których zabierają ze sobą, by w nich uczestniczyli.

Kiedy Ja mówił, miałem okazję uważniej mu się przyjrzeć. Był potężnym mężczyzną, mierzącym jakieś sześć stóp i sześć a może nawet siedem cali, dobrze zbudowanym, o miedzianoczerwonej skórze jak u naszych Indian północnoamerykańskich. Skądinąd rysy jego twarzy też wydawały się jakby trochę indiańskie. Miał orli nos, typowy dla przedstawicieli wielu górskich plemion, wydatne, wystające kości policzkowe, czarne włosy i oczy, ale jego usta i wargi były wydatniejsze, lepiej ukształtowane. Tak czy owak, Ja był imponującym, przystojnym

mężczyzną, w dodatku elokwentnym, mimo iż posługiwał się dość podłym dialektem, który obaj rozumiemy.

Podczas naszej rozmowy Ja przejął wiosło i posługując się nim sprawnie, skierował czółno ku dużej wyspie leżącej o jakieś pół mili od stałego lądu. Zręczność i zdecydowanie, z jakim kierował tą prymitywną dłubanką, wzbudziły we mnie szczerzy podziw, bo przecież jeszcze nie tak dawno ja sam miałem spore problemy z zapanowaniem nad oporną łódką.

Gdy dotarliśmy do brzegu, Ja wyskoczył na piaszczystą plażę, a ja po chwili uczyniłem to samo. Wspólnie przeciągnęliśmy czółno z dala od brzegu, w krzaki rosnące w pewnym oddaleniu od plaży.

– Musimy ukrywać nasze czółna – wyjaśnił Ja – bo Luanianie stale toczyli z nami wojny i ukradliby je, gdyby je tylko znaleźli – ruchem głowy wskazał wysepkę znajdującą się w głębi morza, na tyle daleko, że wydawała się być jedynie mglistym zarysem odcinającym się na tle odległego nieba. Skierowana ku górze krzywizna Pellucidaru bez przerwy ujawniała to, co niemożliwe, przepelnionym zdumieniem oczom mieszkańca zewnętrznego świata. Widok lądu i wody wznoszących się łagodnym łukiem ku górze i w oddali zdających stapiać się z odległym niebem oraz poczucie, że owo morze i góry są zawieszane gdzieś tam, wysoko nad twoją głową wymagały kompletnego odwrócenia perspektywy i rozumowania, co nie było łatwe, a przede wszystkim wprowadzało w osłupienie.

Ledwie ukryliśmy dłubankę, gdy Ja poprowadził nas w głąb dżungli, w mig odnajdując wąski lecz dobrze wydeptany szlak, wiodący kręto wśród bujnej roślinności, jak to bywa z traktami, którymi wędrują prymitywne ludy, jednak szlak Mezopów pod jednym względem różnił się od wszystkich innych, jakie miałem okazję widzieć, czy to w świecie zewnętrznym, czy tutaj. Odkryłem to jednak znacznie później.

Szlak biegł prosto i wyraźnie, by urwać się niespodziewanie w samym środku dżungli, a wówczas Ja zawracał tą samą drogą kilka kroków,

wskakiwał na drzewo, przechodził po nim na drugą stronę, zeskakiwał na zwaloną kłodę, dawał susa nad niskimi krzewami i wkrótce znów odnajdywał wyraźny szlak, którym podążał dalej przez pewien czas, a następnie powtarzał te same czynności pół mili albo milę dalej, kiedy ścieżka nagle się urywała, tak jak poprzednio. Wówczas przechodził po znajdujących się najbliżej tego miejsca drzewach lub kłodach, na których nie pozostawały żadne ślady, zaś urwany szlak odnajdywał nieco dalej.

Gdy uświadomiłem sobie cel całego tego niezwykłego marszu, nie mogłem się nadziwić przebiegłości pradawnych przodków Mezopów, którzy obmyślili ten sprytny plan mający na celu ukrycie szlaku przed wrogami albo niedopuszczenie, aby dotarli oni tym tropem do ich sekretnych miast, wzniesionych gdzieś w głębi dżungli.

Mieszkańcowi świata zewnętrznego ta wędrówka mogłaby wydać się powolna i żmudna, gdy jednak przebywasz w Pellucidarze, uświadamiasz sobie, że czas nie gra tu żadnej roli, bo po prostu upływ czasu, jako taki, nie istnieje. Szlaki te są tak skomplikowane i kręte, a połączenia i odległości pomiędzy nimi tak zróżnicowane, że Mezopowie często osiągają wiek męski, zanim zdołają zaznajomić się z tymi tylko spośród przejść, które prowadzą od ich własnego miasta do morza.

W gruncie rzeczy trzy czwarte nauki pobieranej przez młodych Mezopów składa się z zapoznawania się ze wspomnianymi ścieżkami w dżungli, zaś status dorosłego określany jest w dużej mierze liczbą tras, którymi są oni w stanie się poruszać na terenie swojej wyspy. Kobiety nigdy się nich nie uczą, gdyż od narodzin aż do śmierci nie opuszczają polany, na której usytuowana jest ich rodzima wioska, chyba że zostaną porwane przez mężczyznę z innej osady, by zostać jego wybranką, albo podczas wojny wpadają w ręce wojowników z wrogiego plemienia.

Po przejściu przez dżunglę co najmniej pięciu mil, wyszliśmy nagle na ogromną polanę, pośrodku której znajdowała się najdziwniejsza wioska

jaką można by sobie wyobrazić.

Olbrzymie drzewa zostały ścięte na wysokości piętnastu, może dwudziestu stóp nad ziemią, a na ich szczytach wzniesiono kuliste habitaty z plecionych gałęzek, pokrytych błotem. Każdy przypominający piłkę dom był przyozdobiony zwieńczeniem w kształcie rzeźbionej głowy, która, jak wyjaśnił mi Ja, miała pokazywać tożsamość właściciela.

Poziome szczeliny o wysokości sześciu cali i szerokości dwóch albo nawet trzech stóp, miały na celu zapewnienie domostwu światła oraz wentylacji. Wejścia do domu stanowiły niewielkie otwory u podstawy drzew, skąd po prymitywnych drabinach umieszczonych wewnątrz wydrążonych pni można było dostać się do pokoi powyżej. Domy różniły się wielkością, w zależności od tego czy miały dwa, czy więcej pokoi. Największy do którego wszedłem, był podzielony na dwa piętra i składał się z ośmiu mieszkań.

Wokół całej wioski, pomiędzy nią i dżunglą rozciągały się przepięknie utrzymane pola, na których Mezopowie uprawiali takie zboża, owoce i warzywa jakich potrzebowali. Kobiety i dzieci pracowały w tych ogrodach, gdy szliśmy w kierunku osady. Na widok Ja wszystkie bez wyjątku pozdrowiały go z szacunkiem, na mnie jednak nie zwracały kompletnie uwagi. Pośród nich i na zewnętrznych obrzeżach pól uprawnych było wielu wojowników. Oni także pozdrawiali Ja, dotykając grotami włócznie gruntu.

Ja poprowadził mnie do dużego domu pośrodku wioski – domu mającego osiem pokoi – i zaprowadziwszy na górę, poczęstował mnie jadłem i napitkiem. Tam spotkałem jego wybrankę, urodziwą kobietę trzymającą na rękach niemowlę. Ja opowiedział jej, jak ocaliłem mu życie, ona zaś odnosiła się odtąd wobec mnie nader życzliwie i z wielką gościnnością. Pozwoliła nawet abym pottrzymał przez chwilę maleństwo, które, jak wyjaśnił mi Ja, któregoś dnia miało władać tym plemieniem, Ja bowiem, jak wszystko na to wskazywało, był wodzem owej wspólnoty.

Zjedliśmy i odpoczęliśmy, ja nawet się przespałem, co było dla Ja powodem do rozbawienia, on sam bowiem sypiał rzadko albo nawet wcale, później zaś czerwonoskóry zaproponował, abym towarzyszył mu w drodze do świątyni Mahar, która leżała niedaleko od jego wioski.

– Nie powinniśmy jej odwiedzać – powiedział – ale wielcy nie słyszą, a jeśli dobrze się ukryjemy, by nie mogli nas zobaczyć, nawet się nie zorientują, że tam byliśmy. Jeżeli chodzi o mnie, nienawidzę ich i zawsze tak było, jednak inni wodzowie na wyspie uważają, że lepiej zachowywać przyjazne relacje pomiędzy naszymi dwiema rasami. Gdyby nie to, bez chwili wahania powiodłbym moich wojowników przeciwko tym odrażającym kreaturom i wytepił je do nogi – bez nich Pellucidar byłby o wiele lepszym miejscem do życia.

W pełni podzielałem przekonanie Ja, wydawało się jednak, że wytepienie rasy dominującej w Pellucidarze może być naprawdę trudne. Tak rozmawiając, podążaliśmy skomplikowanym szlakiem w stronę świątyni, która, jak się okazało, leżała na niewielkiej polanie otoczonej ogromnymi drzewami podobnymi do tych, jakie musiały rosnać bujnie w okresie karbońskim na zewnętrznej powłoce naszego globu.

Była to potężna świątynia z ciosanego kamienia, zbudowana na planie owalu, z zaokrąglonym dachem, w którym widniało kilka dużych otworów. W żadnej ze ścian budowli nie było widać drzwi ani okien, nie były zresztą potrzebne, za wyjątkiem jednego wejścia dla niewolników, Mahary bowiem, jak tłumaczył mi Ja, wlatywały i wylatywały ze świątyni przez otwory w dachu.

– Jednakże – dodał Ja – u podstawy budowli znajduje się wejście, o którym nie wiedzą nawet Mahary. Chodź – i poprowadził mnie przez polanę, w stronę sterty kamieni usypanej u podnóża muru. Usunął kilka dużych głazów, odsłaniając niewielki otwór prowadzący do wnętrza budynku, a przynajmniej tak wyglądało, kiedy bowiem wszedłem tam za Ja, znalazłem się w jakimś wąskim, bardzo ciemnym pomieszczeniu.



– Znajdujemy się w zewnętrznym murze – wyjaśnił Ja. – Jest wydrążony. Idź za mną, tylko ostrożnie.

Czerwonoskóry macał rękoma w ciemnościach, idąc kilka kroków przede mną, aż wreszcie zaczął wspinać się po prymitywnej drabinie, podobnej do tych po których wchodziło się do wnętrza ich nadrzewnych domów. Pokonaliśmy w ten sposób jakieś czterdzieści stóp, gdy w prześwicie między ścianami zaczęło się robić jaśniej i w końcu dotarliśmy do otworu w wewnętrznej ścianie, skąd mieliśmy niczym niezakłócony widok na całe wnętrze świątyni.

Cały dolny poziom stanowił ogromny zbiornik z czystą wodą, w której leniwie pławała się gromada odrażających Mahar. To sztuczne morze usiane było sztucznymi wysepkami z granitu, na kilku z nich zaś ujrzałem ludzi takich jak ja, zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

– Co tu robią ci ludzie? – spytałem.

– Poczekaj, to zobaczysz – odparł Ja. – Stanowią punkt kulminacyjny ceremonii, która odbędzie się po przybyciu królowej. Powinieneś cieszyć się, że nie znajdujesz się po tej samej stronie muru co oni.

Ledwie to powiedział, gdy usłyszeliśmy głośny trzepot skrzydeł gdzieś w górze, a zaraz potem długi korowód przerażających pellucidarskich gadów powoli i majestatycznie wleciał przez główny otwór centralny w dachu i zaczął dostojnie krążyć ponad świątynią.

Najpierw zwróciłem uwagę na Mahary, później jednak dostrzegłem także około dwudziestu budzących grozę pterodaktyli – thipdarów, jak je nazywano w Pellucidarze. Za nimi pojawiła się królowa, otoczona swiłą kolejnych thipdarów, tak jak wówczas, gdy ujrzałem ją w amfiteatrze w Phutrze.

Stworzenia te wykonały trzy pełne okrążenia ponad świątynią, po czym przysiadły na wilgotnych, zimnych głazach okalających zewnętrzną krawędź basenu. Pośrodku, z jednej strony, największy głaz był

zarezerwowany dla królowej i wnet zajęła na nim miejsce, otoczona przez swą przerażającą gwardię przyboczną.

Kiedy gady zajęły miejsca, na kilka minut w świątyni zapanował kompletny spokój. Można było wyobrazić sobie, że Mahary pograżyły się w cichej modlitwie. Nieszczęśni niewolnicy na niedużych wysepkach obserwowali upiorne stworzenia oczyma przepęnlionymi trwogą. Większość mężczyzn stała wyprostowana z ramionami splecionymi na piersiach w oczekiwaniu na niechybną zgubę. Kobiety i dzieci jednak tuliły się do siebie, ukrywając się za mężczyznami. Ci ludzie jaskiniowi Pellucidaru są dumną i szlachetną rasą i jeśli nasi przodkowie w świecie zewnętrznym też tacy byli, to rasa ludzka po tamtej stronie naszego globu raczej się skundliła i zdegenerowała niż rozwinęła w miarę upływu wieków. Brakuje im jedynie sposobności. My mamy sposobność i niewiele więcej.

Królowa wreszcie się poruszyła. Uniosła swój szpetny łeb i rozejrzała się dokoła, po czym bardzo wolno podpełzła na skraj tronu i bezgłośnie ześlizgnęła się do wody. Pływała w tę i z powrotem w długim zbiorniku wodnym, zakręcając na jego obrzeżach, jak to robią na swoich wybiegach żyjące w niewoli foki, to obracając się na grzbiet, to zanurzając się pod powierzchnię.

Coraz bardziej zbliżała się do wysepki, aż w końcu zatrzymała się przed największą z nich, znajdującą się dokładnie naprzeciwko tronu. Unosząc swój ohydny łeb nad wodą, skierowała spojrzenie wielkich, okrągłych oczu na niewolników. Byli otyli i gładcy, sprowadzono ich bowiem z odległego miasta Mahar, gdzie ludzi hoduje się jak bydło na rzeź. Oni także zostali odpowiednio utuczeni, tak jak my, w świecie zewnętrznym tuczemy i hodujemy trzodę przeznaczoną na mięso.

Królowa zatrzymała wzrok na pulchnej, młodej dziewczynie. Jej ofiara próbowała się odwrócić, ukryła twarz w dłoniach i uklękła za jedną z kobiet; gad jednak, nie mrugając ślepiami wpatrywał się w nią z taką

intensywnością, że mógłbym przysiąc, iż spojrzenie to przeniknęło przez kobietę, docierając do wnętrza jej mózgu.

Gadzi łeb poruszał się powoli z boku na bok, oczy jednak ani na chwilę nie spuszczały wzroku z przerażonej dziewczyny i w końcu ofiara zareagowała. Spojrzała wytrzeszczonymi, przepełnionymi strachem oczami na królową Mahar, podniosła się wolno, a potem jakby pociągnięta przez jakąś niewidzialną siłę, jak w transie zaczęła iść w stronę gada, wpatrując się szklistym, niewidzącym wzrokiem w groźną władczynię. Dotarła nad brzeg zbiornika wodnego, jednak nie zatrzymała się tam, tylko zeszła na mieliznę przy niewielkiej wysepce. Ruszyła w stronę królowej Mahar, która tymczasem powoli zaczęła się cofać, jakby przyciągała ofiarę do siebie. Woda sięgała dziewczynie do kolan, ale ona szła dalej, jak zahipnotyzowana mocą tych błyszczących ślepi. Teraz woda sięgała jej do talii, a po chwili do ramion. Jej towarzysze na wyspie patrzyli na to wszystko ze zgrozą, niezdolni zapobiec czekającej dziewczynę zgubie, w której dostrzegali też los czekający ich wszystkich.

Władczyni Mahar zanurzyła się w wodzie, tak że widać było wystający nad powierzchnią dziób i oczy, dziewczyna zaś szła dalej dopóki ten odrażający dziób nie znalazł się o cal lub dwa od jej twarzy. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od ślepi gada.

Poziom wody sięgał teraz powyżej nosa i ust dziewczyny – widać było już tylko jej oczy i czoło, ona jednak nie zatrzymała się i wciąż podążała za cofającą się Maharą. Łeb królowej powoli znikł pod powierzchnią, a w chwilę potem przestały być widoczne także oczy ofiary – jedynie rozszerzające się leniwie zmarszczki na wodzie, rozchodzące się ku brzegowi określały miejsce, w którym zniknęła ohydna gadzina wraz ze swą ofiarą.

Przez jakiś czas w świątyni panowała zupełna cisza. Niewolnicy zastygli w bezruchu z przerażenia. Mahary obserwowały powierzchnię wody w oczekiwaniu na ponowne pojawienie się ich królowej i wreszcie

na drugim końcu zbiornika pojawiła się powoli wielka, gadzia głowa. Władczyni Mahar cofała się ku powierzchni patrząc przed siebie, jak wówczas, gdy pociągnęła za sobą bezwonną dziewczynę ku jej zgubie.

Wtedy jednak, ze zdumieniem ujrzałem czoło i oczy dziewczyny, powoli wyłaniające się z głębin; niewolnica wciąż wpatrywała się gładnie prosto w ślepią, tak jak wtedy, gdy zanurzyła się w odmętach. Dziewczyna szła, krok za krokiem, aż dotarła do miejsca, gdzie woda sięgała jej ledwie do kolan, i choć przebywała pod wodą dostatecznie długo, by mogła utonąć ze trzy razy, nic nie wskazywało, pomijając ociekające włosy i lśniące od wilgoci ciało, że w ogóle zanurzyła się w wodzie.

Królowa raz po raz prowadziła dziewczynę w odmęty i wyprowadzała z głębin, aż całe to niezwykle i dziwaczne przedstawienie zaczęło mi działać na nerwy i gdybym się nie pohamował zapewne wskoczyłbym tam, ruszając dziewczynie na ratunek.

W którymś momencie gad i jego ofiara spędzili pod wodą więcej czasu niż zwykle i gdy znów pojawili się na powierzchni, z przerażeniem dostrzegłem, że dziewczyna nie miała jednej ręki, całe ramię zostało odgryzione na wysokości barku, jednak ta nieszczęśnica w żaden sposób nie okazywała bólu – spotęgowała się jedynie groza malująca się w jej głęboko osadzonych oczach.

Gdy ponownie wyłonili się z wody, dziewczyna nie miała drugiej ręki, potem piersi, a w końcu części twarzy – to było naprawdę straszne. Nieszczęśnicy na wysepkach, oczekujący na swój los, próbowali zasłaniać oczy dłońmi, by nie widzieć tego okropnego widoku, zorientowałem się jednak, że oni również znajdowali się pod wpływem hipnotycznej mocy gadów i mogli jedynie kucać w przerażeniu, ze wzrokiem utkwionym w powierzchnię zbiornika wodnego, gdzie na ich oczach rozgrywało się to upiorne widowisko.

W końcu królowa spędziła pod wodą o wiele więcej czasu niż dotychczas, a kiedy wyłoniła się na powierzchnię była sama, i z niemal

sennym rozleniwieniem podpłynęła do swego głazu. W chwili, gdy się nań wspięła, pozostałe Mahary wskoczyły do wody, później zaś powtórzył się, lecz już na większą skalę spektakl, w którym królowa prowadziła swoją ofiarę w odmęty.

Tylko kobiety i dzieci padły ofiarami Mahar – były bowiem najślabszymi i najsmakowitszymi kąskami, kiedy zaś gady zaspokoily apetyt na ludzkie mięso, przy czym niektóre z nich pożarły nawet dwóch albo i trzech niewolników, na wyspach pozostało już tylko dwudziestu dorosłych mężczyzn i pomyślałem wtedy, że może z jakiegoś powodu mieli oni zostać oszczędzeni, pomyliłem się jednak. Kiedy bowiem ostatnia z Mahar wpełzła z powrotem na swój gład, thipdary królowej wzbiły się w powietrze, zatoczyły krąg nad świątynią, po czym sycząc jak maszyna parowa, spadły na pozostałych przy życiu niewolników.

Nie było żadnej hipnozy, tylko prosta, brutalna furia drapieżników rozrywających, rozszarpujących i pożerających kolejne kawałki mięsa, jednak nie było to ani trochę mniej upiorne niż metoda, którą posługiwały się Mahary. Zanim thipdary rozprawiły się z ostatnimi niewolnikami, Mahary już zasnęły na swoich skałach, a w chwilę potem wielkie pterodaktyle wróciły na swoje miejsce u boku królowej i także pograżyły się we śnie.

– Sądziłem, że Mahary rzadko śpią, albo nawet wcale – zwróciłem się do Ja.

– W tej świątyni robią wiele rzeczy, których nie czynią nigdzie indziej – odparł czerwonoskóry. – Mahary z Phutry podobno nie jadają ludzkiego mięsa, jednak niewolnicy są tu sprowadzani tysiącami i niemal zawsze możesz znaleźć Mahary, które są chętne, by się nimi pożywić. Podejrzewam, że nie zabierają tu ze sobą Sagothów, bo wstydzą się tych praktyk, które są uważane za przymiot najmniej rozwiniętych członków ich rasy, ja wszelako jestem gotów założyć się o moje czołno, stawiając

je przeciwko złamanemu wiosłu, że nie ma Mahary, która nie pokusiłaby się pożywić się ludzkim mięsem, gdyby tylko nadarzyła się po temu okazja.

– Czemu mieliby sprzeciwiać się jedzeniu ludzkiego mięsa? – spytałem – skoro uważają nas za zwierzęta, stojące znacznie niżej od nich w hierarchii?

– Nie dlatego patrzą z pogardą na tych, co pożerają ludzkie mięso, że uważają nas za równych sobie – odparł Ja – lecz dlatego, że jesteśmy zwierzętami ciepłokrwistymi. Nie pomyślałyby nawet, by zjadać mięso thagów, które my uważamy za rzadki smakołyk, podobnie jak ja nie tknąłbym mięsa węża. Prawdę mówiąc, trudno powiedzieć skąd wzięły się w nich takie, a nie inne przekonania.

– Zastanawiam się czy pozostawili choć jedną ofiarę – wtrąciłem, wychylając się mocno przez otwór w kamiennej ścianie, by lepiej móc rozejrzeć się po wnętrzu świątyni. Dokładnie pode mną pluskała woda, obmywając boczną ścianę zbiornika wodnego, była tam wyrwa między głazami, podobnie jak w kilku innych miejscach z boku świątyni.

Opierałem dłonie na niewielkim kawałku granitu tworzącego tę część muru i mój ciężar okazał się dla niego zbyt duży. Fragment ściany odłupał się, a ja poleciałem do przodu. Nie miałem się czego uchwycić i runąłem głową do dołu, w wodę poniżej.

Na szczęście basen był w tym miejscu głęboki, a ja nie ucierpiałem wskutek upadku, kiedy jednak wypłynąłem na powierzchnię, umysł mój przepełniły koszarne wizje niechybnej zguby, jaka mnie czekała, kiedy tylko gady zebrane wokoło odnajdą istotę, która zakłóciła ich drzemkę.

Tak długo jak potrafiłem pozostać pod powierzchnią, płynąc pospiesznie w stronę wysp, mogłem liczyć, że uda mi się zachować życie. Wreszcie musiałem się wynurzyć, aby zaczerpnąć powietrza, i kiedy rozejrzałem się dokoła, w stronę gdzie znajdowały się Mahary i thipdary, okazało się, że już ich tam nie ma, nie zauważyłem też żadnego, przepatrując stopniowo całe wnętrze świątyni.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem, aż zdałem sobie sprawę, że gadów, ponieważ były głuche, nie mógł zaniepokoić głośny plusk z jakim moje ciało uderzyło w wodę, a ponieważ w Pellucidarze czas jako taki nie istnieje, trudno określić jak długo przebywałem pod wodą. To naprawdę trudne określić upływ czasu – według ziemskich standardów, kiedy jednak się tego podjąłem, zrozumiałem, że mogłem przebywać w zanurzeniu sekundę, miesiąc, albo tyle ile trwa mgnienie oka.

Cieężko jest przyjąć dziwne sprzeczności; paradoksy jakie pojawiają się, kiedy wszystkie sposoby pomiaru czasu, jakie są nam znane na powierzchni ziemi, przestają istnieć.

Już miałem sobie pogratulować cudu, który uratował mnie z tej opresji, gdy wspomnienie hipnotycznych mocy Mahar przepełniło mnie obawą, iż te podstępne istoty wykorzystały wobec mnie swe niezwykle umiejętności, tworząc złudną iluzję, że prócz mnie w tej wielkiej świątyni nie było nikogo innego. Na tę myśl oblał mnie zimny pot i gdy wypełzłem z wody na jedną z niewielkich wysepek, drżałem jak osika – nie jesteś w stanie wyobrazić sobie dojmującej zgrozy, jaką potrafi wywołać w ludzkim umyśle jedna jedyna myśl o odrażających Maharach z Pellucidaru i świadomość, że jesteś w ich mocy, i że te pełzające, oślizgłe, ohydne stworzenia zwabiają cię w odmęty wód, aby cię pożreć. To przerażające.

Ale te istoty się nie pojawiły, a ja w końcu doszedłem do wniosku, że faktycznie byłem sam w tej świątyni. Jak długo pozostanę osamotniony, to następne pytanie, które nie dawało mi spokoju, gdy zacząłem rozpaczliwie płynąć w poszukiwaniu jakiegokolwiek drogi ucieczki z tego miejsca.

Kilkakrotnie zawołałem do Ja, on jednak musiał się ulotnić, kiedy wpadłem do wody, nie uzyskałem bowiem od niego odpowiedzi na moje wołania. Z pewnością uznał, że mój los był już przesądzony, kiedy zobaczył jak wylatuję z naszej kryjówki i obawiał się, że i jego czeka rychła zguba,

gdyby został odkryty przez Mahary. Dlatego nie zastanawiając się długo, uciekł ze świątyni i wrócił do swojej wioski.

Wiedziałem, że musiało istnieć jakieś wejście do tej budowli, oprócz otworów w dachu, nie potrafiłem bowiem uwierzyć, że tysiące niewolników, które sprowadzano tutaj na żer dla Mahar, pożywiających się ludzkim mięsem, mogły być dostarczane do świątyni drogą powietrzną. Dlatego też kontynuowałem moje poszukiwania, aż w końcu moje wysiłki zostały nagrodzone, gdy odkryłem kilka obluzowanych granitowych bloków w ścianie, na drugim końcu świątyni.

Wystarczyła odrobina wysiłku, aby usunąć dostatecznie dużo tych kamieni, bym mógł przecisnąć się przez powstały otwór i wypełznąć na polanę, a w chwilę później pokonawszy połąć równiny, dotarłem do rozciągającej się nieopodal, gęstej dżungli. Dopiero tam osunąłem się, zdyszany i rozdygotany, na gęsty kobierzec traw pod wielkimi drzewami. Czuję, że tylko fuksem udało mi się umknąć kostusze spod kosy, miałem wrażenie, że stanąłem twarzą w twarz ze śmiercią i tylko cudem zdołałem ocalić skórę. Żadne niebezpieczeństwa, mogące czaić się w ostępach dżungli na tej wyspie, nie wydawały mi się równie przerażające jak zgroza, z którą miałem właśnie okazję się zetknąć. Wiedziałem, że potrafiłbym mężnie stawić czoło śmierci, gdyby zjawiała się przede mną w postaci znanego mi zwierzęcia lub człowieka – wszystkiego, prócz niesamowitych, przerażających i plugawych Mahar.



## OBLICZE ŚMIERCI

Musiałem przysnąć ze zmęczenia. Kiedy się obudziłem, byłem bardzo głodny i kiedy już znalazłem dla siebie trochę owoców, ruszyłem przez dżunglę na poszukiwanie plaży. Wiedziałem, że wyspa nie była taka duża, i z łatwością mogłem dotrzeć do morza, jeśli tylko będę poruszał się w linii prostej, ale pojawiły się trudności, bo nie miałem jak ukierunkować mego marszu i utrzymać go. Słońce, rzecz jasna wciąż wisiało w zenicie, nad moją głową, a drzewa rosły tu tak gęsto, że nie byłem w stanie odnaleźć jakiegoś dalej leżącego punktu orientacyjnego, który pozwoliłby mi przemieszczać się w linii prostej.

Musiałem mimo wszystko pokonać spory dystans, bo zjadłem aż cztery posiłki i dwa razy się przespałem zanim dotarłem do morza, w końcu jednak tego dokonałem, a moją radość wywołaną jego widokiem w znacznym stopniu spotęgowało przypadkowe znalezienie czółna ukrytego wśród krzewów, przez które przedzierałem się, zanim wyszedłem na plażę.

Powiem ci, że nie trwało długo zanim zepchnąłem tę prymitywną łódkę do wody i odpłynąłem nią od brzegu. Czas spędzony z Ja nauczył mnie, że muszę się spieszyć i możliwie jak najszybciej powinienem odpłynąć dostatecznie daleko, by właściciel czółna nie zdołał mnie dogonić.

Musiałem zejść na brzeg po drugiej stronie wyspy niż ta, na którą weszliśmy razem z Ja, bo w zasięgu wzroku nie było stałego lądu. Długo wiosłowałem, płynąc wzdłuż brzegu, zanim wreszcie dostrzegłem w oddali stały ląd. Na ten widok, nie tracąc czasu zacząłem wiosłować w jego stronę,

bo już dawno temu postanowiłem, że wrócę do Phutry i poddam się, aby znów móc spotkać się z Perrym i Ghakiem Włochatym.

Uważałem, że postąpiłem głupio, decydując się na samotną ucieczkę, zwłaszcza że przecież mieliśmy już opracowany plan wspólnego wydostania się na wolność. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że szanse na powodzenie naszego przedsięwzięcia były dość nikłe, nie mógłbym jednak należycie cieszyć się wolnością bez Perry'ego, dopóki staruszek pozostawał przy życiu, a z tego co zdołałem się dowiedzieć podczas mej eskapady, istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że już nigdy więcej go nie zobaczę.

Gdyby Perry umarł, z nieskrywaną przyjemnością wykorzystałbym całą inteligencję i siłę, by zmierzyć się z dzikim, pierwotnym światem, w którym się znalazłem. Mógłbym wieść żywot odludka w jakiejś kamiennej pieczarze, dopóki nie znajdę sposobu, by sprokurować dla siebie prymitywną broń z epoki kamiennej, a potem wyruszyć na poszukiwanie tej, której obraz bez przerwy towarzyszył mi na jawie i w snach.

Jednak, o ile wiedziałem, Perry wciąż żył, a moim obowiązkiem i pragnieniem było znów do niego dołączyć, abyśmy wspólnie mogli dzielić zagrożenia i zmienne koleje losu w dziwnym świecie, który odkryliśmy. Brakowało mi też Ghaka. Ten wielki, kudłaty mężczyzna znalazł swoje miejsce w sercach nas obu, bo był ze wszech miar szlachetnym mężem i królem w każdym calu. Może trochę nieokrzesanym i brutalnym, jeśli oceniać go według standardów dwudziestowiecznej cywilizacji, jednak bez wątplenia był to człek szlachetny, dostojny, rycerski i ujmujący.

Przypadek sprawił, że trafiłem na tę samą plażę, gdzie odkryłem czółno Ja, i niedługo potem wspiąłem się na stromy brzeg, by wrócić tą samą drogą na równinę wiodącą do Phutry. Jednak moje kłopoty pojawiły się, kiedy wszedłem do wąwozu za granią, okazało się bowiem, że było ich kilka, przecinających się w miejscach gdzie zszedłem ze wzgórza i za żadne

skarby świata nie byłem w stanie określić, którą z tych dróg podróżowałem wcześniej.

Wszystko było kwestią przypadku, wybrałem więc tę, która wydała mi się najłatwiejsza do przebycia i czyniąc to, popełniłem ten sam błąd co wielu z nas, gdy wybierają ścieżkę, jaką ma potoczyć się dalej ich życie, o tym jednak, że nie zawsze warto iść po linii najmniejszego oporu dowiadują się zwykle po pewnym czasie, gdy na zmianę decyzji jest już za późno.

Zanim spożyłem ósmy posiłek i po raz drugi się przespałem, byłem już pewien że pomyliłem drogę, bo pomiędzy opuszczeniem Phutry a dotarciem do wewnętrznego morza w ogóle nie spałem, a jadłem tylko raz. Jedyne rozwiązanie mego problemu wydawało się zawrócenie po własnych śladach na szczyt wzniesienia i spenetrowanie innego wąwozu, jednak parów przede mną zaczął się rozszerzać i wygładzać, co sugerowało że zbliżam się do terenów równinnych. Z tą świadomością postanowiłem przejść się jeszcze kawałek i rozejrzeć w okolicy, zanim ewentualnie zawrócę. Pokonawszy kolejny załom parowu, dotarłem do jego wylotu i ujrzałem przed sobą wąską równinę opadającą w dół, do oceanu. Na prawo ode mnie, ściana parowu ciągnęła się wzdłuż brzegu morza, po lewej miałem dolinę, na wprost zaś dość spadzisty stok, ciągnący się w stronę rozległej, równinnej plaży.

Tu i ówdzie widać było kępy dziwnych drzew, rosnące niemal aż do linii wody, pomiędzy nimi a wąwozem zaś widać było gęste połacie traw i bujnych paproci. Sądząc po tej roślinności, domyśliłem się, że teren pomiędzy oceanem a wzgórzami był podmokły, choć dokładnie na wprost mnie grunt wydawał się całkiem suchy, ciągnąc się aż do piaszczystego pasa wzdłuż którego niespokojne wody na przemian to napływały, to znów cofały się gwałtownie.

Ciekawość skłoniła mnie, aby zejść na plażę, pejzaż ten bowiem wydał mi się wyjątkowo piękny. Przechodząc obok żyznej, bujnej bagiennej

roślinności, wydawało mi się, że dostrzegłem jakieś poruszenie wśród paproci, po lewej, ale choć przystanąłem na chwilę, aby się lepiej przyjrzeć, to już się nie powtórzyło i jeśli nawet cokolwiek się tam kryło, moje oczy nie były w stanie przeniknąć przez gęste listowie, aby to zobaczyć.

W końcu stanąłem na plaży skąd rozciągał się widok na szerokie, samotne morze, którego bezmiaru nie miał okazji przemierzyć jak dotąd żaden człowiek, aby odkryć jakie tajemnice i niezwykle krainy tam się znajdowały, albo by ujrzeć jakie bogactwa, cudowności i przygody oferowały niewidoczne, leżące na nim wysepki. Jakie dzikie oblicza, jakie zuchwałe i niesamowite bestie mogły właśnie w tej chwili wpatrywać się w fale rozbijające się o odległy brzeg! Jak daleko ten ocean sięgał? Perry powiedział mi, że morza Pellucidaru były niewielkie w porównaniu z tymi na skorupie zewnętrznej, ale jeśli nawet, ten ocean mógł rozciągać się na przestrzeni tysięcy mil. Przez niezliczone wieki jego fale rozbijały się o długi na niezliczone mile brzeg, a jednak aż do dziś pozostawał on całkiem nieznanym, za wyjątkiem tego wąskiego pasa, który był widoczny z połączenia plaży.

Pogrążyłem się w intensywnych rozmyślaniach. Miałem wrażenie jakbym przeniósł się do czasu narodzin naszego zewnętrznego świata, by patrzeć na tamtejsze lądy i morza na setki lat przed tym, zanim zaczęli podróżować po nich ludzie. Oto miałem przed sobą nowy, dziewiczy jeszcze świat. Zdawał się przywoływać mnie, nakłaniać do eksploracji. Marzyłem o przeżyciach, jakie mogłyby nas spotkać gdybyśmy, Perry i ja, zdołali uciec Maharom, gdy nagle coś, podejrzewam że cichy dźwięk z tyłu, za mną, zwrócił moją uwagę.

Kiedy się odwróciłem, moje rozmyślenia o romansach, przygodach i odkryciach przysły w jednej chwili, gdy ujrzałem to, co zbliżało się w moją stronę.

Był to wielki, oślizgły, ziemnowodny stwór, o ropuszym cielsku i potężnych szczękach jak u aligatora. Jego ogromny tułów musiał ważyć

tony, a jednak stwór szybko i bezszelestnie zmierzał w moim kierunku. Po jednej stronie miałem urwisko, ciągnące się od wąwozu aż do morza, z drugiej zaś przerażające moczary skąd nadeszło to groźne stworzenie, z tyłu za mną rozciągało się niezbadane morze, a na wprost mnie, pośrodku wąskiej drogi wiodącej ku bezpiecznemu schronieniu wznosiła się ta gigantyczne góra straszego i groźnego cielska.

Jeden rzut oka na to stworzenie wystarczył, by upewnić mnie, że miałem przed sobą jedno z tych dawno wymarłych, prehistorycznych stworzeń, których skamieniałe szczątki znajdowane są w świecie zewnętrznym, wewnątrz warstw ziemi wywodzących się jeszcze z triasu, a mianowicie olbrzymiego labiryntodona. A ja byłem nieuzbrojony, i jeżeli nie liczyć przepaski biodrowej, nagi, tak jak przyszedłem na ten świat. Mogłem sobie wyobrazić jak mógł się czuć mój protoplasta, w ten odległy, prehistoryczny poranek, kiedy po raz pierwszy napotkał przerażającego przodka istoty, która osaczyła mnie właśnie teraz, nad brzegami tego niespokojnego, tajemniczego morza.

Bez wątpienia musiał wtedy uciec, w przeciwnym razie nie byłbym teraz w Pellucidarze i w ogóle bym nie istniał. Żałowałem jednak, że mój przodek nie przekazał jakże cennych wskazówek, czy atrybutów, które mogłem po nim odziedziczyć, czegoś w rodzaju instynktu samozachowawczego, umiejętności przetrwania, które ocaliły go przed zgubą i mogłyby uratować także mnie.

Próba ucieczki na bagna lub do oceanu byłaby jak wskoczenie do jaskini lwów, aby uciec przed lwem czającym się u wejścia do pieczary. W morzu i na moczarach z pewnością roiło się od tych wielkich, mięsożernych ziemnowodnych stworzeń, a jeśli nawet nie, to monstrum z pewnością puściłoby się za mną w pościg, tak do morza, jak i na moczary.

Nie pozostało mi nic innego jak tylko stać w miejscu i czekać na nieuchronny koniec. Pomyślałem o Perrym, o tym jak będzie się zastanawiał, co się ze mną stało. Pomyślałem o moich przyjaciółach

w świecie zewnętrznym, i o tym jak będą wieść dalszy żywot, nie mając pojęcia jak straszny i niezwykły los mnie spotkał, ani nie domyślając się nawet w jak dziwnym miejscu i okolicznościach przyszło mi rozstać się z życiem. Wraz z tymi myślami naszała mnie refleksja jak nieistotne dla życia i szczęśliwości świata jest istnienie każdego z nas. Możemy zgasnąć jak wąty płomyk świecy, nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia i przez krótki dzień przyjaciele będą mówić o nas, zniżając głos do szeptu. Jednak już następnego ranka, gdy pierwszy robak zacznie testować konstrukcję naszej trumny, przyjaciele będą na polu golfowym przejmować się bardziej źle wybitą piłką, niż naszym przedwczesnym zejściem z tego padołu łez.

Labiryntodon zbliżał się teraz wolniej. Chyba zorientował się, że nie mogę uciec i mógłbym przysiąc, że jego wielkie, najeżone długimi zębiskami szczęki wykrzywiły się w uśmiechu mającym oznaczać rozkoszne wyczekiwanie na mój rychły koniec – a może po prostu nie mógł się już doczekać, kiedy ten smakowity kąsek znajdzie się w jego paszczy, aby mógł go łapczywie przeżuć i połknąć?

Znajdował się o jakieś pięćdziesiąt stóp ode mnie, gdy usłyszałem głos nawołujący mnie od strony urwiska po lewej. Spojrzałem w tę stronę i nieomal zakrzyknąłem z radości na widok Ja, który machał do mnie energicznie, ponaglając, abym zaczął biec w stronę podnóża klifu. Nie wiedziałem czy zdołam uciec potworowi, który upatrzył mnie sobie na śniadanie, ale przynajmniej nie umrę samotnie. Mój koniec będą oglądać oczy innego człowieka. Może to gorzka pociecha, ale pozwoliła mi ona osiągnąć, przynajmniej do pewnego stopnia, spokój umysłu, którego tak potrzebowałem.

Ucieczka wydawała się nedorzeczna, zwłaszcza ucieczka w kierunku stromego klifu, na który nie miałbym szans się wspiąć, a jednak zrobiłem to, i kiedy zacząłem biec, zobaczyłem Ja, który zwinnie jak mała języczka pełznąca w dół, po stromej ścianie urwiska, przytrzymując się niewielkich

występów skalnych i mocnych pędów, które zapuściły korzenie na tym surowym, niegościnnym podłożu.

Labiryntodon najwyraźniej uznał, że Ja nadchodzi, by podwoić porcję ludzkiego mięsa, na które stwór już ostrzył sobie zęby, nie spieszył się więc, by mnie dogonić zanim dotrę do urwiska. Zapewne nie chciał spłoszyć drugiego smakowitego kąska. Miast tego, stwór po prostu truchtał w ślad za mną.

Kiedy zbliżyłem się do podnóża klifu, zobaczyłem co zamierzał uczynić Ja, wątpiłem jednak, aby jego plan okazał się skuteczny. Zszedł na wysokość mniej więcej dwudziestu stóp nad poziom gruntu i zawisając tam, przytrzymując się jedną ręką niewielkiej, kamiennej półki, stopy zaś opierając niepewnie na niewielkich krzewach wyrastających z litej skały, opuścił swoją długą włócznię tak, że jej grot zawisł jakieś sześć stóp nad ziemią.

Wspięcie się po tym wąskim drzewcu tak, by nie ściągnąć Ja ze skały i nie przypieczętować w ten sposób losu nas obu, gdy czerwonoskóry najwyraźniej próbował mnie ocalić, wydawało się niemożliwością, i gdy zbliżyłem się do włóczni powiedziałem o tym Ja, tłumacząc że nie mogłem zaryzykować i narazić go na niebezpieczeństwo, próbując ocalić siebie.

On jednak uparł się, zapewniając że wie co robi i że nic mu nie grozi.

– To tobie wciąż grozi niebezpieczeństwo – zawołał – bo o ile nie przyspieszysz, sithic cię dopadnie i pożre, zanim zdołasz pokonać połowę długości włóczni – potrafi stanąć na tylnych łapach i może cię z łatwością dosięgnąć, aż do wysokości, na której się znajduję.

Cóż, zapewne Ja wie co mówi, pomyślałem i pochwywszy włócznię, zacząłem wspinać się po drzewcu w stronę czerwonoskórego tak szybko jak potrafiłem, choć nie miałem już tych umiejętności, co moi małpi przodkowie. Wyobraziłem sobie, że dość tępawy sithic, jak go nazwał Ja, musiał nagle zorientować się w naszych zamiarach i zrozumiał, że

najprawdopodobniej straci cały posiłek, zamiast zdobyć dokładkę, na którą liczył.

Kiedy zobaczył jak wspinał się po drzewcu włóczni, stwór wydał z siebie syk, od którego aż zatrząsała się ziemia i zaszarżował na mnie z zatrważającą prędkością. Do tego czasu zdołałem pokonać prawie całą długość drzewca włóczni, zaledwie sześć cali dzieliło mnie od pochwycenia Ja za rękę, i właśnie w tej chwili poczułem silne szarpnięcie. Kiedy spojrzałem w dół, zaniepokojony, zobaczyłem potężne szczęki potwora zaciskające się na grocie włóczni.

Rozpaczliwie wyciągałem rękę, by dosięgnąć dłoni Ja, i wtedy sithic szarpnął mocno, nieomal strącając Ja z kamiennej ściany urwiska, włócznia wyslizgnęła mu się z ręki, a ja wciąż wczepiony w drzewce broni runąłem stopami w dół, na spotkanie mojego kata.

Kiedy potwór poczuł, że włócznia wysunęła się z dłoni Ja, musiał rozdziawić paszczę, by pochwycić mnie w swe potężne szczęki, bo gdy spadłem, wciąż przytrzymując się drzewca broni, grot włóczni nadal tkwił w pysku monstrum i w rezultacie krzemienne ostrze przebiło dolną szczękę ziemnowodnego stworzenia.

Labiryntodon ryknął z bólu i jednym kłapnięciem szczęk zamknął paszczę. Spadłem na długi pysk gada, straciłem uchwyt na drzewcu włóczni i przeturlałem się po łbie potwora i jego krótkiej szyi, by spaść na jego szeroki grzbiet, a stamtąd na ziemię.

Ledwie dotknąłem gruntu, gdy znów zerwałem się na nogi, gnając co sił w stronę ścieżki, którą wszedłem do tej strasznej doliny. Obejrzawszy się przez ramię stwierdziłem, że sithic próbował rozpaczliwie uwolnić się od włóczni, która przebiła na wylot jego dolną żuchwę i był tym zajęty do tego stopnia, że bez trudu udało mi się dotrzeć bezpiecznie na szczyt klifu, zanim monstrum było gotowe ponownie ruszyć za mną w pościg.

Gdy nie odnalazł mnie w zasięgu wzroku wewnątrz doliny, labiryntodon z głośnym sykiem powrócił w gąszcz bujnej roślinności



porastającej cuchnące, podmokłe bagniska i wtedy właśnie widziałem go po raz ostatni.

## ZNOWU W PHUTRZE

Pospiesznie dotarłem na krawędź klifu nad miejscem, gdzie znajdował się Ja i pomogłem mu znaleźć lepsze i pewniejsze oparcie dla dłoni i stóp na powierzchni skalnej ściany. Gdy już wspiął się na górę, nie chciał słuchać żadnych podziękowań z mojej strony za próbę uratowania mi życia, która to próba omal nie skończyła się dla niego fatalnie.

– Myślałem, że już po tobie, gdy spadłeś do świątyni Mahar – powiedział – bo nawet ja nie byłbym w stanie wyrwać się z ich szponów i możesz sobie wyobrazić, jakie było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem czółno wyciągnięte na brzeg, a obok łodzi na piasku napotkałem ślady twoich stóp. Natychmiast zacząłem cię szukać, bo wiedziałem że jesteś nieuzbrojony i bezbronny w obliczu licznych zagrożeń, od których roi się na stałym lądzie, czy to w postaci dzikich stworzeń, gadów, czy ludzi. Bez większego trudu dotarłem po twoich śladach aż tutaj. Dobrze, że zjawilem się w porę.

– Ale czemu to zrobiłeś? – spytałem, zaskoczony tymi przejawami przyjaźni ze strony mężczyzny z innego świata, innego koloru skóry i innej rasy.

– Uratowałeś mi życie – odparł. – Od tej chwili moim obowiązkiem było chronić cię i być twoim przyjacielem. Nie byłbym prawdziwym Mezopem, gdybym próbował wymigać się od swoich zobowiązań. Zresztą jest to dla mnie prawdziwa przyjemność, bo szczerze cię polubiłem. Chciałbym abyś poszedł ze mną i zamieszkał wśród nas. Stałbyś się członkiem mojego plemienia. Są wśród nas najlepsi myśliwi i rybacy,

będziesz mógł również wybrać sobie towarzyszkę spośród najpiękniejszych kobiet w Pellucidarze. Pójdiesz?

Wówczas opowiedziałem mu o Perrym i Dian Pięknej, oraz o tym jakie miałem względem nich zobowiązania. Obiecałem jednocześnie, że później wrócę i odwiedzę go, o ile tylko zdołam odnaleźć jego wyspę.

– Och, to proste, przyjacielu – powiedział. – Musisz jedynie dotrzeć do podnóża najwyższego szczytu Chmurnych Wierchów. Znajdziesz tam rzekę, która wpływa do Lural Az. Dokładnie naprzeciwko ujścia rzeki ujrzysz trzy odległe, duże wyspy, leżące tak daleko, że ledwie są widoczne, i gdy skierujesz wzrok w ich stronę, od ujścia rzeki, pierwsza z wysp po lewej to Anorok, tam właśnie władam plemieniem Anorok.

– Ale jak mam znaleźć Chmurne Wierchy? – zapytałem.

– Ludzie powiadają, że są widoczne z połowy Pellucidaru – odparł.

– Jak duży jest Pellucidar? – spytałem, zastanawiając się jaką teorię ci prymitywni ludzie mogli mieć na temat wielkości i ukształtowania ich świata.

– Mahary mówią, że jest okrągły, jak wewnątrz muszli tola – odparł – ale to jakiś absurd, gdyby bowiem było to prawdą, powinniśmy spadać, jeżeli zapuścimy się zbyt daleko w którąkolwiek ze stron, a wody Pellucidaru powinny runąć na nas w jednym punkcie i zatopić. Nie, Pellucidar jest płaski i rozciąga się we wszystkie strony, nikt nie wie jednak, jak daleko. Na obrzeżach, jak donosili moi przodkowie i wiedza ta została także przekazana mnie, wznosi się wielki mur, dzięki któremu wody i ziemia nie wypadają poza krawędź, w otchłań gorejącego morza, nad którym wznosi się Pellucidar. Ja sam jednak nigdy nie oddaliłem się od Anorok na tyle, by ujrzeć ten mur na własne oczy. Nie mam wszelako podstaw, by wątpić w te opowieści, w przeciwieństwie do z gruntu fałszywych i absurdalnych wierzeń Mahar. Według nich, Pellucidarczycy, którzy żyją po przeciwnej stronie, zawsze chodzą głowami do dołu! - Na tę myśl Ja wybuchnął gromkim śmiechem.

Nie ulegało wątpliwości, że ludzie zamieszkujący ten wewnętrzny świat nie byli zbyt wykształceni, a świadomość, że paskudne Mahary przewyższały ich pod względem wiedzy nie była ani trochę pocieszająca, wręcz przeciwnie, przepełniła mnie głębokim smutkiem. Zastanawiałem się, ilu stuleci potrzeba, by wyrwać tych ludzi z okowów niewiedzy, nawet gdybyśmy mieli podjąć się tego zadania tylko we dwóch, ja i Perry. Możliwe, że przypłacilibyśmy nasz trud życiem, jak ci śmiałkowie w świecie zewnętrznym, którzy odważyli się rzucić wyzwanie zabobonom oraz niewiedzy w minionych epokach. Gdyby jednak nadarzyła się okazja, warto było podjąć ten wysiłek.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że właśnie się nadarzyła – i mogę zacząć od Ja, który był moim przyjacielem, i któremu, jako pierwszemu Pellucidarczykowi mogłem przekazać choć cząstkę mojej wiedzy.

– Ja – powiedziałem – co ty na to, gdybym stwierdził, że teoria Mahar dotycząca kształtu Pellucidaru jest mimo wszystko prawdziwa?

– Powiedziałbym – on mi na to – że albo jesteś głupcem, albo masz mnie za durnia.

– Ale, Ja – powiedziałem z naciskiem – gdyby ich teoria nie była słuszna, jak wytłumaczysz fakt, że udało mi się przebić do Pellucidaru z powłoki zewnętrznej? Gdyby to twoja teoria była tą właściwą, pod nami nie byłoby nic, prócz morza płomieni, w którym nie mogą żyć ludzie, a jednak ja przybyłem z wielkiego świata, gdzie żyją istoty ludzkie, zwierzęta, ptaki i ryby pływające w ogromnych oceanach.

– Żyjecie pod Pellucidarem i zawsze chodzicie głową do dołu? – parsknął drwiąco. – Gdybym w to uwierzył, przyjacielu, musiałbym być kompletnie szalony.

Próbowałem mu wyjaśnić zjawisko siły ciężkości, a na przykładzie spadającego owocu wytłumaczyć, że jest niemożliwością, aby niezależnie od okoliczności jakikolwiek obiekt odpadł od ziemi. Słuchał z taką uwagą, że pomyślałem, iż udało mi się zrobić na nim wrażenie, kontynuowałem

więc swój wywód, w nadziei, że choć częściowo zdołam ukazać mu prawdę. Pomyliłem się jednak.

– To co pokazałeś – rzekł w końcu – dowodzi fałszywości twojej teorii.  
– Upuścił trzymany w ręku owoc tak, że spadł na ziemię. – Widzisz – powiedział – bez podparcia nawet ten mały owoc spada dopóki nie uderzy w coś co go zatrzyma. Gdyby Pellucidar nie był podtrzymywany nad gorejącym morzem, on też runąłby w dół, tak jak ten owoc – sam to udowodniłeś!

Tu mnie miał, tym razem zdołał mnie zagiąć, widziałem to w jego oczach.

Sprawa wydawała się beznadziejna i w końcu dałem sobie spokój, przynajmniej na pewien czas. Kiedy bowiem zacząłem zastanawiać się nad koniecznością wyjaśnienia jak wygląda i jak funkcjonuje nasz układ słoneczny i wszechświat, zdałem sobie sprawę, jak daremną okazałaby się próba zobrazowania Ja czy jakimkolwiek innemu Pellucidarczykowi słońca, księżyca, planet i niezliczonych gwiazd. Ci, co urodzili się w wewnętrznym świecie, nie byli w stanie pojąć tego typu rzeczy, podobnie jak my, zamieszkujący na skorupie zewnętrznej nie potrafimy naszymi ograniczonymi umysłami zrozumieć pojęć takich jak przestrzeń czy wieczność.

– Cóż, Ja – zaśmiałem się – czy chodzimy do góry nogami czy nie, jesteśmy teraz tutaj i obecnie najważniejsze nie jest to, skąd przybywamy, lecz dokąd się udajemy. Ze swej strony chciałbym, abyś wskazał mi drogę do Phutry, gdzie mógłbym oddać się ponownie w ręce Mahar. Opracowałem bowiem wraz z przyjaciółmi plan ucieczki, który zamierzaliśmy zrealizować, kiedy zjawili się Sagothowie i zabrali nas na arenę abyśmy byli świadkami kary wymierzonej schwytanym niewolnikom, którzy zabili strażnika. Żałuję teraz, że w ogóle wtedy uciekłem, bo przecież gdybym z tym zaczekał, moglibyśmy zbiec wszyscy razem, podczas gdy ta zwłoka może pokrzyżować nam plany. Powodzenie

naszego przedsięwzięcia zależy bowiem od tego, czy trzy Mahary śpiące w podziemiach budynku, do którego mnie przydzielono, wciąż jeszcze się nie obudziły.

– Zamierzasz wrócić do niewoli? – zawołał Ja.

– Są tam moi przyjaciele – odparłem – jedyni jakich mam w całym Pellucidarze, poza tobą. Co innego mógłbym uczynić w tych okolicznościach?

Zamyślił się przez chwilę. A potem ze smutkiem pokręcił głową.

– Coś takiego mógłby uczynić jedynie dzielny człek i dobry przyjaciel – odparł. – Jednak jest to wyjątkowo nierozsądne, bo za ucieczkę Mahary niechybnie skazą cię na śmierć i swym powrotem niczego nie zyskasz dla przyjaciół. Nigdy jeszcze nie słyszałem, aby więzień z własnej woli chciał wrócić do Mahar. Niewielu było takich, którzy im uciekli, ale paru się to udało i woleliby raczej umrzeć niż gdyby ponownie mieli zostać schwytani.

– Nie widzę innego sposobu, Ja – powiedziałem – choć mogę cię zapewnić, że za Perrym wolałbym raczej pójść do Szeolu niż do Phutry. Tyle tylko, że Perry jest zbyt pobożny, aby taka ewentualność w ogóle wchodziła w grę i jest raczej wykluczone, abym musiał wydostawać go z Szeolu.

Ja zapytał mnie czym jest Szeol, a gdy mu to wyjaśniłem, najlepiej jak umiałem, stwierdził:

– Mówisz o Molop Az, gorejącym morzu, nad którym unosi się Pellucidar. Trafiają tam wszyscy zmarli, którzy zostają pogrzebani w ziemi. Kawalek po kawałku są zanoszeni do Molop Az przez małe demony, które tam zamieszkują. Wiemy to, bo kiedy otwierane są groby okazuje się, że ciała są częściowo albo nawet całkowicie pożarte. To dlatego my z Anorok umieszczamy naszych zmarłych wysoko na drzewach, gdzie mogą je znaleźć ptaki i zanieść kawałek po kawałku do Świata Zmarłych ponad

Krainą Straszliwego Cienia. Jeśli zabijemy wroga, składamy jego ciało w ziemi, aby mógł trafić do Molop Az.

Tak właśnie rozmawialiśmy, wędrując przez wąwóz, którym dotarłem do wielkiego oceanu i gdzie walczyłem z sithikiem. Ja starałem się jak mogłem odwieść mnie od decyzji o powrocie do Phutry, kiedy jednak zdał sobie sprawę, że już jej nie zmienię, zgodził się doprowadzić mnie do miejsca, skąd mogłbym zobaczyć równinę, na której leżało miasto. Ku memu zdziwieniu okazało się, że odległość od plaży, na której ponownie spotkałem Ja, była niewielka. Najwyraźniej musiałem spędzić sporo czasu, wędrując przez meandry krętego wąwozu, podczas gdy tuż za granicą leżała Phutra, do którego to miasta musiałem podczas swego długiego marszu zbliżyć się kilkakrotnie.

Kiedy pokonaliśmy grań i ujrzeliśmy granitowe wieżycy wznoszące się nad ukwieconą równiną rozciągającą się u naszych stóp, Ja po raz ostatni próbował jeszcze przekonać mnie, bym zrezygnował z mego szalonego planu i wrócił do Anorok wraz z nim, ja jednak okazałem się stanowczy i nieprzejednany w swym postanowieniu, i koniec końców Ja pożegnał się ze mną, niewątpliwie przekonany, że oto widzimy się po raz ostatni.

Smutno mi było rozstawać się z Ja, bo naprawdę bardzo go polubiłem. Z jego ukrytym miastem na wyspie Anorok, jako bazą, i gromadą dzikich wojowników w ramach eskorty, Perry i ja moglibyśmy wiele zdziałać, jeżeli chodziło o eksplorację tego świata i miałem nadzieję, że nasza ucieczka się powiedzie, a co za tym idzie, będziemy mogli wrócić później do Anorok.

Najpierw jednak chciałem uporać się z rzeczą dla mnie najważniejszą – odnalezieniem Dian Pięknej. Pragnąłem zrekompensować afront, jaki uczyniłem jej przez mą niewiedzę, chciałem też, no dobrze, chciałem znów ją zobaczyć i być z nią.

Zszedłem po stoku na łąkę usianą barwnym kwieciami, a stamtąd ruszyłem w stronę nierzucających cieni kolumn, strzegących wejść

do podziemnego miasta Phutry. O ćwierć mili od najbliższego wejścia zostałem wypatrzony przez sagocką straż i natychmiast cztery stwory przypominające goryle rzuciły się w moją stronę.

Choć wymachiwały długimi włóczniami i wrzeszczały jak dzicy Komancze, nie zwracałem na nie większej uwagi, po prostu szedłem w ich stronę, jakbym w ogóle nie dostrzegał ich obecności. Moje zachowanie zaskoczyło Sagothów, tak jak na to liczyłem, bo kiedy się do mnie zbliżyli, przestali dziko wrzeszczeć. Nie ulegało wątpliwości, że spodziewali się, iż na ich widok odwrócę się i rzucę do ucieczki, stając się tym co uwielbiali najbardziej, ruchomym celem dla swoich włóczni.

– Co tu robisz? – zawołał jeden z nich, a potem mnie rozpoznał. – Ha! To ten niewolnik, co twierdzi, że pochodzi z innego świata – ten, który uciekł, kiedy thag zaczął siać spustoszenie w amfiteatrze. Czemu jednak wróciłeś, skoro już udało ci się uciec?

– Nie „uciekłem” – odparłem. – Oddaliłem się tylko, aby nie zostać stratowanym przez thaga tak jak inni, a gdy znalazłem się w długim korytarzu, pogubiłem się i zabłądziłem u podnóża wzgórz, pod Phutrą. Dopiero teraz odnalazłem drogę powrotną.

– I z własnej woli wróciłeś do Phutry! – zakrzyknął jeden ze strażników.

– A dokąd miałbym pójść? – spytałem. – Jestem tu obcy i nie znam w Pellucidarze innych miejsc poza Phutrą. Czemu nie miałbym chcieć tu wrócić? Czyż nie jestem szczęśliwy? Czegóż więcej mógłby pragnąć człowiek?

Sagothowie podrapali się po głowach. To było dla nich czymś nowym i w tej sytuacji tępi strażnicy zaprowadzili mnie do swych panów, którzy lepiej niż oni powinni poradzić sobie z rozwiązaniem zagadki mego powrotu, wciąż bowiem moje zachowanie pozostawało dla nich zagadką.

Przemówiłem do Sagothów, bo nie chciałem, by zorientowali się, że planuję ucieczkę. Gdybym zdołał przekonać ich, że dobrze mi w Phutrze, i że wróciłem z własnej woli, mimo iż miałem dogodną szansę



na odzyskanie wolności, na pewno nie podejrzewaliby nawet, że szykuję kolejną ucieczkę, i to zaraz po moim powrocie do miasta.

Poprowadzono mnie przed oblicze oślizgłej Mahary, która przycupnęła na szczycie omszałego głazu, wewnątrz dużej izby pełniącej funkcję biura tej istoty. Zimnymi, gadzimi ślepiami stworzenie zdawało się przenikać mnie na wskroś, próbując przeniknąć przez powłokę kłamstwa i odkryć me najskrytsze myśli. Istota, podczas gdy Sagothowie relacjonowali jej historię o moim powrocie do Phutry, uważnie przyglądała się ustom stworzenia przypominającego goryla oraz jego palcom. A potem zaczęła mnie przesłuchiwać, za pośrednictwem jednego z Sagothów.

– Mówiłeś, że wróciłeś do Phutry z własnej woli, bo uznałeś, że tu będzie ci lepiej niż gdziekolwiek indziej, czy nie zdajesz sobie sprawy, że możesz być następnym wybrańcem, który ma oddać życie dla szczytnej sprawy rozwoju naszych cudownych badań naukowych, którymi zajmują się obecnie nasi uczeni?

O niczym takim nie słyszałem, choć wolałem otwarcie się do tego nie przyznawać.

– Nie może mi tu grozić większe niebezpieczeństwo – odparłem – niż gdybym znalazł się nagi i bezbronny w dzikiej dżungli na samotnych równinach Pellucidaru. Chyba powinienem uważać się za szczęśliwca, że w ogóle zdołałem wrócić do Phutry. Z ledwością udało mi się uniknąć śmierci w paszczy olbrzymiego sithica. Nie, pewnośc mam, że bezpieczniejszy będę w rękach inteligentnych istot, takich jak te, które rządzą Phutrą. Tak w każdym razie byłoby w moim świecie, gdzie władzę sprawują istoty ludzkie, takie jak ja. Ludzie otaczają opieką i oferują gościnę wszystkim, którzy zapukają do ich domów, a ja, jako przybysz z daleka, liczę, że z waszej strony mogę liczyć na równie życzliwe potraktowanie.

Mahara przyglądała mi się w milczeniu, jeszcze przez jakiś czas po tym, jak przestałem mówić, Sagoth zaś przetłumaczył moje słowa swej pani.

Istota pogрузыła się w gębkim zamyśleniu. Wreszcie przekazała coś Sagothowi. Ten odwrócił się i dał mi znak abym poszedł za nim, opuszczając gabinet gada. Z tyłu i po obu stronach miałem eskortę uzbrojonych strażników.

– Co ze mną będzie? – spytałem tego, który szedł po mojej prawej.

– Staniesz przed uczonymi, którzy zadadzą ci wiele pytań dotyczących tego dziwnego świata, z którego rzekomo pochodzisz.

Po chwili milczenia znów się do mnie odwrócił.

– Czy wiesz – zapytał – co spotyka niewolników, którzy próbują okłamywać Mahary?

– Nie – odparłem – ale to mnie nie interesuje, bo nie zamierzam okłamywać Mahar.

– Wobec tego uważaj, byś nie powtórzył tej nieprawdopodobnej historii, którą właśnie opowiedziałeś Sol-to-to, o innym świecie, którym mają władać ludzie – to ci dopiero!

– Ale to prawda – powiedziałem z naciskiem. – Bo skąd niby mógłbym przybyć? Nie pochodzę z Pellucidaru. Nawet ślepiec by to zauważył.

– Wobec tego masz pecha – zauważył oschle strażnik – że nie będą cię sądzić ślepcy.

– Co ze mną zrobią – spytałem – jeśli mi nie uwierzą?

– Mogą cię skazać na wysłanie na arenę albo do podziemi, gdzie posłużysz jako obiekt do badań dla naszych uczonych – odparł.

– A co tam ze mną zrobią? – drążyłem temat.

– Nikt tego nie wie, za wyjątkiem Mahar i tych, którzy trafiają z nimi do podziemi, ale ci ostatni nigdy już nie wracają, więc ta wiedza nie na wiele im się przydaje. Powiadają, że uczeni kroją obiekty do badań, gdy te są jeszcze żywe i w ten sposób dowiadują się wielu użytecznych rzeczy. Nie podejrzewam jednak, aby okazały się one użyteczne dla tego, który jest krojony. Naturalnie to wszystko to tylko czyste przypuszczenia. Szanse są jednak spore, że już wkrótce będziesz wiedział o tym znacznie więcej niż

ja – i mówiąc to, uśmiechnął się. Sagothowie mają dobrze rozwinięte poczucie humoru.

– A jeśli trafię na arenę, to co wtedy? – spytałem.

– Widziałeś tych dwoje, którzy zanim uciekłeś zmierzyli się z taragiem i thagiem? – zapytał.

– Tak.

– Twój los na arenie będzie podobny do tego co zostało zaplanowane dla nich – wyjaśnił. – Choć oczywiście jest wykluczone, aby w grę wchodziły te same zwierzęta.

– I w obu przypadkach koniec jest jeden – śmierć? – spytałem.

– Nie wiem co spotyka tych, którzy trafiają do podziemi, wraz z uczonymi – odparł – ale ci co zostają zesłani na arenę mogą ujść stamtąd z życiem, a co za tym idzie, odzyskać wolność tak jak tych dwoje, których miałeś okazję widzieć.

– Odzyskali wolność? Jak to?

– Zwyczajem Mahar jest obdarowywanie wolnością tych, którzy pozostaną przy życiu na arenie, kiedy już bestie ją opuszczą albo zostaną zabite. Tak się stało w przypadku kilku potężnych wojowników z odległych krain, których pojмалиśmy w trakcie naszych wypraw w celu zdobycia niewolników. Oni również zmierzyli się z bestiami, które na nich wypuszczono i zabili je, a tym samym wywalczyli sobie wolność. W tym przypadku, który miałeś okazję oglądać, zwierzęta pozabijały się nawzajem, ale rezultat był taki sam, mężczyznę i kobietę obdarzono wolnością, dano im broń i pozwolono wyruszyć w drogę powrotną do domu. Na lewym ramieniu każdego z nich wypalono znak, piętno Mahar, które na zawsze będzie chronić tych dwoje przed łowcami niewolników.

– Czyli mam jakąś szansę, choćby i nikłą, jeżeli zostanę zesłany na arenę, ale żadnej, jeśli uczeni zabiorą mnie do podziemi?

– W rzeczy samej – odparł – nie ciesz się jednak za szybko, jeżeli zostaniesz zesłany na arenę, bo zaledwie jeden więzień na tysiąc uchodzi stamtąd z życiem.

Jakież było moje zdziwienie, gdy zaprowadzono mnie do tego samego budynku, w którym byłem uwięziony wraz z Perrym i Ghakiem przed moją ucieczką.

– Zapewne wkrótce zostanie wezwany przed oblicze śledczych – powiedział ten, który mnie przyprowadził. – Niech więc będzie na to przygotowany.

Strażnicy, którym mnie przekazano, dowiedziawszy się, że z własnej woli wróciłem do Phutry uznali najwyraźniej, że najlepiej będzie dać mi taką samą swobodę, jaką cieszyłem się przed moją ucieczką i polecono, abym powrócił do obowiązków, które wykonywałem dotychczas.

Przede wszystkim musiałem odnaleźć Perry’ego – i zastałem go, jak zwykle przeglądającego wielkie tomiszczą, które miał jedynie odkurzać i ustawiać na nowych półkach.

Gdy wszedłem do sali, uniósł wzrok i skinął głową na powitanie, po czym wrócił do pracy, jakby w ogóle mnie tam nie było. Byłem zaskoczony i urażony jego obojętnością. Pomyśleć tylko, że ryzykowałem życiem, by wrócić tutaj, kierowany poczuciem obowiązku i przyjacielską życzliwością!

– Ależ, Perry! – zawołałem. – Czy po tak długiej nieobecności nie zasłużyłem choćby na kilka słów z twojej strony?

– Długiej nieobecności? – powtórzył z wyraźnym zdumieniem. - Co masz przez to na myśli?

– Oszalałeś, Perry? Chcesz powiedzieć, że nie stęskniłeś się za mną od tamtej pory, gdy zostaliśmy rozdzieleni podczas ataku szarżującego thaga na arenie?

– Od tamtej pory – powtórzył. – Ależ, drogi chłopcze, przecież ja dopiero co wróciłem z areny! Dotarłeś tu niemal równie szybko jak ja.

Gdyby dłużej cię nie było faktycznie zacząłbym się niepokoić, i właśnie miałem spytać cię, jak udało ci się uciec przed tą bestią, kiedy tylko skończę tłumaczenie nader ciekawego fragmentu tekstu.

– Perry, tyś chyba oszalał! – wykrzyknąłem. – Bóg raczy wiedzieć jak długo mnie nie było. Podróżowałem do innych krain, odkryłem w Pellucidarze nową rasę istot ludzkich, widziałem ceremonię odprawianą przez Mahary w ich sekretnej świątyni i ledwie uszedłem z życiem, zarówno jeśli chodzi o nie, jak i o wielkiego labiryntodona, którego spotkałem o wiele później, w trakcie mej wędrówki przez ten nieznany świat. Nie było mnie z pewnością wiele miesięcy Perry, a ty, po moim powrocie ledwie unosisz wzrok znad wykonywanej pracy i mówisz, że rozstaliśmy się nie dalej jak przed chwilą. Czy tak się traktuje przyjaciela? Zdziwiasz mnie, Perry, i gdybym wiedział jaka będzie twoja reakcja, pewnie w ogóle nie zaryzykowałbym powrotu tutaj, narażając się dla ciebie na śmierć z rąk Mahar.

Staruszek przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, zanim znów się odezwał. Jego pomarszczone oblicze przepełniał wyraz zakłopotania, a w oczach pojawiły się smutek i ból.

– Dawidzie, mój chłopcze – powiedział – jak mogłeś choćby przez chwilę zwątpić w moje uczucia względem ciebie? Jest tu coś dziwnego, czego nie potrafię zrozumieć. Wiem, że nie oszalałem, ale z drugiej strony jestem równie pewien, że i ty nie postradałeś zmysłów, jak wszelako mam wytłumaczyć te dziwne halucynacje, które miewamy obaj, jeżeli chodzi o to, ile czasu minęło od chwili naszego rozstania i co się od tamtej pory wydarzyło. Ty jesteś przekonany, że upłynęły całe miesiące, ja zaś gotów byłbym przysiąc, iż nie minęła więcej niż godzina, odkąd siedziałem obok ciebie w amfiteatrze. Czy to możliwe abyśmy obaj mieli rację i zarazem byśmy obaj się mylili? Powiedz mi najpierw, jaki mamy czas, a wówczas może uda mi się rozwikłać nasz problem. Rozumiesz, do czego zmierzam?

Nie rozumiałem i powiedziałem mu to.

– Tak – ciągnął staruszek – obaj mamy rację. Dla mnie, pochylonego nad książką, nie było upływu czasu jako takiego. Nie robiłem wiele albo prawie nic, by wytracić energię, a co za tym idzie, nie potrzebowałem snu ani jedzenia, ty natomiast, na odwrót, wędrowałeś, walczyłeś, traciłeś siły, które musiałeś następnie odzyskać dzięki pożywieniu i odpoczynkowi, tak więc jadłeś i spałeś wielokrotnie odkąd się ostatnio widzieliśmy i na tej podstawie odmierzałeś w głowie upływ czasu. Prawdę mówiąc, Dawidzie, coraz bardziej skłaniam się ku przekonaniu, że nie ma czegoś takiego jak czas – albo raczej, że nie istnieje on tu, w Pellucidarze, gdzie nie istnieją metody na odmierzanie ani zapisywanie upływu czasu. Mahary w ogóle, na ten przykład, nie znają pojęcia czasu. We wszystkich ich dziełach literackich napotykam tylko i wyłącznie czas teraźniejszy. Nie ma dla nich czegoś takiego jak przeszłość czy przyszłość. Oczywiście dla nas, mieszkańców świata zewnętrznego, coś takiego jest wręcz niepojęte, jednak nasze ostatnie doświadczenia zdają się potwierdzać tę teorię.

To był dla mnie zbyt poważny i za trudny temat, o czym nie omieszkalem wspomnieć, jednak Perry wciąż z lubością snuł dalsze spekulacje w tej kwestii i gdy wysłuchał relacji o moich przygodach, z miejsca powrócił do swego wywodu, który rozwijał z niezwykłą wręcz płynnością, jednak długi i potoczysty monolog uczonego wnet został przerwany przez pojawienie się Sagotha.

– Chodź! – rozkazał intruz, wskazując na mnie. – Śledczy chcą z tobą mówić.

– Bywaj, Perry! – powiedziałem, ujmując dłoń staruszka. – Możliwe, że nie istnieje nic prócz teraźniejszości, i że czas jako taki nie istnieje, czuję jednak, że wyruszam w mą ostatnią podróż, z której już nie powrócę. Jeżeli tobie i Ghakowi uda się uciec, obiecaj mi, że odnajdziesz Dian Piękną i przekaż jej, że w swych ostatnich słowach prosiłem ją o wybaczenie afrontu jaki jej uczyniłem, i że moim ostatnim życzeniem było pozostać przy życiu na tyle długo, abym mógł naprawić wyrządzoną jej krzywdę.

Łzy napłynęły Perry'emu do oczu.

– Nie wierzę, że mógłbyś już nie powrócić, Dawidzie – powiedział. – Przepętnia mnie trwoga na samą myśl, że mógłbym być zmuszony wieść dalszy żywot bez ciebie, pośród tych nienawistnych i odrażających stworzeń. Jeżeli cię zabiorą i odejdiesz na zawsze, nie zamierzam stąd uciekać, bo tu, w tym pogrzebanym świecie będzie mi równie dobrze jak gdziekolwiek indziej. Bywaj, mój chłopcze, bywaj!

Staruszkowi głos nagle zaczął się łamać i uczony ukrył nagle twarz w dłoniach, ale ja już tego nie zobaczyłem, bo sagocki strażnik pochwycił mnie brutalnie za ramię i bezceremonialnie wyprowadził z pomieszczenia.

## CZTERY MARTWE MAHARY

W chwilę potem stanąłem przed obliczem tuzina Mahar, społecznych śledczych Phutry. Zadawali mi wiele pytań, za pośrednictwem sagockiego tłumacza. Na każde z nich odpowiadałem szczerze i zgodnie z prawdą. Wydawali się szczególnie zainteresowani moim życiem w świecie zewnętrznym i dziwnym wehikułem, który przywiódł mnie i Perry'ego do Pellucidaru. Wydawało mi się, że ich przekonałem i gdy po zakończonym przesłuchaniu śledczy długo milczeli, spodziewałem się, że zostaną odesłani do mej kwatery.

W tej ciszy Mahary zapewne debatowały między sobą w dziwnym, pozbawionym słów języku, rozważając prawdziwość mojej opowieści. Wreszcie przewodniczący trybunału ogłosił wyniki swoich obrad dowódcy sagockiej straży.

– Chodź – zwrócił się do mnie – zostałeś skazany na zesłanie do podziemi, gdzie prowadzone są eksperymenty, bo miałeś czelność obrazić inteligencję wielkich swą absurdalną historią, którą w swej niebywałej zuchwałości im przedstawiłeś.

– Chcesz powiedzieć, że mi nie uwierzyli? – spytałem, kompletnie zaskoczony.

– Mieliby ci uwierzyć! – zaśmiał się. – Próbujesz mi wmówić, że spodziewałeś się, iż ktokolwiek jest w stanie uwierzyć w to wierutne kłamstwo?

Sprawa była beznadziejna, toteż ruszyłem w milczeniu obok mego strażnika przez ciemne korytarze i tunele, ku czekającej mnie, przerażającej zgubie. Na dolnym poziomie napotkaliśmy wiele oświetlonych izb,



w których zobaczyliśmy Mahary wykonujące rozmaite czynności. Do jednej z tych izb wprowadzili mnie strażnicy i nim odeszli, przykuli mnie łańcuchem do bocznej ściany. Byli tam także inni ludzie, podobnie jak ja zakuci w kajdany. Na długim stole leżała ofiara i spoczywała tam, kiedy wprowadzono mnie do pomieszczenia. Kilka Mahar stało nad nieszczęśnikiem, przytrzymując go, aby nie mógł się ruszyć. Inny, trzymając ostry nóż w przedniej, trójpalczastej łapie, otwierał za jego pomocą brzuch i klatkę piersiową ofiary. Nie użyto żadnych środków znieczulających i przeraźliwe krzyki i jęki okrutnie torturowanego mężczyzny brzmiały naprawdę strasznie. Była to wyjątkowo okrutna wiwisekcja. Oblał mnie zimny pot i zdałem sobie sprawę, że niebawem przyjdzie kolej na mnie. I pomyśleć, że tam gdzie czas nie istniał, moje cierpienie mogło trwać całe miesiące, zanim w końcu nadejdzie śmierć, by przynieść mi uwolnienie.

Mahary nie zwracały na mnie najmniejszej uwagi, gdy wprowadzono mnie do izby. Były tak zaaferowane tym co robiły, że chyba nawet nie zauważyły, że Sagothowie weszli wraz ze mną do pomieszczenia. Drzwi były niedaleko. Gdybym tylko zdołał ich dosięgnąć! Jednak ciężkie łańcuchy skutecznie mi to uniemożliwiały! Zacząłem się rozglądać w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby mi uwolnić się z okowów. Na podłodze pomiędzy mną a Maharami leżało niewielkie narzędzie chirurgiczne, które musiał upuścić któryś z nich. Wyglądało jak haczyk do zapinania guzików, ale było mniejsze i miało zaostroszony koniec. Setki razy, jako nastolatek, forsowałem zamki za pomocą haczyka do zapinania guzików. Gdyby tylko udało mi się sięgnąć po ten mały kawałek polerowanej stali, mógłbym pokusić się o choćby tymczasową ucieczkę.

Podpełzając po podłożu w taki sposób, by rozciągnąć łańcuch do maksimum stwierdziłem, że nawet jeśli wyciągnę jedną rękę najdalej jak to możliwe, i tak zabraknie mi co najmniej cala, abym mógł dosięgnąć

cennego i upragnionego narzędzia. A tak niewiele brakowało! Mimo iż przeżyłem się jak struna, nie byłem w stanie go pochwycić.

W końcu odwróciłem się i spróbowałem dosięgnąć narzędzia stopą. Serce podeszło mi do gardła! Zdołałem dotknąć metalowego przedmiotu! Co jednak, jeśli próbując przyciągnąć do siebie narzędzie, w przyływie zdenerwowania, przypadkiem odsunę je jeszcze dalej, a wtedy już nie zdołam w żaden sposób go dosięgnąć! Zimny pot wystąpił mi na czoło. Powoli, ostrożnie realizowałem mój plan. Palcami stóp dotknąłem chłodnego metalu. Stopniowo przyciągałem narzędzie ku sobie, aż znalazło się w zasięgu mojej ręki, a w chwilę potem odwróciłem się i ścisnąłem bezcenny przedmiot w dłoni.

Następnie zabrałem się niezwłocznie za sforsowanie zamka kłódki spinającej mój łańcuch. Był on niezwykle prosty. Nawet dziecko by sobie z nim poradziło i już po chwili byłem wolny. Mahary tymczasem najwyraźniej zakończyły już pracę przy stole. Jedna właśnie się odwróciła i przypatrywała się innym ofiarom, zapewne zastanawiając się nad wyborem kolejnego obiektu do „badań”.

Pozostałe Mahary przy stole były do mnie odwrócone plecami. Gdyby nie istota, która akurat szła w naszą stronę, wykorzystałbym tę okazję, aby uciec. Stwór powoli zbliżał się do mnie, gdy nagle jego uwagę zwrócił potężny niewolnik przykuty do ściany o kilka jardów na prawo ode mnie. Gad natychmiast przystanął i zaczął przyglądać się uważnie nieszczęśnikowi, tym samym odwracając się do mnie tyłem i w tej samej chwili dwoma potężnymi susami wypadłem z pomieszczenia, na korytarz, by pobiec nim co sił w nogach.

Nie wiedziałem, gdzie się znajdowałem, ani dokąd biegnę. Chciałem jedynie znaleźć się możliwie jak najdalej od tej przerażającej izby tortur.

W końcu zwolniłem i przeszedłem do szybkiego marszu, później zaś, uświadomiwszy sobie zagrożenia wynikające z faktu, że mogłem napotkać na swej drodze jakieś inne, nieprzewidziane zagrożenia, zwolniłem jeszcze

bardziej i szedłem ostrożniej niż do tej pory. Po pewnym czasie dotarłem do przejścia, które jakimś sposobem wydało mi się znajome, i zajrawszy do środka, spostrzegłem trzy Mahary spoczywające na posłaniu ze skór, pogrążone w głębokim śnie. Omal nie zakrzyknąłem w przyływie radości i ulgi. To był ten sam korytarz i te same Mahary, które miały odegrać kluczową rolę w naszej ucieczce z Phutry. Opatrzność zaiste była dla mnie łaskawa, bo gady wciąż jeszcze spały.

Jedyne niebezpieczeństwo przedstawiał teraz już tylko powrót na górne poziomy, w poszukiwaniu Perry'ego i Ghaka, ale że nic nie mogłem na to poradzić, pospiesznie ruszyłem na górę. Gdy dotarłem do części odwiedzanego poziomu budynku, znalazłem leżące w kącie pokaźne naręcze skór i uniosłem je nad głowę, w taki sposób, że końce i rogi opadały mi na ramiona, zupełnie przesłaniając twarz. Tak zamaskowany odnalazłem Perry'ego i Ghaka, w tej samej izbie gdzie sypialiśmy i wspólnie spożywaliśmy posiłki. Obaj ucieszyli się na mój widok, o czym chyba nie muszę wspominać, choć rzecz jasna nie mogli wiedzieć jaki werdykt wydali sędziowie mający zdecydować o moim dalszym losie. Postanowiliśmy, że niezwłocznie rozpoczniemy realizację naszego planu ucieczki, nie mogłem bowiem długo ukrywać się przed Sagothami, ani chodzić, nosząc nad głowę naręcze skór, nie wzbudzając podejrzeń strażników. Spodziewałem się jednak, że zdołam jeszcze raz przejść bezpiecznie w ten sposób przez zatłoczone korytarze górnych poziomów i tak też wyruszyłem w drogę, wraz z Perrym i Ghakiem, a smród źle wyprawionych skór nieomal zatykał mi gardło.

Dotarliśmy wspólnie do pierwszego poziomu korytarzy pod główną częścią budowli i tu Perry oraz Ghak zatrzymali się, by na mnie zaczekać. Tutejsze budynki są wykute w wapiennej skale. W ich architekturze nie ma nic naprawdę interesującego. Jedne izby są prostokątne, inne owalne, a jeszcze inne mają kształt kolisty. Łączące je korytarze są wąskie i nie zawsze proste. Izby oświetlone są rozproszonym blaskiem słońca

docierającym do nich przez tuby podobne do tych, których używa się do oświetlania ulic. Im niższe poziomy, tym jest tam ciemniej. Większość korytarzy w ogóle nie jest oświetlona, Mahary widzą całkiem nieźle w półmroku.

Na głównym poziomie i po drodze napotkaliśmy wiele Mahar, Sagothów i niewolników, nie zwracali oni jednak na nas uwagi, jakbyśmy stali się nieodłączną częścią tego tętniącego życiem domostwa. Z budynku na ulicę wiodło tylko jedno wyjście, strzeżone przez Sagothów – i nie wolno nam było z niego korzystać. Co prawda nie powinniśmy też schodzić na niższe poziomy za wyjątkiem szczególnych okazji, kiedy wydawano nam takie polecenia, byliśmy jednak uważani za przedstawicieli rasy niższej, bezrozumnej, i nikt nie obawiał się, że schodząc tam, moglibyśmy wyrządzić jakieś szkody. Nie zatrzymano nas więc, gdy weszliśmy do korytarza prowadzącego na niższe poziomy.

Niosłem owinięte w skórę trzy miecze i dwa łuki ze strzałami, wykonane przez Perry'ego i przeze mnie. Ponieważ wielu niewolników niosło owinięte w skóry przedmioty, nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Tam gdzie pozostawiłem Ghaka i Perry'ego, jak okiem sięgnąć nie było innych istot, wyjąłem więc z tobołka jeden miecz i pozostawiając resztę broni pod opieką Perry'ego, ruszyłem samotnie w kierunku niższych poziomów.

Dotarłszy do izby, gdzie spały trzy Mahary, wszedłem po cichu do środka, skradając się bezszelestnie, na paluszkach, bo zapomniałem, że przecież te istoty były pozbawione słuchu. Szybkim ciosem w serce uśmierciłem pierwszą, ale drugie uderzenie już nie było tak fortunne i zanim zdołałem odebrać życie kolejnemu stworowi, potoczył się na trzecią z Mahar, a ta natychmiast poderwała się na nogi i spojrzała na mnie, rozdziawiając szeroko najeżony zębiskami dziób. Rasa Mahar nie jest jednak rozmiłowana w walce, i kiedy stwór zorientował się, że uśmierciłem już dwóch jego kompanów, a ostrze mego miecza było całe czerwone od ich krwi, natychmiast rzucił się do ucieczki, licząc że zdoła mi się

wymknąć. Ja byłem jednak dostatecznie szybki i choć stwór pokonał całą długość korytarza, na przemian podskakując niezdarnie, to podfruwając na błoniastych skrzydłach, ja przez cały czas byłem tuż za nim.

Gdyby Mahara uciekła, zniweczyłoby to nasz plan ucieczki i zapewne przypieczętowałyby również mą niechybną śmierć. Ta myśl dodała mi skrzydeł, jednak choć deptałem stworowi po piętach, mimo wszystko nie byłem go w stanie dogonić.

Istota nagle skręciła w prawo, wpadając do jednej z izb, do której wchodziło się z korytarza i gdy wbiegłem tam w ślad za nią, nagle ujrzałem przed sobą dwie Mahary. Ta, która była tam wcześniej, pracowała przy jakichś metalowych naczyniach, do których najwyraźniej wsypywała rozmaite proszki i wlewała jakieś płyny – o ile zdołałem się zorientować na podstawie całego rzędu butelek rozstawionych na brzegu stołu, przy którym pracowała. W jednej chwili zdałem sobie sprawę, na co się natknąłem. To właśnie tę izbę miałem koniecznie odnaleźć, Perry zaś dał mi szczegółowe wskazówki jak tego dokonać. Była to sekretna komnata, w której ukryto wielki sekret rasy Mahar. Na stole obok butli leżała oprawiona w skórę księga zawierająca jedyną kopię tekstu, który miałem odszukać, kiedy już uporam się ze swym zadaniem i uśmiercę trzy Mahary we śnie.

Z pomieszczenia nie było innego wyjścia poza tym, w którym stałem, patrząc na dwa przerażone gady. Wiedziałem, że przyparte do muru będą walczyć ze wszystkich sił, jak opętane, a były dobrze wyposażone do walki, gdyby musiały bronić swego życia. Obie Mahary równocześnie rzuciły się na mnie i choć natychmiast przeszyłem jedną z nich moim mieczem na wylot, przebijając jej serce, druga zacisnęła błyszczące kły na moim ręku, tym, w którym trzymałem miecz – na szczęście powyżej łokcia – a potem ostrymi pazurami zaczęła rozszarpywać moje ciało, najwyraźniej zamierzając wypruć mi wnętrzności. Zdałem sobie sprawę, że nie uda mi się uwolnić ręki z tego potężnego uchwytu zębów ściskających mnie

niczym szczęki imadła, i usiłujących urwać mi ramię. Ból jaki temu towarzyszył, był potworny, jednak skłonił mnie tylko do większego wysiłku w celu pokonania mego przeciwnika.

Przetaczaliśmy się po całej podłodze, Mahara zadawała mi kolejne szarpane rany pazurami, którymi zakończone były jej przednie kończyny, ja zaś próbowałem chronić ciało lewą ręką, a równocześnie wyczekiwać na okazję, by przełożyć miecz z bezużytecznej na razie ręki do drugiej, wciąż jeszcze sprawnej, ale i ona coraz szybciej się męczyła. W końcu się udało i mam wrażenie, że resztkami sił zdołałem przeszyć ostrzem miecza szpetne cielsko mego przeciwnika.

Równie bezgłośnie jak walczył, stwór skonał, a ja, choć osłabiony z bólu i utraty krwi, poczułem zwycięską dumę, gdy triumfalnie przestąpiłem nad wciąż drgającym konwulsyjnie, lecz już stygnącym trupem, by skraść największą tajemnicę tego świata. Jedno spojrzenie wystarczyło, abym upewnił się, że o tę właśnie rzecz chodziło Perry'emu, i tak mi ją opisał.

Gdy wziąłem ją do ręki, czy pomyślałem, ile mogła ona znaczyć dla całej rasy ludzkiej z Pellucidaru, czy zastanawiałem się nad tym, że całe pokolenia nienarodzonych jeszcze istot ludzkich w tym świecie będą miały powód, by oddawać mi wieczną cześć, za to co dla nich właśnie uczyniłem? Nie. Myślałem tylko o przepięknej owalnej twarzy, czystym spojrzeniu cudnych oczu i gęstych, kruczoczarnych, falujących włosach. Pomyślałem o ustach, czerwonych, bardzo czerwonych ustach, stworzonych by je całować. I nagle, ni stąd ni zowąd, kiedy tak stałem samotnie w sekretnej izbie Mahar z Pellucidaru, uświadomiłem sobie, że kocham Dian Piękną.

## POŚCIG

Stałem tam przez chwilę, myśląc o niej, aż wreszcie z westchnieniem zatknąłem księgę za ramię podtrzymujący moją przepaskę biodrową i odwróciłem się, by wyjść z pomieszczenia. U wylotu korytarza prowadzącego z dolnych izb pod górę zagwizdałem, dając umówiony sygnał, by powiadomić Perry'ego i Ghaka o moim sukcesie. W chwilę potem znaleźli się obok mnie, a ja ze zdumieniem stwierdziłem, że towarzyszył im Hooja Przebiegły.

– Dołączył do nas – wyjaśnił Perry – i nie uznaje sprzeciwu. To szczywany lis. Wyczuł że szykuje się ucieczka, a biorąc pod uwagę to, co zamierzamy zrobić, powiedziałem że przyprowadzę go do ciebie, abyś zdecydował, czy może nam towarzyszyć.

Nie przepadałem za Hooją i nie ufałem mu. Byłem pewien, że gdyby tylko mógł na tym zyskać, zdradziłby nas, jednak nie widziałem wyjścia z tej trudnej sytuacji, a ponieważ zabiłem cztery Mahary zamiast trzech, jak zamierzałem, mogliśmy włączyć go do naszego planu ucieczki.

– Dobrze – powiedziałem – możesz iść z nami, Hooja, ale gdy tylko wyczuję, że coś jest nie tak, przebiję cię moim mieczem. Rozumiemy się?

Odparł, że tak.

W jakiś czas później zdjeliśmy skóry z czterech Mahar i przyoblekliśmy się w nie, aby w ten sposób niepostrzeżenie wydostać się z Phutry. Połączenie skór, rozpruty wcześniej w celu usunięcia korpusów i wnętrzości, nie było łatwe, ale pozostając na zewnątrz dopóki wszyscy inni z moją pomocą nie zostali zaszyti w skóry i pozostawiając niewielki otwór w skórze noszonej przez Perry'ego, aby mógł zaszyć mnie, udało się

zrealizować podstawowe założenia naszego planu i to lepiej nawet niż się spodziewałem. Głowy Mahar były utrzymywane sztywno dzięki mieczom wetkniętym pionowo przez szyje, i w ten sam sposób byliśmy w stanie nimi poruszać, aby wyglądały jak żywe. Największą trudność sprawiły nam błoniaste stopy stworów, lecz i ten problem w końcu udało się nam rozwiązać i ostatecznie stąpaliśmy w nich w miarę naturalnie. Nieduże otwory zrobione w obwisłych, workowatych szyjach, gdzie znajdowały się nasze głowy zapewniały nam widoczność i pozwalały kontrolować kierunek marszu.

Ruszyliśmy w stronę głównego poziomu budynku. Ghak szedł na czele tej dziwacznej procesji, za nim Perry i Hooja, ja zaś na samym końcu, wcześniej jednak zmieniłem ułożenie miecza w taki sposób, by móc pchnąć nim przez powłokę mego kostiumu, dosięgając idącego przede mną Hooję, gdyby zaczął zbytnio się ociągać i opóźniać marsz. Odgłosy pospiesznych kroków uświadomiły mi, że zbliżaliśmy się do mocno uczęszczanych korytarzy głównego poziomu i serce podeszło mi do gardła. To żaden wstyd przyznać się, że byłem przerażony, nigdy dotąd, w całym moim życiu, ani nigdy potem, nie doświadczyłem równie dojmującej grozy przenikającej mnie aż do szpiku kości. Gdybym mógł pocić się krwią, tak właśnie by było.

Powoli, naśladowując sposób poruszania Mahar, kiedy istoty te nie używają skrzydeł, przechodziliśmy pośród gromad zapracowanych niewolników, Sagothów i Mahar. Miałem wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim dotarliśmy do drzwi prowadzących na zewnątrz, na główną ulicę Phutry. Przy otworze zgromadziło się wielu Sagothów. Popatrzyli na Ghaka, gdy przeczłapał obok nich. Potem minął ich Perry, a następnie Hooja. Wreszcie przyszła kolej na mnie i wtedy zamarłem z przerażenia, które zmroziło mi krew w żyłach, zorientowałem się bowiem, że strużka ciepłej krwi ze zranionego ramienia spływała po moim ciele, i wyciekała spod skóry jaką nosiłem, pozostawiając wyraźny ślad



na chodniku i co gorsza, jeden z Sagothów też to zauważył, informując o tym niezwłocznie swego towarzysza.

Strażnik zastąpił mi drogę i wskazując na moją krwawiącą stopę, przemówił do mnie językiem gestów, którym posługiwały się te dwie rasy. Nawet ja wiedziałem, co chciał mi zakomunikować, nie mogłem jednak odpowiedzieć, mając na sobie tylko bezwładny kostium ze skóry zabitej Mahary. Widziałem kiedyś jak wielka Mahara jednym spojrzeniem skarciła zbyt hardego Sagotha. To jedyne rozwiązanie na jakie mogłem liczyć i postanowiłem z niego skorzystać. Zatrzymując się, obróciłem miecz, sprawiając że łeb martwej Mahary poruszył się, jakby chciał spojrzeć pytająco na istotę o wyglądzie goryla. Przez dłuższą chwilę stałem w kompletnym bezruchu, spoglądając na strażnika martwymi ślepiami. Wreszcie opuściłem głowę i powoli ruszyłem dalej. Przez chwilę równowaga i cała sytuacja były chwiejne, ale zanim go dotknąłem, strażnik zszedł mi z drogi, a ja minąłem go i wyszedłem na ulicę.

Ruszyliśmy w górę, po szerokiej ulicy, teraz jednak byliśmy już bezpieczni, bo wokół nas roiło się od Mahar. Całe ich gromady zmierzały w stronę płytkiego jeziora leżącego o ponad milę od miasta. Udawały się tam, by oddawać się rozrywkom typowym dla stworzeń ziemnowodnych – łowiąc niewielkie ryby i nurkując w chłodnych wodach. To jezioro słodkowodne, płytkie, wolne od większych gadów, które królują w wielkich morzach Pellucidaru.

Wśród nieprzebranych tłumów weszliśmy po schodach i znaleźliśmy się na równinie. Przez jakiś czas Ghak szedł wraz z grupką kierującą się w stronę jeziora, w końcu jednak, u wylotu niewielkiego parowu zatrzymał się i zaczekaliśmy tam, aż wszyscy inni nas minęli i zostaliśmy sami.

Żar lejący się z wiszącego w zenicie słońca sprawiał, że w naszych upiornych przebraniach trudno było wytrzymać, toteż minęliśmy niskie rozwidlenie i zapuściliśmy się w głąb lasu. Zrzuciliśmy wreszcie skóry Mahar, które pozwoliły nam dotrzeć aż tutaj i odzyskać wolność.

Nie będę zanudzał cię szczegółami tej gorzkiej i drażniącej ucieczki. Jak kluczyliśmy i lawirowaliśmy, aby prześladowcy nie zdołali odnaleźć naszych śladów. Jak byliśmy atakowani przez dziwne i straszne bestie. Jak niemal cudem uniknęliśmy kłów i pazurów lwów oraz tygrysów, przy których najwięksi przedstawiciele tych gatunków, żyjący w świecie zewnętrznym, mogli wydawać się karłami. Uciekaliśmy, nie szczędząc sił, myśląc tylko o tym, by znaleźć się możliwie jak najdalej od Phutry. Ghak prowadził nas do swojej krainy – Sari. Nie zauważyliśmy żadnych oznak pogoni, jednak byliśmy pewni, że gdzieś tam, z tyłu, naszym tropem podążają nieustępliwi Sagothowie. Ghak powiedział, że te stworzenia nie odpuszczają dopóki nie dopadną ofiary lub nie zostaną zmuszone do odwrotu przez potężniejszego od nich przeciwnika.

Jego zdaniem mogliśmy liczyć tylko na to, że zdołamy dotrzeć do jego plemienia, które zamieszkując w górskiej warowni, było w stanie odeprzeć wszelkie siły Sagothów.

Miałem wrażenie, że minęły miesiące, a może nawet lata, zanim dostrzeżliśmy w oddali rozległe wzgórza Sari. Wtedy też Hooja oznajmił, że zauważył grupę mężczyzn na grani niewielkiego wzgórza za nami. Był to bez wątpienia pościg, którego się spodziewaliśmy.

Spytałem Ghaka czy zdołamy dotrzeć do Sari zanim tamci nas dogonią.

– Może – odparł – ale sam się przekonasz, że Sagothowie umieją poruszać się z ogromną szybkością i poza tym, że wydają się niemal niezmordowani, bez wątpienia są znacznie bardziej wypoczęci niż my. Poza tym... – przerwał, spoglądając na Perry'ego.

Wiedziałem o co mu chodziło. Staruszek był wyczerpany. Przez większą część naszej ucieczki Ghak albo ja podtrzymywaliśmy go w marszu. Biorąc pod uwagę te utrudnienia, nawet nie tak szybcy prześladowcy jak Sagothowie z łatwością mogliby nas doścignąć, zanim zdążymy wspiąć się na wznoszące się przed nami wzgórza.

– Ty i Hooja idźcie przodem – powiedziałem. – Perry i ja dotrzemy tam, jeżeli zdołamy. Nie jesteśmy w stanie iść tak szybko jak wy i nie ma powodu abyśmy wszyscy z tego powodu ucierpieli. Nic na to nie poradzimy – musimy po prostu stawić temu czoło.

– Nie opuszczę towarzysza – odparł krótko Ghak. Nie zdawałem sobie sprawy, że ten wielki, kosmaty człowiek pierwotny miał w sobie taką szlachetność. Zawsze go lubiłem, ale teraz do tej sympatii dołączył także honor i szacunek. Szczerze go pokochałem.

Mimo to jednak wciąż ponaglałem go, aby ruszył przodem podkreślając, że gdyby zdołał dotrzeć do swoich ludzi, mógłby sprowadzić tu oddział wojowników, którzy przepędziliby Sagothów i uratowali mnie oraz Perry'ego.

On jednak nie chciał nas opuścić, tak zadecydował i kropka, zasugerował wszelako, aby Hooja poszedł pierwszy i ostrzegł Sarian, że ich władca jest w niebezpieczeństwie. Hooji nie trzeba było długo namawiać, wystarczyła sama propozycja, aby pognał na wzgórza, do których się właśnie zbliżyliśmy.

Perry zdał sobie sprawę, że naraża na niebezpieczeństwo życie moje i Ghaka, co więcej, staruszek wręcz błagał nas, abyśmy ruszyli dalej bez niego, choć wiedziałem doskonale, że serce zamierało mu w piersi na samą myśl o tym, iż mógłby wpaść w ręce Sagothów. Ghak w końcu częściowo rozwiązał ten problem, biorąc Perry'ego na ręce, aby ponieść staruszka na wzgórza. Choć dźwigając dodatkowe brzemie Ghak poruszał się wolniej niż dotychczas, i tak był o wiele szybszy niż kiedy podtrzymywał słaniającego się na nogach uczonego.

## PRZEBIEGŁY

Sagothowie szybko się do nas zbliżali. Kiedy tylko nas zauważyli, wyraźnie przyspieszyli tempo. Brnęliśmy krok za krokiem pod górę, przez wąski wąwóz, wybrany przez Ghaka jako ten, którym najszybciej zdołamy dotrzeć do górskiego Sari. Po obu stronach wznosiły się strome klify z przepięknego, różnobarwnego kamienia, podczas gdy pod naszymi stopami gęsta, górska trawa tworzyła miękką, tłumiącą dźwięki kobierzec. Odkąd weszliśmy do parowu nie widzieliśmy już naszych prześladowców i zacząłem nawet łudzić się nadzieją, że zgubili nasz ślad i zdołamy dotrzeć do górskiej twierdzy, zanim dogoni nas pościg.

Nie usłyszeliśmy ani nie zobaczyliśmy przed sobą żadnych oznak mogących świadczyć że misja Hooji zakończyła się powodzeniem. Do tej pory powinien już dotrzeć do sariańskich strażnic i dziwiłem się, że nie słyszeliśmy jeszcze dzikich okrzyków tubylców, zbrojących się, by ruszyć z odsieczą swemu zagrożonemu władcy. Lada chwila te mroczne wzgórza powinny zarość się od pierwotnych wojowników. Nic takiego jednak się nie wydarzyło – okazało się bowiem, że Przebiegły nas zdradził. Podczas gdy my spodziewaliśmy się ujrzeć sariańskich włóczyków prowadzonych przez spieszącego nam na ratunek Hooję, ten tchórzliwy zdrajca ominął szerokim łukiem najbliższą sariańską wioskę, aby podejść do niej z drugiej strony, kiedy będzie już za późno na ratunek dla nas, a swoje zachowanie zamierzał tłumaczyć tym, że zgubił się w górach.

Hooja wciąż żywił wobec mnie urazę za cios, jaki mu wymierzyłem w obronie Dian, a nienawiść jaką pałał względem mnie była tak wielka, iż

był skłonny poświęcić nas wszystkich, jeżeli tylko będzie mógł w ten sposób zemścić się na mnie.

Gdy zbliżaliśmy się do granicznych klifów, a jak okiem sięgnąć wciąż nie było widać nadciągającej odsieczy, Ghak zaniepokoił się i rozzłościł zarazem, zwłaszcza że z tyłu dał się słyszeć odgłos kroków zbliżającej się szybko pogoni. Po chwili, obejrzawszy się przez ramię, zawołał do mnie, że przepadliśmy.

Oglądając się za siebie, spostrzegłem pierwszego z Sagothów na drugim końcu długiego wąwozu, przez który właśnie przeszliśmy, zaraz jednak załam kamiennej ściany przesłonił mi widok i straciłem z oczu tę szpetną kreaturę, lecz głośny gniewny okrzyk triumfu, jaki rozległ się z tyłu, uświadomił mi, że stwór o wyglądzie goryla zdołał nas dostrzec. Wąwóz znów skręcał ostro w lewo, po prawej jednak rozciągała się druga jego odnoga, biegnąca mniej więcej w tym samym kierunku i większa od odnogi po lewej, przez co wydawała się być naturalnym przedłużeniem tego wąwozu. Sagothowie byli teraz o niespełna dwieście pięćdziesiąt jardów za nami i zrozumiałem, że nie zdołamy się im wymknąć, chyba że uciekniemy się do jakiegoś fortelu. Tylko w ten sposób mogłem liczyć na ocalenie Ghaka i Perry'ego, i kiedy dotarłem do rozgałęzienia wąwozu, postanowiłem zaryzykować.

Przystając tam, czekałem, aż w zasięgu wzroku pojawi się pierwszy z Sagothów. Ghak i Perry zniknęli za zakrętem lewej odnogi tunelu, a kiedy dziki okrzyk Sagotha uświadomił mi, że zostałem dostrzeżony, odwróciłem się i wbiegłem do parowu po prawej. Mój fortel się powiódł i cała gromada łowców pognęła w ślad za mną, podczas gdy Ghak dźwigający Perry'ego ruszył drugą odnogą wąwozu pod górę, gdzie już wkrótce powinni być bezpieczni.

Bieganie nigdy nie było moją mocną stroną i teraz, kiedy od ręczności stóp zależało moje życie, nie spisywałem się ani trochę lepiej jak na boisku, podczas rozgrywek baseballu, kiedy zaliczałem kolejne bazy, a w moich

uszech rozbrzmiewały drwiące pokrzykiwania kibiców: – Wolniej już nie możesz? – albo – Może złap taksówkę!

Sagothowie gwałtownie się do mnie zbliżali. Jeden z nich był wyraźnie szybszy od pozostałych i niebezpiecznie zmniejszył dystans pomiędzy nami. Wąwóz stał się kamienną szczeliną, wznoszącą się stromo pod górę, w stronę czegoś, co wydawało się przesmykiem pomiędzy dwoma wznoszącymi się jeden przy drugim, szczytami. Nie byłem w stanie stwierdzić co znajdowało się za tym przesmykiem – prawdopodobnie opadająca setki stóp w dół przepaść, ściana stromego urwiska sięgającego aż do rozległej doliny poniżej. Czy to możliwe, abym zabrnął w ślepą uliczkę?

Uświadomiwszy sobie, że nie zdołam prześcignąć Sagothów w drodze na szczyt wąwozu, postanowiłem podjąć najwyższe ryzyko i choć na pewien czas ich zatrzymać. W tym celu zdjąłem mój prymitywny łuk i wyjąłem strzałę z przewieszzonego przez ramię skórzanego kołczana. Nakładając strzałę na cięciwę, zatrzymałem się i odwróciłem w stronę nadbiegającego goryla.

W świecie, w którym przyszedłem na świat, nigdy nie strzelałem z łuku, ale odkąd uciekliśmy z Phutry zaopatrywałem naszą małą gromadkę w upolowane przez siebie zwierzęta i nabrałem w tym sporej wprawy. W trakcie naszej ucieczki z Phutry zastąpiłem cięciwę mego łuku nową, wykonaną z jelit ogromnego tygrysa, którego zabiliśmy wspólnie z Ghakiem, choć sporo nas to kosztowało i musieliśmy użyć w tym celu strzał, włóczni, a także miecza. Twarde drewno łuku było wyjątkowo mocne i to, w połączeniu z siłą i elastycznością mojej nowej cięciwy, przydało mi wiary w tę broń.

Nigdy nie potrzebowałem bardziej spokoju wewnętrznego, ukojenia nerwów i nigdy jeszcze nie panowałem bardziej nad moimi nerwami i mięśniami. Złożyłem się do strzału starannie i rozważnie, jakbym celował do słomianej tarczy. Sagothowie nigdy dotąd nie widzieli łuku i strzał,

jednak najwyraźniej w ograniczonym umyśle tej istoty musiała przemknąć myśl, iż przedmiot, który trzymam w dłoniach, skierowany w jego stronę, może być jakimś groźnym urządzeniem, bo strażnik nagle się zatrzymał, unosząc topór do rzutu. To jeden ze sposobów wykorzystania tej broni, a celność, jaką mogą się wykazać i to nawet w najbardziej nieprzychylnych okolicznościach, zakrawa niemal na cud.

Naciągnąłem cięciwę do maksimum, celując w lewą pierś mego adwersarza, i kiedy ten wypuścił swój topór, ja zwolełem cięciwę łuku. Gdy nasze pociski znalazły się w powietrzu, rzuciłem się gwałtownie w bok, Sagoth natomiast skoczył naprzód, by poprawić swój atak pchnięciem włóczni. Poczułem podmuch powietrza, gdy topór musnął lekko moją głowę, i w tej samej chwili moja strzała przeszła serce dzikiego Sagotha, a gorylopodobny stwór zwałił się martwy blisko – niemal u moich stóp. Dwaj kolejni byli tuż za nim, o jakieś pięćdziesiąt jardów, może mniej, jednak ta odległość wystarczyła, abym zdążył podnieść tarczę zabitego strażnika, bo po tym jak z ledwością udało mi się uniknąć trafienia ciężkim toporem małpoluda, uznałem iż osłona bardzo mi się przyda. Tarcze, które zdołałem zwędzić w Phutrze, musiały tam pozostać, bo nie było jak wcisnąć ich pod kostiumy ze skór Mahar, dzięki którym bezpiecznie wydostaliśmy się z miasta.

Założywszy tarczę na lewe ramię, wypuściłem kolejną strzałę, która powaliła drugiego Sagotha, a gdy następny strażnik cisnął we mnie toporem, przyjąłem uderzenie na tarczę i założyłem nową strzałę na cięciwę. Sagoth nie czekał jednak, aż ją wypuszczę. Odwrócił się błyskawicznie i pobiegł w stronę większej grupki strażników. Najwyraźniej nie miał ochoty ryzykować życiem, aby mnie dopaść. Przynajmniej na razie.

Ja tymczasem kontynuowałem ucieczkę, Sagothowie zaś choć wciąż mnie ścigali, zachowywali bezpieczny dla nich dystans. Nie niepokojony dotarłem na szczyt wąwozu, gdzie napotkałem urwisko, wysokie

na dwieście albo nawet trzysta stóp i prowadzące na dno kamiennej kotliny, po lewej jednak zauważyłem wąską półkę ciągnącą się wzdłuż kamiennego nawisu, u szczytu klifu. Ruszyłem po tym skalnym występie i w chwilę potem dotarłem do rozszerzenia tej wąskiej ścieżki, po lewej zaś zobaczyłem wejście do wielkiej jaskini. Skalna ścieżka ciągnęła się dalej i znikwała za kolejnym wystającym grzbietem skalnym.

Byłem przekonany, że w tym miejscu mógłbym stawić opór całej armii, gdyby przeciwnicy próbowali zbliżyć się do mnie pojedynczo, nie mogliby przecież wiedzieć co ich czeka, dopóki kolejno nie stawaliby ze mną twarzą w twarz, pokonawszy załom skalnej półki. Wokół mnie walały się porozrzucane kamienie, które odpadły z klifu powyżej. Miały różną wielkość i kształt, ale mogły okazać się dogodną bronią do wykorzystania w zastępstwie moich cennych strzał. Nazbierawszy kamieni i usypawszy z nich stos u wejścia do jaskini, oczekiwałem na pojawienie się Sagothów.

Kiedy tak tam stałem, spięty i milczący, nasłuchując pierwszych odgłosów mogących zapowiadać nadejście moich wrogów, moją uwagę zwrócił jakiś hałas dobiegający z wnętrza jaskini. Mogła go spowodować jakaś wielka bestia dźwigająca swe ogromne cielsko z kamiennego podłoża pieczary. Niemal w tej samej chwili doszło mnie szuranie skórzanych sandałów na kamiennym występie, tuż za załomem skalnej ściany. Przez kolejnych kilka sekund moja uwaga była podzielona.

I wtedy, w atramentowej czerni wnętrza jaskini dostrzegłem parę gorejących ślepi wpatrujących się we mnie. Znajdowały się na wysokości dobrych dwóch stóp ponad moją głowę. Oczywiście bestia, do której należały te ślepie, mogła stać na skalnym występie wewnątrz jaskini, albo podnosiła się na tylne łapy, jednak w Pellucidarze miałem okazję ujrzeć dostatecznie dużo potworów, by wiedzieć, że mogę już za chwilę stanąć naprzeciw jakiegoś nowego, przerażającego kolosa, którego gabaryty i zajadłość przyćmią wszystko co widziałem do tej pory.



Cokolwiek to było, zbliżało się niespiesznie w stronę wejścia do jaskini i w tej samej chwili wydało z siebie gardłowy, złowieszczy warkot. Nie czekałem dłużej, by przedyskutować kwestię własności skalnej półki z istotą która powitała mnie tym groźnym warknięciem. Nie był on głośny, wątpiłem, aby Sagothowie zdołali go usłyszeć, jednak mogłem się domyślać, iż dźwięk ten mogła wydać jedynie naprawdę ogromna i okrutna bestia.

Cofając się wzdłuż skalnej półki, minąłem wkrótce wejście do jaskini, gdzie nie widziałem już tych groźnych, gorejących ślepi, natomiast w chwilę później dostrzegłem diabelskie oblicze pierwszego z Sagothów, który ostrożnie pokonał załom skalnej ściany, zbliżając się do wylotu jaskini. Kiedy małpolud mnie zobaczył, natychmiast puścił się za mną w pogoń, a w ślad za nim podążyła zgraja jego dzikich towarzyszy. Równocześnie z jaskini wyłoniła się bestia i stanęła twarzą w twarz z Sagothami na wąskiej, kamiennej ścieżce.

Był to ogromny niedźwiedź jaskiniowy, który stając na tylnych łapach mierzył ponad osiem stóp, podczas gdy całe jego ciało, od czubka nosa aż do końca krótkiego ogona wynosiło dwanaście stóp. Na widok Sagothów stworzyciel wydał z siebie przerażający ryk i rzucił się na małpoludy, z szeroko rozdziawioną paszczą. Pierwszy z przypominających goryle stworów wrzasnął z przerażenia i odwrócił się, by rzucić się do ucieczki, jednak wpadł na jednego ze swych rozpędzonych, zmierzających w przeciwnym kierunku kompanów.

Koszmaru kolejnych sekund nie sposób opisać w słowach. Sagoth znajdujący się najbliżej niedźwiedzia jaskiniowego, stwierdziwszy, że jego droga ucieczki została zablokowana odwrócił się i z rozmysłem rzucił się ze skały, by rozbić się o postrzępione głazy, trzysta stóp niżej. Zaraz potem wielkie szczęki wysunęły się i pochwyciły następnego z Sagothów, rozległ się przyprawiający o mdłości trzask miażdżonych kości i zmasakrowane

ciało zostało ciśnięte w przepaść. Ogromna bestia nie zatrzymała się jednak i przesuwała się coraz dalej wzdłuż skalnej półki.

Sagothowie z wrzaskiem rzucali się w przepaść, usiłując umknąć przed bestią, która, gdy widziałem ją po raz ostatni, znikła za załomem skalnej ściany, ruszając w pościg za niedobitkami grupy pościgowej. Przez długi czas słyszałem upiorne ryki groźnego zwierza mieszające się z krzykami i wrzaskami jego ofiar, aż w końcu odgłosy te z wolna zaczęły cichnąć, rozplywając się w oddali.

Później dowiedziałem się od Ghaka, który wreszcie dotarł do swoich współplemieńców i przybył mi na ratunek z grupą wojowników, że ryth, jak nazywano to stworzenie, ścigał Sagothów, aż wybił całą ich grupę do nogi. Ghak był rzecz jasna przekonany, że ja również padłem ofiarą tej strasznej bestii, która w Pellucidarze jest prawdziwym królem zwierząt.

Nie kwapiąc się do powrotu w głąb wąwozu, gdzie mógłbym paść ofiarą niedźwiedzia jaskiniowego albo Sagothów, brnąłem dalej wzdłuż skalnej półki, w przekonaniu, że obchodząc górę zdołam dotrzeć do krainy Sari od drugiej strony. Najwyraźniej jednak musiałem zmylić drogę wśród niezliczonych parowów, krętych wąwozów i zwodniczych żlebów i ostatecznie nie dotarłem wówczas do krainy Sari. Udało mi się to dopiero dużo później.

## RAJSKI OGRÓD

Nie było tu ciał niebieskich, na podstawie których mogłem ustalić swoje położenie, nic zatem dziwnego, że wnet zmyliłem drogę i pogubiłem się wśród przypominających wielki labirynt potężnych wzgórz. W rzeczywistości zaś, całkiem przez nie przeszedłem, by wyłonić się ponad kotliną, po drugiej stronie. Wiem, że wędrowałem bardzo długo, aż wreszcie zmęczony i głodny napotkałem niewielką jaskinię w formacji litej skały wapiennej, która zastąpiła towarzyszące mi wcześniej przez całą drogę skały granitowe.

Jaskinia, która zwróciła moją uwagę, leżała w połowie wysokości wysokiego, niebezpiecznego, niemal pionowego urwiska. Dostanie się tam jakiejś groźnej bestii było raczej wykluczone, a sam otwór nie był na tyle duży, by mogły zagnieździć się tam inne istoty poza mniejszymi ssakami lub może gadami. Mimo to z największą ostrożnością wpełznąłem do tego ciemnego wnętrza.

Odkryłem tu całkiem dużą pieczarę, rozjaśnioną światłem wpadającym przez wąską szczelinę w skale powyżej, dzięki czemu promienie słońca z jednej strony były dostatecznie rozproszone, z drugiej zaś światło zdołało skutecznie rozproszyć panujący w pieczarze mrok, na co w skrytości ducha liczyłem. Pieczara była całkiem pusta, nic nie wskazywało też, aby niedawno coś lub ktoś w niej zamieszkiwał. Otwór był względnie mały, toteż z wysiłkiem, ale udało mi się jednak wciągnąć z kotliny poniżej głaz, który skutecznie zablokował wejście do pieczary.

Dopiero wtedy ponownie wróciłem do kotliny, aby zebrać naręczę traw i podczas tej wyprawy dopisało mi szczęście, bo natknąłem się i powaliłem

jednego z orthropów, małych pellucidarskich koników, zwierzątko wielkości foksteriera, od których roilo się w każdym zakątku tego wewnętrznego świata. W ten sposób, mając pożywienie i posłanie, wróciłem do mej kryjówki, gdzie posiliwszy się surowym mięsem, do którego zdążyłem się już przyzwyczać, przytoczyłem głaz, blokując nim otwór wejściowy i zwinąłem się w kłębek na posłaniu z traw, nagi pierwotny człowiek jaskiniowy, równie dziki i prymitywny jak moi prehistoryczni przodkowie.

Obudziłem się wypoczęty, lecz głodny i odtoczywszy głaz od wejścia, wypelzłem na skalną półkę przed moją pieczarą. Przede mną rozpościerała się nieduża, lecz piękna dolina, przez środek której toczyła swe wody czysta, płynąca meandrycznie rzeka, wpadająca do odległego, śródlądowego morza. Błękitne wody morza dało się dostrzec pomiędzy dwoma łańcuchami górskimi, które otaczały ten niewielki Eden. Zbocza przeciwległych wzgórz tonęły w zieloności, porośnięte lasem, który przyoblekał je odcieniami czerwieni, żółci i miedzianej zieleni, od podnóża aż do skalistych szczytów. Dno kotliny pokrywał kobierzec bujnych traw, podczas gdy tu i ówdzie wśród wszechobecnej zieleni dało się dostrzec splechietki dzikiego kwiecica przydające tej zieloności dodatkowych, jaskrawych barw.

Dolinę porastały też drzewa przypominające palmy, rosnące w skupiskach, z reguły po trzy lub cztery. Pod drzewami stała jedna antylopa, podczas gdy inne skubały trawę na otwartej przestrzeni, lub z gracją kierowały się w stronę pobliskiego wodopoju, by u brodu zaspokoić pragnienie. Było kilka gatunków tych przepięknych zwierząt, z których najwspanialsze przypominały nieco wielkie afrykańskie antylopy eland, z tą różnicą, że ich spiralne rogi były zakrzywione do tyłu, nad uszami a potem znów, już pod nimi wysuwały się do przodu, kończąc się ostrymi spiczastymi czubkami dwie stopy przed i powyżej pyska zwierzęcia.

Rozmiarami przypominały czystej krwi byki rasy hereford, były jednak bardzo zwinne i szybkie. Szerokie żółte pręgi przecinające ich dereszowatą sierść sprawiały, że gdy ujrzałem je po raz pierwszy, odruchowo pomyślałem o zebrze. Tak czy owak to piękne stworzenia i w pewien sposób dopełniały dziwnego, urokliwego pejzażu, który rozpościerał się przed moim nowym domem.

Postanowiłem, że jaskinia stanie się moją kwaterą główną i stąd właśnie, jak z nowej bazy, zamierzałem rozpocząć systematyczną eksplorację okolicznych terenów w poszukiwaniu krainy Sari. Na początek dokończyłem to, co zostało z orthropa, którego zabiłem, zanim ostatnio położyłem się na spoczynek. Następnie ukryłem księgę zawierającą wielki sekret Mahar w niszy, w głębi jaskini, przytoczyłem głaz, aby zablokować wejście i uzbrojony w łuk, strzały, miecz i tarczę zszedłem do spokojnej kotliny. Skubiące trawę stada usunęły się na bok, gdy je mijałem, małe orthropy wykazały się największą czujnością i pogalopowały, oddalając się na bezpieczną odległość. Wszystkie zwierzęta przestały się pożywiać, kiedy podszedłem bliżej, a gdy odeszły na ich zdaniem bezpieczny dystans, zatrzymały się, obserwując mnie pełnymi powagi oczami i czujnie nasłuchując. W którymś momencie jeden ze starych samców antylop z pręgowanego gatunku opuścił łeb i zaryczał gwałtownie, a nawet postąpił kilka kroków w moją stronę, i przez chwilę myślałem nawet, że zaatakuje, gdy jednak minąłem go i poszedłem dalej, powrócił do skubania trawy, jak gdyby nigdy nic.

Przy dolnym krańcu doliny minąłem stado tapirów, a po drugiej stronie rzeki ujrzałem wielkiego sadoka, ogromnego, posiadającego dwa rogi przodka współczesnego nosorożca. Na samym końcu kotliny, klify po lewej ciągnęły się aż do morza, aby więc je minąć, jak sobie zamierzyłem, musiałem wspiąć się na skalną ścianę w poszukiwaniu kamiennej półki, po której mógłbym kontynuować moją wyprawę. O jakieś pięćdziesiąt stóp od podstawy klifu natknąłem się na występ tworzący naturalną półkę

ciągnącą się wzdłuż skalnej ściany i ruszyłem tą drogą, ponad falami morza, zmierzając w stronę krańca klifu.

Tu półka wiodła stromo pod górę, ku szczytowi urwiska. Warstwa, w której została utworzona, musiała zostać wypiętrzona pod tak ostrym kątem w czasie, gdy rodziły się tworzące je góry. Wspinając się ostrożnie po skalnym występie, zwróciłem nagle uwagę na dziwny syk i coś, co przywodziło na myśl trzepot skrzydeł.

Gdy spojrzałem w tę stronę, z przerażeniem zobaczyłem najstraszniejszą istotę, jaką kiedykolwiek widziałem w całym Pellucidarze. Był to ogromny smok, taki jak ludy ziemi wyobrażają je sobie i przedstawiają w baśniach i legendach. Jego wielkie cielsko musiało mierzyć z czterdzieści stóp długości, podczas gdy rozpiętość nietoperzych skrzydeł, utrzymujących smoka w powietrzu, sięgała trzydziestu stóp. Rozdziawiona paszcza najeżona była długimi zębiskami, a łapy zakończone były groźnie wyglądającymi szponami.

Syk, który przed chwilą zwrócił moją uwagę, dobył się z gardzieli stwora i wydawał się być skierowany w to, co znajdowało się za mną, gdzieś w dole, gdzie nie mogłem tego zobaczyć. Półka, na której stałem, kończyła się nagle kilka kroków dalej i gdy tam dotarłem, zobaczyłem, co było przyczyną takiego ożywienia gada.

W którymś momencie, w minionych wiekach, w trakcie trzęsienia ziemi powstał tutaj uskok, skutkiem czego warstwa materii skalnej, na której stałem, uległa obniżeniu o dwadzieścia stóp. W rezultacie półka, po której mogłem kontynuować marsz, znajdowała się dwadzieścia stóp pode mną i kończyła się równie gwałtownie jak ta, na której teraz stałem. Tam też, najwyraźniej nie mogąc kontynuować swej ucieczki za sprawą zarwanej skalnej półki, stał obiekt ataku odrażającego gada – dziewczyna, kuląca się na wąskim występie skalnym, z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby chciała odciąć się od wizji przerażającej śmierci unoszącej się w powietrzu tuż nad nią.

Smok kołował coraz niżej i sprawiał wrażenie, jakby zamierzał rzucić się na swoją ofiarę. Nie było chwili do stracenia, miałem jedynie mgnienie oka, by rozważyć potencjalne szanse w starciu z tym groźnie uzbrojonym stworzeniem, jednak widok przerażonej dziewczyny poniżej obudził we mnie wszystko co najlepsze, instynkt zaś nakazujący mi chronić przedstawicielki płci przeciwnej, który musiał u człowieka pierwotnego równoważyć instynkt samozachowawczy, przyciągał mnie ku dziewczynie niczym magnes. Prawie nie zastanawiając się nad konsekwencjami, zeskoczyłem z krańca półki gdzie stałem, na wąski skalny występ dwadzieścia stóp niżej. W tej samej chwili smok rzucił się na dziewczynę, jednak moje nagłe pojawienie się na scenie musiało go zaskoczyć, bo gwałtownie odbił w bok, a potem znów wzbił się w górę, unosząc się nad nami. Hałas jakiego narobiłem, lądując obok niej, przekonał dziewczynę że nadchodzi koniec, wzięła mnie bowiem za smoka, kiedy jednak na jej ciele nie zacisnęły się wielkie, mordercze szczęki uniosła wzrok ze zdziwieniem. Gdy jej wzrok padł na mnie, w jej oczach pojawiło się coś, co trudno byłoby opisać, jednak uczucia jakie ją ogarnęły nie mogły zbytnio różnić się od moich – gdyż przepełnione zdumieniem oczy, które wpatrywały się we mnie, należały ni mniej, ni więcej, tylko do Dian Pięknej!

– Dian! – zawołałem. – Dian! Bogu dzięki, że zjawiłem się w porę!

– Ty? – wyszeptała i znów ukryła twarz, nie powiedziała też czy cieszy się z mojego przybycia, czy raczej się na mnie gniewa.

Smok znów zakołował w naszą stronę tak gwałtownie, że nie zdążyłem zdjąć mojego łuku. Zdołałem jedynie sięgnąć po kamień i cisnąć nim z całej siły w ohydny pysk stwora. I znów trafiłem idealnie, gad zaś, sycząc z bólu i wściekłości wykonał w powietrzu szybki zwrot i odfrunął w dal.

Czym prędzej nałożyłem strzałę na cięciwę, aby być przygotowanym na następny atak, a gdy to uczyniłem, spojrzałem na dziewczynę

i przyłapałem ją jak zerkała na mnie ukradkiem, jednak zaraz znów ukryła twarz w dłoniach.

– Spójrz na mnie, Dian – poprosiłem. – Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Spojrzała mi prosto w oczy.

– Nienawidzę cię – rzekła, a gdy już miałem poprosić ją, aby mnie wysłuchała, wskazała ponad moim ramieniem. – Thipdar nadlatuje – powiedziała, ja zaś znowu się odwróciłem, by stawić czoło gadowi.

A więc to był thipdar. Mogłem się domyślić. Okrutny ogar, pies gończy Mahar. Dawno wymarły w świecie zewnętrznym pterodaktyl.

Tym razem jednak stanąłem naprzeciw niego z bronią, z jaką nigdy się wcześniej nie zetknąłem. Wybrałem najdłuższą strzałę i z całej siły napiąłem łuk, aż koniec grotu strzały dotknął kciuka mojej lewej dłoni; kiedy zaś wielki stwór rzucił się na nas, zwolełem strzałę, mierząc prosto w szeroką pierś thipdara.

Sycząc jak zawór bezpieczeństwa silnika parowego, potężna istota spadła, wijąc się i skręcając, do morza poniżej, ze strzałą zatopioną aż po lotki w masywnym tułowiu. Odwróciłem się do dziewczyny. Patrzyła poza mnie. Nie ulegało wątpliwości, że widziała jak thipdar umiera.

– Dian – powiedziałem – chyba nie powiesz, że żałujesz, iż cię odnalazłem?

– Nienawidzę cię – odparła tylko, wydawało mi się jednak, że w jej głosie było mniej zawziętości niż dotychczas, a może tak mi się tylko wydawało.

– Czemu mnie nienawidzisz, Dian? – spytałem, lecz nie odpowiedziała.

– Co tutaj robisz? – spytałem. – I co się z tobą stało, odkąd Hooja uwolnił cię od Sagothów?

W pierwszej chwili pomyślałem, że zupełnie mnie zignoruje, ale w końcu nie zrobiła tego.



– Znów musiałam uciekać przed Jubalem Szpetnym – odparła. – Po tym, jak uciekłam od Sagothów, wróciłam samotnie na tereny mego ludu, jednak z uwagi na Jubala nie odważyłam się wejść do żadnej z wiosek, ani powiadomić przyjaciół o moim powrocie, z obawy że Jubal mógłby się o tym dowiedzieć. Obserwując przez dłuższy czas, zorientowałam się, że mój brat jeszcze nie wrócił, toteż mieszkałam dalej w jaskini niedaleko kotliny często odwiedzanej przez moją rasę, oczekując na jego powrót i uwolnienie od Jubala.

– W końcu jednak jeden z łowców Jubala zauważył jak skradam się w stronę jaskini ojca, by sprawdzić czy wrócił mój brat i wszczął alarm, a Jubal wyruszył za mną w pościg. Podążał w ślad za mną przez wiele krain. Nie może być daleko. Kiedy się zjawi, zabije cię i zabierze mnie do swej jaskini. To straszny człęk. Uciekłam tak daleko jak mogłam, ale to koniec – spojrzała zrozpaczonym wzrokiem na kamienną półkę urywającą się dwadzieścia stóp nad nami.

– Nie dostanie mnie, nigdy – zawołała nagle, z wielką determinacją w głosie. – Morze jest pod nami – wskazała ręką – i prędzej to ono mnie dostanie, niż Jubal.

– Teraz ja tu jestem, Dian – zawołałem – i ani Jubal, ani żaden inny mężczyzna nie będzie cię miał, bo jesteś moja – chwyciłem jej dłoń, ale nie uniosłem jej w górę, ani nie puściłem.

Poderwała się na nogi i spojrzała mi w oczy z powagą.

– Nie wierzę ci – rzekła – gdybyś bowiem mówił szczerze, zrobiłbyś to w obecności świadków – a wówczas zgodnie z zasadami byłabym twoją wybranką, teraz zaś nie ma tu nikogo, kto mógłby to zobaczyć, a musisz przecież wiedzieć, że bez świadków twój czyn się nie liczy i nie zwiąże cię ze mną – to rzekłszy, cofnęła rękę i odwróciła się.

Próbowałem przekonać ją, że mówiłem szczerze, ona jednak nie potrafiła zapomnieć upokorzenia, jakiego wtedy doświadczyła przeze mnie.

– Jeżeli faktycznie mówisz szczerze – rzekła – będziesz miał szansę to udowodnić, o ile Jubal nie złapie cię i nie zabije. Jestem w twojej mocy i to, jak będziesz mnie traktował, stanie się najlepszym dowodem twoich intencji wobec mnie. Nie jestem twoją wybranką i raz jeszcze powiadam ci, że cię nienawidzę i powinieneś się cieszyć, gdybym cię nigdy więcej nie zobaczyła.

Dian z całą pewnością mówiła serio. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. W jej głosie wychwyliłem szczerą i bezpośrednią typową dla ludzi jaskiniowych z Pellucidaru. W końcu zaproponowałem, abyśmy spróbowali dotrzeć do mojej jaskini, gdzie być może zdołamy uciec Jubalowi, bo musiałem przyznać, że nie miałem większej ochoty na spotkanie z tą niesamowitą i dziką istotą, o której sile i zjadłości opowiedziała mi Dian, kiedy ją poznałem. To on, uzbrojony tylko w niewielki nóż, zmierzył się w walce z niedźwiedziem jaskiniowym i zabił go. To Jubal z pięćdziesięciu kroków potrafił cisnąć włócznią i przebić opancerzone cielsko sadoka. To on jednym ciosem maczugi bojowej zgruchotał czerep szarżującego dyrytha. Nie, z całą pewnością nie było mi spieszno do spotkania ze Szpetnym i wiedziałem, że nie powinienem sam go szukać, aby raz na zawsze rozwiązać tę sprawę, jednak jak to często bywa, także tym razem sprawy nie potoczyły się po mojej myśli i już wkrótce spotkałem się z Jubalem Szpetnym twarzą w twarz.

A oto jak do tego doszło. Poprowadziłem Dian wzdłuż skalnej półki, którą tu dotarła, w poszukiwaniu ścieżki, która mogłaby doprowadzić nas na szczyt klifu, wiedziałem bowiem, że powinniśmy dotrzeć stamtąd do mojej niewielkiej doliny. Idąc wzdłuż skalnej półki, dawałem Dian dokładne wskazówki jak może odnaleźć moją jaskinię na wypadek gdyby coś mi się stało. Wiedziałem, że byłaby tam bezpieczna i mogłaby ukryć się przed pościgiem, a dolina zapewniłaby jej dość jedzenia i picia, aby zdołała tam przetrwać.

To, w jaki sposób się do mnie odnosiła, raniło mnie do głębi. Serce mi krwawiło, byłem smutny i przygnębiony. Chciałem, aby zrobiło się jej przykro, i dlatego wspomniałem o tym, że coś mogło mi się stać, że mogłem zginąć. Ale ani trochę się tym nie przejęła. Dian po prostu wzruszyła ramionami i mruknęła pod nosem, że nie tak łatwo mi będzie wywinąć się z tych tarapatów.

Kompletnie mnie замуrowało. Byłem zdruzgotany. I pomyśleć, że już dwa razy ją ratowałem – w tym raz z narażeniem własnego życia. To niesamowite, że nawet kobieta z epoki kamiennej mogła być tak niewdzięczna, kompletnie bez serca, ale może jej serce, tak jak epoka, też było z kamienia.

W końcu dotarliśmy do szczeliny w klifie, będącej zapewne wynikiem erozji spowodowanej przez wodę spływającą tędy z płaskowyżu powyżej. Zdołaliśmy tą drogą, nie bez trudu, wspiąć się na szczyt, w końcu jednak stanęliśmy na równinnej ziemi, rozciągającej się na długości wielu mil i sięgającej odległego pasma górskiego.

Za nami rozciągało się szerokie śródlądowe morze wznoszące się łagodnie ku górze w tym pozbawionym horyzontu świecie i łączące się z błękitem nieba, tak że wydawało się jakby całe morze zataczało łuk powyżej, by zniknąć za odległymi górami, hen, z tyłu – ten dziwny i niezwykły aspekt morskiego pejzażu Pellucidaru był doprawdy nie do opisanania.

Na prawo od nas widać było gęsty las, po lewej natomiast teren był otwarty i sięgał daleko w głąb płaskowyżu. To właśnie w tę stronę zmierzaliśmy i już mieliśmy wyruszyć w drogę, gdy Dian dotknęła mego ramienia. Odwróciłem się do niej, spodziewając się że zamierzała powiedzieć coś, by mnie udobruchać, ale się pomyliłem.

– Jubal – powiedziała i wskazała w stronę lasu.

Spojrzałem w tę stronę i ujrzałem wyłaniającego się z gęstego lasu prawdziwego człowieka górę. Musiał mieć dobrych siedem stóp wzrostu

i odpowiednie proporcje. Wciąż był zbyt daleko, abym zdołał dostrzec jego rysy.

– Uciekaj – powiedziałem do Dian. – Zmierzę się z nim i dam ci czas na ucieczkę. Może uda mi się go zatrzymać dopóki nie dotrzesz w bezpieczne miejsce – to rzekłszy, nie oglądając się wstecz, ruszyłem na spotkanie ze Szpetnym. Miałem nadzieję, że usłyszę od Dian jakieś miłe słowo, zanim odejdzie, bo przecież musiała wiedzieć, że ryzykuję dla niej życiem, ale ona nawet się ze mną nie pożegnała i tak z ciężkim sercem pomaszerowałem po ukwieconym kobiercu z traw na spotkanie niechybnej zguby.

Kiedy się zbliżyłem i przyjrzałem Jubalowi, zrozumiałem czemu zawdzięczał przydomek Szpetny. Najwyraźniej jakaś paskudna bestia zdarła mu cały płat twarzy po jednej stronie. Nie miał oka, nosa ani tkanek, przez tę upiorną szczelinę widać było odsłoniętą zuchwę i zaciskające się zęby.

Kiedyś mógł być całkiem przystojny, jak inni przedstawiciele jego dumnej rasy, i być może właśnie wskutek tego straszego starcia ów silny i brutalny człek stał się jeszcze bardziej zgorzkniały i okrutny. Z pewnością nie prezentował się atrakcyjnie, teraz jednak to co pozostało z jego twarzy wykrzywiało grymas wściekłości wywołany widokiem Dian w towarzystwie innego mężczyzny – było to naprawdę straszne – i czyniło go jeszcze straszniejszym przeciwnikiem.

Zaczął biec, a zbliżając się, uniósł swą potężną włócznię, podczas gdy ja zatrzymałem się i nałożywszy strzałę na cięciwę, spróbowałem możliwie jak najlepiej złożyć się do strzału. Zajęło mi to nieco więcej czasu niż zwykle, bo muszę przyznać, że widok tego straszego mężczyzny sprawił, iż zmiękły mi kolana. Jaką mogłem mieć szansę w starciu z tym potężnym wojownikiem, któremu niestraszny był nawet niedźwiedź jaskiniowy! Czy mogłem łudzić się, że zdołam pokonać tego, co w pojedynkę zabił sadoka i dyrytha! Wzdrygnąłem się, jednak musiałem przyznać przed samym sobą,

że bardziej obawiałem się o Dian, niż przejmowałem się moim własnym losem.

Wreszcie ten wielki osiłek wypuścił włócznie zakończoną krzemiennym grotem, a ja uniosłem tarczę, by przyjąć na nią cały impet uderzenia. Był tak wielki, że upadłem na kolana, tarcza jednak odbiła ciśniętą włócznie i wyszedłem z tego ataku nawet nie draśnięty. Jubal ruszył teraz w moją stronę, dzierżąc w dłoni jedyną broń, jaka mu jeszcze została – groźnie wyglądający nóż. Był za blisko, abym mógł dobrze wycelować, ale i tak strzeliłem z łuku, prawie nie mierząc. Moja strzała przeszła jego masywne udo, zadając mu bolesną ranę, nie wykluczającą go jednak z dalszej walki. A w chwilę później on rzucił się na mnie.

Tylko zwinność uratowała mnie przed pierwszym ciosem. Schyliłem się i prześlizgnąłem pod jego uniesionym ramieniem i kiedy odwrócił się, by ponowić atak, ujrzałem sztych miecza skierowany w stronę jego twarzy. A w chwilę potem poczułem jak ostrze zagłębia się na cal lub dwa w mięśniach ręki, w której trzymał nóż i od tej pory zacząłem bardziej uważać. Stałem się czujniejszy.

Teraz pojedynek nabrał wymiaru starcia dwóch strategii – wielki włóchaty mężczyzna próbował przedrzeć się przez moje zastawy, aby móc wykorzystać siłę swych niepoślednich mięśni i ścięgien, podczas gdy ja dzięki swej przebiegłości i inteligencji starałem się utrzymać go na odległość wyprostowanego ramienia. Trzykrotnie rzucał się na mnie, i trzykrotnie przyjmowałem pchnięcie jego noża na moją tarczę. Za każdym razem klinga mego miecza odnajdywała jego ciało – a raz nawet przebiła mu płuco. Do tego czasu był już cały we krwi, zaś krwotok wewnętrzny wywołał u niego gwałtowny paroksyzm kaszlu i krew puściła mu się ustami i nosem, pokrywając jego odrażającą twarz i tors szkarłatną pianą. Mój oponent wyglądał okropnie, ale daleko mu było do śmierci. W miarę trwania tego pojedynku zacząłem nabierać coraz więcej pewności siebie, bo przyznam szczerze, nie spodziewałem się, że zdołam przetrwać pierwszy

atak tej monstrualnej maszyny nieujarzmionej wściekłości i nienawiści. Wydaje mi się przy tym, że Jubal przeszedł od pogardy jaką żywił wobec mnie, do czegoś w rodzaju szacunku, aż w końcu w jego prymitywnym umyśle zaświtała myśl, że może wreszcie spotkał lepszego od siebie i że oto zbliża się jego koniec. Tylko tak bowiem jestem w stanie wytłumaczyć to, co wówczas uczynił, w rodzaju ostatecznego przekonania, kierowanego żłudną nadzieją i zrodzonego z przeświadczenia, że jeśli on szybko mnie nie zabije, wówczas ja zabiję jego. Stało się to przy czwartym jego natarciu, kiedy to zamiast zaatakować mnie nożem, upuścił swoją broń i schwyciwszy oburącz klingę mego miecza, wyrwał mi oręż z ręki równie łatwo, jak mógłby rozbroić dziecko.

Cisnąwszy miecz daleko na bok, stał przez krótką chwilę w kompletnym bezruchu, wpatrując się we mnie z tak złowrogim triumfem, że aż mnie to zaniepokoiło, po czym rzucił się na mnie z gołymi rękami. Tego dnia jednak Jubal miał zapoznać się, w bolesny sposób, z nowymi metodami prowadzenia walki. Najpierw miał okazję zobaczyć łuk i strzały, potem stanął do pojedynku z przeciwnikiem uzbrojonym w miecz, na koniec zaś przekonał się co może zdziałać mężczyzna z pomocą gołych pięści.

Gdy rzucił się na mnie niczym wielki niedźwiedź, schyliłem się, przemykając pod jego wyciągniętą ręką i zadałem idealny cios prawą pięścią prosto w szczękę Jubala, po którym ta góra cielska runęła jak ścięta. Osilek był tak zaskoczony i oszołomiony, że leżał na ziemi dobrych kilka sekund, zanim w ogóle spróbował wstać, a wówczas ja stałem już nad nim gotów przyłożyć mu raz jeszcze, kiedy tylko zdoła dźwignąć się na nogi.

Podniósł się wreszcie, nieomal rycząc z wściekłości i upokorzenia, ale nie utrzymał się w pionie zbyt długo po kolejnym, tym razem lewym sierpowym. Znów wylądował na plecach. Prawdę mówiąc, wydawało mi się, że z nienawiści Jubal całkiem postradał rozum, bo żaden mężczyzna o zdrowych zmysłach nie próbowałby atakować tyle razy co on. Powalałem

go raz po raz, kiedy tylko chwiejnie podnosił się z ziemi, aż w końcu czas jaki spędził w pozycji horyzontalnej stawał się coraz dłuższy, przerwy pomiędzy kolejnymi podźwignięciami coraz bardziej się przeciągały, a on sam wydawał się coraz słabszy.

Krwawił bardzo obficie z przebitego płuca, aż w końcu potężny cios w pierś, tuż nad sercem powalił go na ziemię. Legł tam ciężko i znieruchomiał, a ja podświadomie zrozumiałem, że Jubal Szpetny już więcej się nie podniesie. Ale gdy spojrzałem na to ogromne cielsko, groźne i posępne nawet po śmierci, nie mogłem uwierzyć, że oto ja, w pojedynkę pokonałem tego zabójcę przerażających bestii, tego gigantycznego ogra epoki kamiennej.

Podniosłem mój miecz, wsparłem się na nim i spoglądałem na martwe ciało mego przeciwnika, kiedy zaś pomyślałem o walce, którą właśnie stoczyłem, w moim umyśle zrodził się genialny pomysł, będący skutkiem tego, co właśnie przeżyłem i sugestii podsunętej jeszcze w Phutrze przez Perry'ego. Jeżeli zręczność i nauka pozwoliły mi pokonać tego ogromnego osiłka, cóż mogłaby zdziałać gromada wojowników, mając do swej dyspozycji tę samą naukę i umiejętności. Wojownicy ci mieliby cały Pellucidar u swych stóp – ja byłbym ich królem, a Dian ich królową.

Dian! Ogarnęło mnie nagle powątpiewanie. Istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że Dian będzie mnie lekceważyć nawet gdybym został królem. Była najbardziej władczą osobą jaką poznałem – i potrafiła dać mi to odczuć. Owszem, mogłem pójść do jaskini i powiedzieć jej, że zabiłem Jubalę, a wówczas może nabrałaby wobec mnie bardziej życzliwego nastawienia, bo przecież uwolniłem ją od jej prześladowcy. Miałem nadzieję, że bez trudu znalazła jaskinię – byłoby straszne, gdybym znów ją utracił i kiedy odwróciłem się, aby zabrać swój miecz i tarczę i czym prędzej pospieszyć za nią, ze zdumieniem stwierdziłem, że stała niespełna dziesięć kroków za mną.

– Dziewczyno! – zawołałem – co ty tu robisz? Myślałem, że poszłaś do jaskini, jak ci kazałem.

Uniosła głowę, a spojrzenie jakie mi posłała odarło mnie z resztek dumy i poczułem się bardziej jak pałacowy dozorca – o ile rzecz jasna w pałacach są w ogóle dozorcy.

– Jak mi kazałeś! – zawołała, tupiąc drobną nóżką. – Robię co zechcę. Jestem córką króla i co więcej, nienawidzę cię.

Jej słowa kompletnie zbiły mnie z tropu – to tak mi dziękowała za ocalenie przed Jubalem! Odwróciłem się i spojrzałem na trupa.

– Możliwe, że uchroniłem cię od znacznie gorszego losu, stary – powiedziałem, ale Dian chyba tego nie słyszała, bo nie okrasiała moich słów ciętą ripostą.

– Chodźmy do mojej jaskini – powiedziałem. – Jestem zmęczony i głodny.

Ruszyła w ślad za mną, żadne z nas się nie odzywało. Byłem zbyt wściekły, a ona najwyraźniej nie miała ochoty rozmawiać z człowiekiem niższego urodzenia. Gniew towarzyszył mi przez całą drogę, zakładałem bowiem, że powinna była przynajmniej mi podziękować. Bądź co bądź, dokonałem przecież wielkiego wyczynu, zabijając niezrównanego Jubala w pojedynku.

Bez trudu zdołaliśmy odnaleźć moją kryjówkę, później zaś zszedłem w dolinę i upolowałem niewielką antylopę, którą wniosłem na górę i złożyłem na kamiennej półce przed wejściem. Posiłek zjedliśmy w milczeniu. Od czasu do czasu popatrywałem na nią, zastanawiając się, czy widok Dian rozrywającej dłońmi i zębami surowe mięso, niczym jakiś dziki zwierz, wywoła we mnie odrazę wobec niej. Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że posiłek spożyła w całkiem cywilizowany sposób, jak większość znanych mi kobiet ze świata zewnętrznego, a ja jeszcze przez dłuższy czas wpatrywałem się w niemym osłupieniu w jej mocne, białe zęby. Taka jest potęga miłości.



Po posiłku zesliśmy wspólnie nad rzekę, gdzie umyliśmy twarze i dłonie, a potem napiwszy się, wróciliśmy do jaskini. Tam bez słowa ułożyłem się w kącie i zwinąwszy się w kłębek, wkrótce zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, zobaczyłem Dian siedzącą u wejścia do pieczary i spoglądającą w stronę kotliny. Gdy podszedłem, odsunęła się na bok, żeby mnie przepuścić, ale nie odezwała się do mnie. Chciałem ją znienawidzić, ale nie potrafiłem. Za każdym razem, gdy na nią patrzyłem, coś ścisnęło mnie w gardle, tak że prawie nie mogłem zaczerpnąć tchu. Nigdy dotąd nie byłem zakochany, ale nie potrzebowałem oficjalnej diagnozy, aby wiedzieć co mi dolega – było ze mną naprawdę kiepsko. Boże, jak ja kochałem tę piękną, wyniosłą, pełną pogardy i lekceważenia prehistoryczną dziewczynę.

Po kolejnym posiłku spytałem Dian czy teraz, kiedy Jubal nie żyje, zamierzała wrócić do swego plemienia, ale ona tylko ze smutkiem pokręciła głową i odparła, że nie odważyłaby się na to, bo wciąż żył starszy brat Jubala.

– Co on ma z tym wspólnego? – spytałem. - Czy on też chce cię mieć, a może u was kobieta jest jak rzecz, która przechodzi w rodzinie z pokolenia na pokolenie?

Nie była pewna o co mi chodziło.

– Całkiem możliwe – powiedziała – że wszyscy bracia Jubala będą chcieli zemsty za jego śmierć, a jest ich siedmiu, siedmiu strasznych, żądnych krwi mężczyzn. Jeżeli miałabym wrócić do mego ludu, możliwe że ktoś będzie musiał ich zabić.

Zanosilo się na to, czego się w skrytości ducha obawiałem. Cała ta afeta stawała się dla mnie zbyt wielka, jakieś siedem razy za duża, jeśli chodzi o ścisłość.

– Czy Jubal ma jeszcze jakichś kuzynów? – spytałem. Równie dobrze mogłem dowiedzieć się wszystkiego, szykowałem się na najgorsze.

– Tak – odparła Dian – ale oni się nie liczą. Wszyscy mają już swoje wybranki. Bracia Jubala ich nie mają, bo Jubal nie był w stanie znaleźć

towarzyski dla siebie. Był tak paskudny, że kobiety uciekały od niego – kilka nawet rzuciło się z klifów Amoz w odmęty Darel Az, wybierając śmierć niż Szpetnego.

– Ale co to ma wspólnego z jego braćmi? – spytałem.

– Zapomniałam, że nie jesteś z Pellucidaru – odparła Dian, a na jej twarzy smutek mieszał się z pogardą, przy czym pogardy było więcej niż mogła tego wymagać sytuacja – jakby chciała mieć pewność, że tego nie przegapię. – Bo widzisz – zaczęła. – Młodszy brat nie może wziąć sobie towarzyski dopóki nie znajdą ich sobie wszyscy jego starsi bracia albo dopóki starszy brat nie zrzeknie się tej prerogatywy, czego Jubal nie uczynił, bo wiedział, że dopóki pozostaną samotni, będą bardziej skorzy pomóc mu znaleźć towarzyszkę.

Zauważywszy, że Dian stała się bardziej skłonna do rozmowy, zacząłem łudzić się nadzieją, że może chciała w ten sposób mnie do siebie przekonać, wkrótce jednak okazało się, że to nieprawda.

– Skoro nie masz odwagi, aby wrócić do Amoz – zacząłem – co się z tobą stanie, zważywszy że przecież nie jesteś tu ze mną szczęśliwa i otwarcie mówisz, że mnie nienawidzisz?

– Zostanę z tobą – odparła lodowatym tonem – dopóki nie pójdziesz sobie i nie zostawisz mnie w spokoju, a ja będę mieszkać tu dalej samotnie.

Spojrzałem na nią w kompletnym zdumieniu. Wydawało mi się niewiarygodne, że nawet prehistoryczna kobieta mogła być tak zimna, niewdzięczna i bez serca. Wreszcie wstałem.

– Zostawię cię JUŻ TERAZ – rzuciłem butnie. – Mam już dość twojej niewdzięczności i obelg. – To rzekłszy, odwróciłem się i ruszyłem dumnym krokiem w stronę doliny. Zrobiłem jakieś sto kroków w całkowitej ciszy, aż wreszcie Dian się odezwała.

– Nienawidzę cię! – zawołała głosem łamiącym się, jak sądziłem, z wściekłości.

Byłem zdruzgotany, ale nie odszedłem daleko, gdy zdałem sobie sprawę, że przecież nie mogę zostawić jej tam bez ochrony, aby sama musiała zdobywać dla siebie żywność wśród zagrożeń tego dzikiego świata. Mogła mnie nienawidzić i gardzić mną, obrzucając kolejnymi inwektywami, tak jak to czyniła do tej pory, aż i ja znienawidziłbym ją, jednak smutna prawda była taka, że ją pokochałem i nie mogłem pozwolić, aby została tam sama.

Im dłużej nad tym myślałem, tym większa wzbierała we mnie złość, i zanim dotarłem do doliny, nieomal gotowało się we mnie z wściekłości. Koniec końców zaś obróciłem się na pięcie, zawróciłem i ponownie wspiąłem się na skałę równie szybko jak wcześniej zszedłem na dół. Zauważyłem, że Dian opuściła skalną półkę i weszła do jaskini, więc nie zwlekając, wszedłem tam za nią. Leżała twarzą do dołu na posłaniu z traw, które dla niej przygotowałem. Gdy usłyszała, że wchodzę, poderwała się na nogi jak tygrysica.

– Nienawidzę cię! – zawołała.

Przechodząc z jasnego światła wiecznego słońca w półmrok panujący w jaskini, nie byłem w stanie zobaczyć wyrazu jej twarzy i to mnie ucieszyło, bo nie chciałem ujrzeć malującej się na niej nienawiści.

W pierwszej chwili w ogóle się do niej nie odezwałem. Przeszedłem tylko na drugi koniec jaskini i chwyciłem Dian za przeguby, a gdy zaczęła się wyrywać, objąłem ją ramieniem, przyszpilając jej ręce do boków. Walczyła dalej jak tygrysica, ale drugą ręką odchyliłem jej głowę do tyłu i odniosłem wrażenie jakbym nagle zmienił się w prymitywnego osiłka, cofając się w czasie o tysiąc milionów lat. Oto znów byłem prawdziwym człowiekiem jaskiniowym, który siłą brał sobie towarzyszkę – a zaraz potem zacząłem raz po raz całować te piękne usta.

– Dian – zawołałem, brutalnie nią potrząsając. – Kocham cię. Czy nie rozumiesz, że cię kocham? Że kocham cię bardziej niż cokolwiek

i kogokolwiek innego, w tym świecie, czy w moim własnym? Że będę cię mieć? Że miłości takiej jak moja nie można się oprzeć?

Poczułem, że znieruchomiała w moich ramionach, a gdy moje oczy przyzwyczały się do światła, dostrzegłem, że się uśmiechała – to był bardzo zadowolony, szczęśliwy uśmiech. Całkiem mnie otumanilo. A gdy zorientowałem się, że próbowała uwolnić się z mego uścisku, puściłem ją powoli. Uniosła ręce i zarzuciła je na moją szyję, a potem przywarła na bardzo długo wargami do moich ust. Wreszcie się odezwała.

– Czemu wcześniej tego nie zrobiłeś, Dawidzie? Tak długo czekałam.

– Co takiego! – zawołałem. – Przecież mówiłaś, że mnie nienawidzisz!

– Spodziewałaś się, że rzucę ci się w ramiona i powiem, że cię Kocham, zanim ty wyznasz mi miłość? – spytała.

– Ale przecież już wcześniej mówiłem, że cię Kocham – odparłem.

– Miłość objawia się w czynach – stwierdziła. – Twoje usta mogły mówić jedno, ale kiedy przyszedłeś i wziąłeś mnie w ramiona, twoje serce przemówiło do mojego w języku, który kobiece serce jest w stanie zrozumieć. Czemu jesteś taki głupi, Dawidzie?

– A zatem nie nienawidzisz mnie, Dian? – spytałem.

– Zawsze cię kochałam – wyszeptała – od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam, choć jeszcze wtedy tego nie wiedziałam, dopóki nie uderzyłeś Hooji Przebiegłego, a potem mnie odrzuciłeś.

– Ależ ja cię nie odrzuciłem, najdroższa – zawołałem. – Nie znałem waszych zwyczajów – i pewnie wciąż ich nie znam. To niemożliwe, że mogłaś tak mną gardzić i zarazem żywić względem mnie głębokie uczucia.

– Powinieneś był wiedzieć – odparła – kiedy od ciebie nie uciekłam, że to nie nienawiść połączyła mnie z tobą. Kiedy walczyłeś z Jubalem mogłam uciec do lasu, a poznawszy wynik starcia z łatwością mogłabym ci się wymknąć i wrócić do swoich.

– A co z braćmi i kuzynami Jubala? – zapytałem.

Uśmiechnęła się i wtuliła twarz w moje ramię.

– Musiałam ci coś powiedzieć, Dawidzie – wyszeptała. – Potrzebowałam jakiegoś pretekstu, aby pozostać przy tobie.

– Ty mała oszustko! – zawołałem. – I pomyśleć, że tyle się przez ciebie wycierpiałem!

– Ja musiałam znosić o wiele więcej – odparła – bo byłam przekonana że wcale mnie nie kochasz i czułam się odrzucona. Nie mogłam wrócić do ciebie i domagać się, abyś odwzajemnił moją miłość, tak jak ty teraz przyszedłeś do mnie. Kiedy odszedłeś, straciłam wszelką nadzieję. Byłam przybita, przygnębiona, przerażona i serce mi się łamało. Płakałam, a nie robiłam tego odkąd umarła moja matka. – Dostrzegłem w jej oczach łzy. Ja też byłem bliski płaczu, gdy pomyślałem co musiało przechodzić to biedne dziecko. Była bez matki i bez ochrony, ścigana po całym tym dzikim, pierwotnym świecie przez okrutnego brutala, narażała się na ataki niezliczonych, budzących grozę mieszkańców gór, równin i dżungli – to cud, że w ogóle zdołała przeżyć. Dla mnie było to uosobieniem tego wszystkiego, co musieli znosić moi przodkowie, aby w świecie zewnętrznym mogła przeżyć rasa ludzka. Byłem dumny, że zdobyłem miłość takiej kobiety. Oczywiście nie umiała czytać ani pisać, nie miała w sobie niczego wyrafinowanego ani kulturalnego z punktu widzenia naszej ziemskiej kultury i wyrafinowania, była jednak tym wszystkim, co w kobiecie najlepsze – była dobra, dzielna, szlachetna i cnotliwa. I nie zatraciła tego w sobie pomimo wszystkich cierpień i udręk, z jakimi musiała się zmierzyć, stawiając czoło niebezpieczeństwom i stając oko w oko ze śmiercią.

A przecież tak łatwo było odrzucić to wszystko i oddać się Jubalowi! Mogłaby zostać jego prawowitą wybranką! Zostałaby królową w swojej krainie, a królowa w epoce kamiennej w niczym nie ustępowała królowej z naszych czasów. Jedna i druga cieszyła się chlubą, chwałą i uznaniem, a gdyby w dzisiejszych czasach, w świecie zewnętrznym żyły półnagie

dzikuski, na pewno byłoby dla nich nobilitacją, gdyby mogli zostać żoną władcy Dahomeju.

Nie mogłem nie porównać zachowania Dian z pewną cudowną młodą kobietą, którą znałem w Nowym Jorku – a mówiąc cudowną, miałem na myśli to, jak się na nią patrzyło i jak się z nią rozmawiało. Zakochała się po uszy w moim kumplu – porządnym, prawym facecie, ale poślubiła spłukanego, starego rozpustnika o wątpliwej reputacji, tylko dlatego, że miał tytuł hrabiowski i był arystokratą z jakiegoś małego europejskiego państewka, które nawet trudno było odnaleźć na mapie.

Tak, byłem dumny z Dian.

W jakiś czas później postanowiliśmy wyruszyć do Sari, bardzo bowiem pragnąłem zobaczyć Perry'ego i upewnić się, że wszystko z nim w porządku. Opowiedziałem Dian o naszym planie wyzwolenia całej naszej rasy ludzkiej z Pellucidaru i bardzo ją to ucieszyło. Powiedziała, że gdyby tylko Dakor, jej brat, wreszcie wrócił, mógłby zostać królem Amoz, a wówczas on i Ghak mogliby zawrzeć sojusz. To byłby dla nas niezły początek, bo Sarianie i Amozyci to dwa naprawdę potężne plemiona. Uzbrojeni w miecze, łuki, strzały i odpowiednio przeszkoleni do posługiwania się tym orężem, mogliby pokonać każde plemię, które nie byłoby skłonne dołączyć do wielkiej armii skonfederowanych ludów, z jaką zamierzaliśmy wyruszyć przeciwko Maharom.

Wyjaśniłem jej zasady działania rozmaitych niszczycielskich urządzeń bojowych, które Perry i ja mogliśmy skonstruować w wyniku serii eksperymentów – prochu strzelniczego, dział, karabinów itepe, a Dian aż zaklaskała w dłonie i zarzuciła mi ramiona na szyję mówiąc, że to doprawdy cudowny pomysł. Zaczynała dochodzić do przekonania, że jestem wszechpotężny, choć nie zrobiłem niczego i jak dotąd tylko mówiłem, ale tak to już bywa z zakochanymi kobietami. Perry mawiał, że gdyby facet był choćby w jednej dziesiątej tak wspaniały jak myślą o nim

jego żona lub matka, mógłby sprawić, że cały świat znalazłby się u jego stóp.

Gdy wyruszyliśmy w drogę do Sari, zanim dotarliśmy do doliny przypadkiem wdepnąłem jedną nogą w gniazdo jadowitych żmij. Jedna z nich, nieduża, dziabnęła mnie w kostkę i Dian zmusiła mnie, abyśmy wrócili do jaskini. Powiedziała, że nie mogę się forsować, w przeciwnym razie ukąszenie mogłoby okazać się śmiertelne – stwierdziła, że gdyby ukąsiła mnie dorosła żmija, nie byłbym w stanie wydostać się z tego gniazda – zginąłbym na miejscu – tak silna była moc ich jadu. W tej sytuacji zmuszony byłem przez pewien czas leżeć, choć zastosowane przez Dian okłady z ziół i liści w końcu zdołały pokonać truciznę i doprowadziły do zmniejszenia się opuchlizny.

Zdarzenie to jednak okazało się wielce fortunate, bo podsunęło mi pomysł, który po tysiącokrotnie zwiększył wartość moich strzał jako broni ofensywno-defensywnej. Odnalazłem kilka dorosłych żmij z gatunku, który mnie ukąsił, i zabijając je, wydobyłem z ich ciał jad, a następnie posmarowałem nim groty kilku strzał. Później jedną z nich powaliłem hienodona i choć moja strzała tylko drasnęła groźne zwierzę, bestia niemal w chwilę po tym jak została zraniona, zwała się na ziemię i skoła.

Wreszcie znów wyruszyliśmy w drogę do krainy Sari, i ze szczerym smutkiem żegnaliśmy nasz cudowny rajski ogród, w którego względnym spokoju i harmonii przeżyliśmy najszcześniejsze chwile naszego życia. Nie wiem jak długo tam przebywaliśmy, bo jak już mówiłem, w krainie wiecznego słońca czas nie istnieje – mogła to być godzina lub miesiąc wedle czasu ziemskiego; po prostu tego nie wiem.

## Z POWROTEM NA ZIEMIĘ

Przeszliśmy przez rzekę i rozciągający się za nią łańcuch górski, aż w końcu znaleźliśmy się na wielkiej równinie, rozciągającej się daleko jak okiem sięgnąć. Nie wiem w jakim kierunku się rozciągała, nie potrafię tego powiedzieć nawet gdybyś chciał to wiedzieć, bo kiedy przebywałem w Pellucidarze nie udało mi się odkryć żadnych, poza miejscowymi metodami wskazywania kierunków – nie ma tam północy, południa, wschodu ani zachodu. W GÓRĘ to jedyny dobrze zdefiniowany kierunek, czyli to co dla ciebie, mieszkańca świata zewnętrznego jest równoznaczne z określeniem W DÓŁ. Ponieważ słońce nigdy nie wschodzi, ani nie zachodzi, nie sposób wskazywać kierunku bez konkretnych punktów orientacyjnych, takich jak wysokie góry, lasy, jeziora i morza.

Równina, która leży za białymi klifami, biegnąca wzdłuż brzegów Darel Az od strony Chmurnych Wierchów jest najbliższa podstawowemu punktowi orientacyjnemu znanemu każdemu pellucidarczykowi. Jeżeli jakimś trafem nie słyszałeś o Darel Az, białych klifach albo Chmurnych Wierchach, masz wrażenie, że czegoś ci brak i tęsknisz za dobrym, starym rozumieniem północnego wschodu i południowego zachodu w świecie zewnętrznym.

Ledwie wyszliśmy na wielką równinę, kiedy odkryliśmy dwa ogromne stworzenia zbliżające się do nas z oddali. Były tak daleko, że nie udało się nam rozpoznać co to za stworzenia, a gdy się zbliżyły, zobaczyłem, że były to olbrzymie czworonogi, mierzące od osiemdziesięciu do stu stóp długości, o małych głowach wznoszących się na końcu ich długich szyj. Ich głowy musiały znajdować się na wysokości dobrych czterdziestu stóp nad ziemią.



Zwierzęta poruszały się bardzo wolno – i w ogóle były powolne – jednak jednym krokiem pokonywały spore odległości i w istocie przemieszczały się szybciej niż idący zwawym marszem mężczyzna.

Kiedy się zbliżyły, zobaczyliśmy, że na grzbiecie każdego z nich siedział człowiek. Dian wiedziała, kim byli ci ludzie, choć nigdy wcześniej żadnego z nich nie widziała.

– To lidi z kraju Thuryjczyków – zawołała. - Thuria leży na zewnętrznej rubieży Krainy Straszego Cienia. Spośród wszystkich ras w całym Pellucidarze tylko Thuryjczycy dosiadają lidi, bo można je znaleźć tylko na terenach przylegających do mrocznej krainy.

– Czym jest Kraina Straszego Cienia? – spytałem.

– To kraina, która leży pod Umarłym Światem – odparła Dian. – Umarły Świat unosi się wiecznie w powietrzu pomiędzy słońcem a Pellucidarem, ponad Krainą Straszego Cienia. To Umarły Świat rzuca ogromny cień na tę część Pellucidaru.

Nie do końca zrozumiałem, co miała przez to na myśli i nie wiem czy nawet teraz to pojmuję, nigdy bowiem nie byłem w tej części Pellucidaru, skąd widać Umarły Świat, jednak Perry twierdzi, że to księżyc Pellucidaru – małeńka planeta wewnątrz planety, krążąca wokół ziemskiej osi, zgodnie z ruchem naszego globu, a co za tym idzie, przez cały czas pozostająca w tym samym miejscu wewnątrz Pellucidaru.

Pamiętam, że Perry był bardzo podekscytowany, kiedy wspomniałem mu o Umarłym Świecie, uważał bowiem, że to mogło tłumaczyć niewyjaśnione jak dotąd zjawiska nutacji i precesji zrównania dnia z nocą.

Kiedy dwóch jeźdźców na lidi podjechało bliżej zobaczyliśmy, że byli to mężczyzna i kobieta. Ten pierwszy uniósł obie ręce w górę, skierowane wnętrzem w naszą stronę na znak pokoju a ja odpowiedziałem mu tym samym, gdy nagle człek ów wydał okrzyk radości i zdumienia, po czym ześlizgnąwszy się z grzbietu gigantycznego wierzchowca, podbiegł do Dian i wziął ją w ramiona.

Na moment aż zbladłem z zazdrości, ale trwało to tylko przez chwilę, bo Dian zaraz odwróciła mężczyznę w moją stronę, wyjaśniając że jestem jej towarzyszem i wybrankiem i mam na imię Dawid.

– A to mój brat, Dakor Mocny, Dawidzie – rzekła do mnie.

Okazało się, że kobieta była wybranką Dakora. Nie odnalazł w krainie Sari nikogo odpowiedniego dla siebie i dopiero w Thurii napotkał tę piękną dziewczynę, o którą musiał walczyć, i którą zamierzał właśnie sprowadzić do swego plemienia.

Kiedy usłyszeli naszą opowieść i poznali nasze plany, postanowili towarzyszyć nam w drodze do Sari, gdzie Dakor i Ghak mogli zawrzeć sojusz między ich plemionami, Dakor bowiem był równie entuzjastycznie nastawiony do planu całkowitego wytepienia Mahar i Sagothów jak Dian i ja.

Po wędrówce, która jak na Pellucidar, przebiegła niemal bez przygód, dotarliśmy do pierwszej z sariańskich wiosek składającej się ze stu lub nawet więcej sztucznych jaskiń wykutych w ścianie olbrzymiego klifu. Tu, z wielką radością odnaleźliśmy zarówno Perry’ego, jak i Ghaka. Na mój widok staruszek nie mógł ukryć wzruszenia, był bowiem przekonany, że zginąłem i nigdy mnie więcej nie ujrzy.

Kiedy przedstawiłem Dian jako moją żonę, nie wiedział co ma powiedzieć, później jednak stwierdził, że w żadnym z dwóch światów nie mógłbym dokonać lepszego wyboru. Ghak i Dakor dogadali się bez trudu, zawierając pakt, który doprowadził do powołania rady starszych, wodzów poszczególnych plemion Sarian, mającej stanowić coś w rodzaju tamtejszego rządu. Poszczególne królestwa miały pozostawać stosunkowo niezależne, jednak nad wszystkim miał sprawować pieczę jeden wódz naczelny albo imperator. Zdecydowano, że to ja będę pierwszym spośród dynastii imperatorów Pellucidaru.

Zabraliśmy się za szkolenie kobiet jak mają wytwarzać łuki i strzały oraz sakwy na truciznę jadową. Młodzi mężczyźni polowali na żmije,

z których uzyskiwaliśmy jad i to również oni wydobywali rudę żelaza, z której pod kierunkiem Perry'ego wyrabiali miecze. Wieści zaczęły rozchodzić się lotem błyskawicy, ogarniając kolejne plemiona, aż przedstawiciele nacji, o których Sarianie nigdy nawet nie słyszeli, zaczęli przybywać, by złożyć przysięgę lojalności – tak jak tego wymagaliśmy oraz by uczyć się sztuki wytwarzania nowych broni i szkolić się w ich użyciu.

Rozesłaliśmy naszych młodych jako instruktorów do każdego spośród ludów należących do federacji i ruch ten rozrósł się do niesłychanych rozmiarów, zanim zdołały dowiedzieć się o nim Mahary. Po raz pierwszy mogły się przekonać co zamierzamy, gdy jedna po drugiej zostały unicestwione trzy wielkie karawany niewolników. Mahary nie mogły zrozumieć, jak to możliwe, że istoty niższe rozwinęły nagle w sobie zdolności, które czyniły ich naprawdę groźnymi przeciwnikami, z którymi należało się liczyć. W jednej z potyczek ze strażą karawany niewolników Sarianie wzięli do niewoli grupkę Sagothów, i było wśród nich dwóch, którzy wcześniej pełnili funkcję straży w budynku w Phutrze, gdzie zostaliśmy uwięzieni. Dowiedzieliśmy się od nich, że Mahary nie posiadały się z wściekłości, gdy odkryły co się wydarzyło w podziemiach budynku. Sagothowie wiedzieli, że coś strasznego spotkało ich panów, jednak Mahary starały się, by wieści o okropnej tragedii jaka ich dotknęła nie wyszły poza ich własną rasę. Nie próbowałem nawet domniemywać ile potrwa, zanim ich rasa wymrze całkowicie, ale wydawało się to nieuchronne.

Mahary zaoferowały bajeczną nagrodę za schwytanie któregokolwiek z nas żywego, z drugiej zaś strony zagroziły surowymi karami każdemu, kto by nas skrzywdził. Sagothowie nie potrafili zrozumieć tych z pozoru paradoksalnych i sprzecznych ze sobą poleceń, choć ich cel był dla mnie jak najbardziej jasny. Mahary chciały odzyskać Wielką Księgę i wiedziały, że tylko my możemy im ją dostarczyć.

Eksperymenty Perry'ego, pracującego nad wytworzeniem prochu strzelniczego oraz strzelb, nie przebiegały tak szybko jak się tego spodziewaliśmy – było wiele kwestii związanych z bronią palną i czarnym prochem, na których Perry zwyczajnie się nie znał. Obaj byliśmy przekonani, że rozwiązanie tych problemów za jednym zamachem popchnie rozwój cywilizacji Pellucidaru o tysiące lat. Były również inne sztuki i nauki, które pragnąłem im przedstawić, ale nasza połączona wiedza o nich nie zawierała pewnych kluczowych szczegółów, które mogły przydać im komercyjnego lub praktycznego znaczenia.

– Dawidzie – rzekł Perry po ostatnim fiasku, kiedy to nie udało mu się wyprodukować prochu strzelniczego, który przynajmniej by się palił. – Jeden z nas musi wrócić do świata zewnętrznego i zdobyć informacje, których nam brakuje. Mamy tu siłę roboczą i materiały do odtworzenia wszystkiego, co kiedykolwiek powstało w świecie zewnętrznym – brak nam jedynie wiedzy. Wróćmy przeto i zdobądźmy tę wiedzę w postaci ksiązek – a wówczas ten świat faktycznie padnie nam do stóp.

Postanowiliśmy zatem, że to ja powinienem wrócić eksploratorem, który wciąż pozostawał na skraju lasu, w miejscu gdzie przebiliśmy się na powierzchnię wewnętrznego świata. Dian nie chciała nawet słuchać, że mógłbym nie zabrać jej ze sobą, ja zaś bynajmniej nie żałowałem, że pragnęła mi towarzyszyć, bo chciałem, by zobaczyła mój świat i żeby mój świat ujrział ją.

Wraz z dużą grupą mężczyzn dotarliśmy do wielkiego, żelaznego kreta, którego Perry wnet przekierował do właściwego ustawienia z dziobem skierowanym na powrót ku zewnętrznej skorupie. Bardzo starannie sprawdził wszystkie urządzenia. Na powrót nappełnił zbiorniki powietrza i wyprodukował olej do silnika. W końcu wszystko było już przygotowane i mieliśmy wyruszyć, kiedy nasze czujki, szeroki krąg obserwatorów rozstawionych wokół naszego obozowiska, doniosły o zbliżającej się wielkiej armii Sagothów i Mahar, nadciągającej od strony Phutry.

Dian i ja byliśmy gotowi wsiąść do pojazdu, ja jednak bardzo chciałem zobaczyć pierwsze starcie pomiędzy dwiema dużymi armiami zwaśnionych ras Pellucidaru. Zdałem sobie sprawę, że było to zdarzenie o znaczeniu historycznym, zwiastujące początek wielkich zmagania o władzę nad światem, a jako pierwszy imperator Pellucidaru czułem, że nie tylko moim obowiązkiem ale i prawem było znaleźć się w tej chwili w samym środku tej tytanicznej bitwy.

Gdy nadeszły wrogie wojska zobaczyliśmy, że było tam wiele Mahar i mnóstwo Sagothów w charakterze szeregowych żołnierzy, już sam ten fakt wskazywał jak wielką wagę dominująca rasa przykładająca do wyniku tej kampanii, Mahary nie miały bowiem w zwyczaju brać czynnego udziału w tego typu poczynaniach, które dotąd zarezerwowane były dla niewolników – jedyne działania wojenne, jakie dotąd toczyły, skierowane były przeciwko rasom niższym.

Ghak i Dakor byli obaj z nami, a przybyli głównie po to, by obejrzeć eksplorator. Umieściłem Ghaka wraz z grupą jego Sarian na prawo od naszej linii bojowej, Dakor zajął miejsce po lewej, ja natomiast dowodziłem częścią środkową. Z tyłu za nami rozstawiłem niezbędne rezerwy pod dowództwem jednego z zaufanych ludzi Ghaka. Sagothowie zbliżali się nieuchronnie, uzbrojeni w groźne włócznie, a ja pozwoliłem im podejść na odległość strzału z łuku, po czym wydałem komendę rozpoczęcia ostrzału.

Idący na czele Sagothowie, rażeni pociskami o zatrutych grotach, jeden po drugim padali na ziemię, ci jednak co byli za nimi przestępowali nad ciałami poległych kompanów i ruszyli do szaleńczego ataku, z trzymanymi przed sobą, długimi włóczniami.

Druga salwa zatrzymała ich na moment i wtedy przez prześwity pomiędzy liniami łuczników do akcji weszły odwody uzbrojone w miecze i tarcze, atakując sagockich niedobitków. Toporne włócznie Sagothów nie stanowiły większego wyzwania dla mieczy Sarian i Amozytów, którzy

tarczami odbijali pchnięcia włócznie i natychmiast skracali dystans do swoich przeciwników, by uśmiercić ich ciosami lżejszej, poręczniejszej broni. Ghak rozstawił swoich łuczników wzdłuż nieprzyjacielskiej flanki i podczas gdy szermierze zwiążali wroga w bezpośrednim starciu od frontu, on i jego ludzie zasypywali kolejnymi strzałami niechronioną lewą flankę małpoludów. Mahary nie angażowały się w otwartą walkę, i bardziej przeszkadzały niż pomagały swoim kamratom, choć od czasu do czasu jedna lub druga z nich zaciskała swe potężne szczęki na nodze lub ramieniu jakiegoś Sarianina.

Bitwa nie trwała długo, a kiedy Dakor i ja powiedliśmy naszym ludziom na prawą flankę Sagothów, uzbrojeni w obnażone miecze, morale małpoludów było już tak niskie, że stworzenia te nawet nie próbowały z nami walczyć, lecz natychmiast rzuciły się do ucieczki. Ścigaliśmy je przez jakiś czas, biorąc wielu do niewoli i odbijając blisko stu jeńców, wśród których był także Hooja Przebiegły.

Powiedział mi, że został pojmany w drodze do swojej krainy, oszczędzono go jednak w nadziei, że Mahary dowiedzą się od niego, gdzie została ukryta Wielka Księga. Ghak i ja byliśmy skłonni przypuszczać, że to raczej sam Przebiegły poprowadził tę ekspedycję do krainy Sari, podejrzewając, że księga wciąż znajdowała się w posiadaniu Perry'ego; nie mieliśmy jednak na to żadnych dowodów i w tej sytuacji przyjęliśmy go i potraktowaliśmy jako jednego ze swoich, choć tak naprawdę nikt go nie lubił. A jak odpłacił on za naszą hojność, tego się teraz dowiesz.

Wśród jeńców było też wiele Mahar, nasi ludzie zaś tak się ich obawiali, że nie chcieli się nawet do nich zbliżyć dopóki przed wzrokiem gadów nie chronił ich specjalny przyodziewek ze skór. Nawet Dian podzielała ten zabobonny pogląd, jakoby Mahary miały „złe oko”, którego należało unikać i choć starałem się zbyć te przesady śmiechem, drwiąc z jej obaw, byłem gotów na daleko posunięte ustępstwa, jeśli tylko mogłem w ten sposób choć trochę uśmierzyć jej lęki. Dlatego też Dian usiadła teraz

w pewnym oddaleniu od eksploratora, gdzie znajdowały się zakute w kajdany Mahary, podczas gdy Perry i ja ponownie sprawdziliśmy wszystkie urządzenia naszego pojazdu.

Wreszcie zająłem miejsce w fotelu pilota i zawołałem do jednego z mężczyzn, aby przyprowadził do pojazdu Dian. Tak się złożyło, że przy wejściu do maszyny stał akurat Hooja i to on, bez mojej wiedzy udał się, by ją przyprowadzić; jak jednak dokonał tego diabolicznego czynu, którego się dopuścił, nawet nie będę próbował zgadywać, chyba że byli jeszcze inni, którzy mu w tym pomogli i którzy zaangażowali się w ten podły spisek. Jednak jakoś w to nie wierzę, bo wszyscy inni moi ludzie byli mi bezgranicznie oddani i lojalni względem mnie, a co więcej, bez wahania zgładziliby Hooję, gdyby ten zaproponował im udział w tak plugawym przedsięwzięciu, nawet gdyby ta kanalia miała dość czasu, by próbować skaptować kogoś do pomocy. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że mogę jedynie wierzyć, iż było to wynikiem nagłego impulsu, Hooji zaś w realizacji jego planu dopomogły fortunne okoliczności, które wydarzyły się dokładnie we właściwym momencie.

Wiem jedynie, że to Hooja wprowadził Dian do eksploratora, wciąż okutaną od stóp do głów w skórę ogromnego lwa jaskiniowego, którą się nakryła odkąd do obozowiska przyprowadzono grupę maharyjskich jeńców. Ułożył swoje brzemie na fotelu obok mnie. I oto byłem już gotów, aby wyruszyć w drogę. Wymieniliśmy słowa pożegnania. Perry ujął mnie za rękę i ścisnął w wyrazie ostatniego, długiego pożegnania. Zamknąłem i zarygłowałem zewnętrzne oraz wewnętrzne drzwiczki, ponownie zająłem miejsce na fotelu pilota i pociągnąłem za dźwignię startową.

Tak jak wcześniej, owej odległej nocy, gdy byliśmy świadkami pierwszej próby żelaznego monstrum, gdzieś pod nami rozległ się przerażający ryk – wielka konstrukcja zadrżała i zaczęła wibrować, a potem rozległ się znajomy szum i odgłos wygarniętej ziemi wyrzucanej do tyłu

przez szczelinę pomiędzy zewnętrzną a wewnętrzną powłoką naszego pojazdu. Machina ponownie ruszyła w drogę.

Jednak w chwili gdy to się stało, pojazd zatrząsł się tak gwałtownie, że omal nie spadłem z mego fotela. W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy co się stało, teraz jednak dochodzę do wniosku, że tuż przed wwierceniem się w skorupę korpus maszyny musiał uwolnić się z wspierających go mocowań rusztowania i zamiast pionowo w głąb ziemi, zaczęliśmy wwiercać się w nią pod innym kątem. Nie próbowałem nawet zastanawiać się nad tym, gdzie wskutek tego możemy wylądować w świecie zewnętrznym. Przeniosłem wzrok na Dian, aby sprawdzić jaki skutek wywarło na niej to doświadczenie. Wciąż siedziała okutana w grubą skórę.

– No dobrze – zawołałem, śmiejąc się – możesz już wypełznąć z tej skorupy. Wzrok Mahar tu cię nie dosięgnie. – To rzekłszy, nachyliłem się i ściągnąłem z niej lwią skórę. A potem cofnąłem się z przerażeniem, kuląc się na moim fotelu, przepełniony niepojętą zgrozą.

Pod lwią skórą zamiast Dian kryła się odrażająca Mahara. W jednej chwili zrozumiałem jak podły numer wyciął mi Hooja Przebiegły. Zdałem też sobie sprawę co nim powodowało. Liczył na to, że pozbywając się mnie na zawsze, jak zapewne miał nadzieję, zdobędzie Dian, która odtąd będzie zdana na jego łaskę. Jak szalony chwyciłem za koło sterowe, aby zawrócić eksplorator z powrotem, ku Pellucidarowi, lecz tak jak poprzednim razem, tak i teraz ster pozostał niewzruszony i nie ustąpił nawet o włos.

Nie będę tu wyliczał koszmarów ani monotonii tej podróży. Nie różniła się ona zbyt od poprzedniej, która przywiodła nas z zewnętrznego, do nieznanego wewnętrznego świata. Z uwagi na kąt, pod jakim pojazd wwiercał się w ziemię, wyprawa trwała o jeden dzień dłużej i ostatecznie wylądowałem właśnie tu, wśród piasków Sahary, zamiast w Stanach Zjednoczonych, na co w sumie liczyłem.



Przez wiele miesięcy czekałem tu na przybycie białego człowieka. Nie odważyłem się opuścić eksploratora, w obawie że nie zdołam go już odnaleźć – piaski pustyni wnet mogłyby go zasypać a wówczas moje nadzieje na powrót do Dian i jej Pellucidaru przepadłyby bezpowrotnie.

To, czy jeszcze ją kiedykolwiek ujrzę, wydaje się mało prawdopodobne, bo skąd mogę wiedzieć w jakiej części Pellucidaru zakończy się moja podróż powrotna, a jak, nie mogąc posługiwać się kierunkami takimi jak wschód, zachód, północ czy południe, miałbym znaleźć drogę wśród tego ogromnego świata, gdzie utracona ukochana, miłość mego życia, oplakuje mnie rzewnymi łzami?

\*\*\*

Oto historia, którą Dawid Innes opowiedział mi niemal słowo w słowo, w namiocie z kozich skór, na obrzeżach wielkiej pustyni saharyjskiej. Następnego dnia zabrał mnie, aby pokazać mi eksplorator – znajdował się dokładnie tam, gdzie powiedział i wyglądał tak jak go opisywał. Machina była tak wielka, że nie mogła zostać przywieziona w ten niedostępny zakątek świata żadnym dostępnym podówczas środkiem transportu – mogła tu dotrzeć jedynie w sposób opisany przez samego Dawida Innesa – przewiercając się przez powłokę globu, w drodze z wewnętrznego świata. Z Pellucidaru.

Spędziłem z nim tydzień, później zaś, zrezygnowawszy z polowania na lwa, wróciłem prosto na wybrzeże, a stamtąd do Londynu, gdzie nabyłem sporą ilość rzeczy, które pragnął on zabrać ze sobą do Pellucidaru. Były to książki, karabiny, rewolwery, amunicja, aparaty fotograficzne, chemikalia, telefony, urządzenia telegraficzne, przewody, narzędzia i jeszcze więcej książek, podręczników i różnego rodzaju tekstów instruktażowych. Były to książki na najróżniejsze tematy. Powiedział, że chciał stworzyć bibliotekę, dzięki której mogłby odtworzyć cuda

dwudziestego wieku w epoce kamiennej i jeśli ilość może przechodzić w jakość, zdobyłem dla niego naprawdę całe mnóstwo najróżniejszych tytułów.

Osobiście zawiozłem te rzeczy do Algierii i towarzyszyłem im w drodze do końcowej stacji linii kolejowej, później jednak zostałem w pilnej sprawie służbowej wezwany do Ameryki. Udało mi się wszelako zatrudnić zaufanego człowieka, który miał sprawować pieczę nad karawaną – nawiasem mówiąc, tego samego przewodnika, który towarzyszył mi podczas wcześniejszej podróży na Saharę – i napisawszy długi list do Innesa, w którym podawałem mu mój adres w Ameryce, byłem świadkiem jak przygotowana przeze mnie ekspedycja wyrusza na południe.

Wśród innych rzeczy jakie wysłałem Innesowi było również ponad pięćset mil dwużyłowego, izolowanego przewodu najwyższej jakości. Zgodnie z sugestią Innesa kazałem nawinąć przewód na specjalną szpulę. Wymyślił on bowiem, że mógłby przed wyruszeniem w drogę umieścić jeden koniec przewodu tutaj i za pomocą eksploratora poprowadzić linię telegrafu, który połączyłby świat wewnętrzny z zewnętrznym. W moim liście upomniałem go, aby wyraźnie oznakował stację końcową telegrafu, wznosząc tam wielki kopiec, na wypadek gdybym nie zdążył dotrzeć na miejsce, zanim wyruszy w drogę, ale dzięki czemu mógłbym z łatwością nawiązać z nim łączność jeśli faktycznie dopisałoby mu szczęście i dotarłby do Pellucidaru.

Gdy wróciłem do Ameryki, otrzymałem od niego kilka listów – najwyraźniej wykorzystał każdą kierującą się na północ karawanę, aby nakreślić do mnie choć kilka słów. Ostatni list od niego został napisany na dzień przed planowanym wyruszeniem w drogę. Oto jego treść.

*Drogi Przyjacielu!*

*Jutro wyruszam w drogę na poszukiwanie Pellucidaru i Dian. To znaczy, o ile nie dopadną mnie Arabowie. Ostatnio są wyjątkowo paskudni. Nie wiem co jest tego przyczyną, ale już dwukrotnie mi grozili. Jeden z nich,*

*nastawiony przyjaźniej od reszty, zdradził mi dziś, że zamierzają zaatakować mnie jeszcze tej nocy. Byłoby doprawdy niefortunne, gdyby coś takiego wydarzyło się akurat teraz, gdy jestem już prawie gotów do wyruszenia w drogę.*

*A jednak, być może zdecyduję się wybrać w tę podróż wcześniej niż zamierzałem, bo im bardziej zbliża się wyznaczona godzina, tym mniejsze są szanse na powodzenie tej misji.*

*Ów przyjaźnie nastawiony Arab zgodził się zabrać ten list na północ, na mą usilną prośbę, i właśnie się pojawił, przeto bywaj zdrów i niechaj Bóg błogosławi cię za twą życzliwość, jaką mi okazałeś.*

*Arab mówi mi, abym się pospieszył, dostrzega bowiem chmurę kurzu i piasku na południe stąd – uważa, że to jeźdźcy, którzy przybywają mnie zabić, i nie chce, aby zastali go tutaj wraz ze mą.*

*Dlatego raz jeszcze, żegnaj.*

*Twój przyjaciel*

*David Innes*

W rok później ponownie znalazłem się na końcowej stacji tej linii kolejowej, kierując się w stronę miejsca, gdzie pozostawiłem Innesa. Pierwsze rozczarowanie przeżyłem, gdy okazało się, że mój przewodnik zmarł na kilka tygodni przed moim przyjazdem, nie udało mi się też znaleźć żadnego członka poprzedniej ekspedycji, który mógłby doprowadzić mnie raz jeszcze w to samo miejsce.

Przez wiele miesięcy przeczesywałem tę sprażoną słońcem krainę, prowadząc rozmowy z niezliczonymi pustynnymi szejkami w nadziei, że znajdę w końcu takiego, który słyszał o Innesie i jego cudownym żelaznym krecie. Moje oczy bez przerwy przepatrywały oślepiające, piaszczyste pustkowia w poszukiwaniu kamiennego kopca, pod którym miałem odnaleźć przewody wiodące wprost do Pellucidaru, lecz jak dotąd bez powodzenia. I jak zawsze nie dawały mi spokoju te same, niepokojące

pytania, które nasuwają mi się, gdy myślę o Dawidzie Innesie i jego niezwykłych, dziwnych przygodach.

Czy Arabowie jednak go zabili, w przededniu planowanego przezeń wyruszenia w drogę powrotną? A może jednak zdążył wsiąść do żelaznego potwora i obróciwszy dziób maszyny, udał się na spotkanie wewnętrznego świata? Czy zdołał tam dotrzeć, czy może spoczywa gdzieś, pogrzebany w samym sercu wielkiej ziemskiej powłoki? A jeśli jednak dotarł do Pellucidaru, to czy przebił się tam na dnie jednego z wielkich tamtejszych mórz, czy wśród ziem zamieszkiwanych przez jakąś dziką rasę, z dala od krainy jego ukochanej wybranki serca?

Czy odpowiedź kryje się gdzieś wśród sprazonych słońcem niezmiernych piasków Sahary, na końcu długiego, cienkiego dwużyłowego izolowanego kabla ukrytego pod zapomnianym, kamiennym kopcem?

Wciąż się nad tym zastanawiam.

**KONIEC TOMU PIERWSZEGO**